SENSACYJNE KULISY MILIARDOWEGO PRZETARGU NA SZYBKĄ KOLEJ

ROZPAD KONFEDERACJI? TO KWESTIA CZASU

DEMASKUJEMY ATOMOWY BLEF PUTINA

MIŁOŚĆ SILNIEJSZA NIŻ AUSCHWITZ

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

39 (669) 2025
22–28 września 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

TAK ZABIJA LEWICA

SZOK PO ZABÓJSTWIE CHARLIEGO KIRKA. CZY UDA SIĘ POSTAWIĆ TAMĘ LEWICOWEMU TERRORYZMOWI?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 29 IX 2025 r.

polsat box

Ponad 130 kanałów

w tym cały sport z oferty

tylko za **70 zł/mies.**
przez 2 lata po rabacie

Umowa na min. 24 mies. na Pakiet L. Od 25. mies. 75 zł/mies. po rabacie.

Cena uwzględnia rabat 10 zł/mies. za zgody marketingowe. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Pakiety: Polsat Sport Premium i Eleven Sports dostępne promocyjnie do 31.01.2028. Szczegóły w cennikach i regulaminach dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. LALIGA EA SPORTS dostęp do wybranych meczów, prawa współdzielone z innym nadawcą.

eprasa.pl 567bc8df25

Prezydencie, nie zwalniaj!

Marek Pyza

Sprawa reparacji za II wojnę światową to najbardziej jaskrawy dowód na to, że rząd Donalda Tuska chętniej realizuje interesy niemieckie niż polskie. Płyną zeń identyczne komunikaty, jak te z Berlina. Premier i jego towarzysze powtarzają te same kłamstwa, którymi zachodni sąsiedzi próbują się zasłonić przed odpowiedzialnością i konsekwencją własnych zbrodni (wszak dzisiejsza RFN jest bezpośrednią spadkobierczynią III Rzeszy).

Czas przestać się przejmować tym, co mówią jedni i drudzy. Zacząć ich ignorować, wzmagając presję na Berlin. Wydaje się, że taką drogę wybrał prezydent. Karol Nawrocki robi to w pomysłowy i – miejmy nadzieję – konsekwentny sposób.

Ma do tego mandat społeczny. Nie tylko wyrażony przez Polaków w czerwcowych wyborach, lecz także w kolejnych badaniach socjologicznych. Pokazują one, że ponad połowa naszych rodaków chce podjęcia przez rządzących walki o tę dziejową sprawiedliwość, a jedna czwarta (aż!) prezentuje pogląd przeciwny. Nietrudno sobie wyobrazić, jak wyglądałyby wyniki tych sondaży, gdyby politycy PO i Lewicy stanęli po stronie narodowych interesów i przestali fałszywie opowiadać, że czegoś się kiedyś zrzekliśmy (to tygodnik „Sieci" dowiódł przed trzema laty, że to nieprawda – ujawniliśmy dokumenty wskazujące, że w 1953 r. nie dopełniono nawet prawa PRL i Polska Ludowa z niczego nie zrezygnowała). Zapewne w każdej polskiej rodzinie tkwi wszak jakaś wojenna rana. Mój dziadek trzykrotnie był wywożony do Niemiec na przymusowe roboty. Trzykrotnie udało mu się z nich uciec. Przeżył wojnę wyłącznie dzięki upiornemu humorowi niemieckich oprawców. Wpadł bowiem w ich ręce w czasie łapanki na warszawskiej Woli i stanął przed samozwańczym plutonem egzekucyjnym. Razem z innymi Polakami został rozebrany do naga. Zamknął oczy. Usłyszał strzały. Przeżył, bo Niemcy chcieli zobaczyć nagiego Polaka uciekającego przed ich kulami. Padło na niego. Znalazł damski kożuch. Jego właścicielka nie żyła. Tylko w nim wrócił do babci.

Nie można się dziwić, że Niemcy panicznie boją się tego tematu. Wiedzą, że psuje im i tak mocno nadszarpniętą reputację, przeszkadza w biznesach, odbiera moralne prawo do forsowania różnorakich koncepcji politycznych, sprowadzających się do podporządkowywania sobie innych narodów (wpływowy szef EPL Manfred Weber otwarcie już mówi na forum PE, że „idea suwerennych państw to idea wioski potiomkinowskiej"). To dlatego niemieckie gazety jeszcze przed przyjazdem Karola Nawrockiego do Berlina uderzały w głowę naszego państwa za to, że zamiast otwarcia na współpracę przywozi „stary rachunek reparacji". On wcale nie jest stary. Ma dopiero kilka lat i tylko zyskuje na aktualności.

Jeśli nasz zachodni sąsiad nie chce odpowiedzieć na wspaniałomyślnie wyciągniętą dłoń prezydenta Nawrockiego (a tak powinien traktować propozycję rozpoczęcia spłacania zadośćuczynienia od współfinansowania zakupów zbrojeniowych naszej armii), to musi się liczyć z tym, że ta oferta (korzystna również dla nich, bo jednocześnie wzmacniająca bezpieczeństwo naszych sojuszników z NATO) nie będzie wiecznie tak atrakcyjna.

A może się o tym przekonać, gdy z całego świata zaczną płynąć pytania do niemieckich dyplomatów i polityków: dlaczego nie jesteście w stanie usiąść do rozmów z Polakami, których co najmniej 6 mln wymordowaliście, którym zrównaliście z ziemią miasta i wsie, którym zatrzymaliście wspaniały rozwój świeżo odzyskanego państwa, którym ukradliście setki tysięcy dzieł sztuki i do dziś ich nie oddajecie?

Mam nadzieję, że obóz prezydencki będzie inspirował w tej kwestii przedstawicieli innych państw. Czas na potężną międzynarodową kampanię. Bez żadnych skrupułów – po niemiecku.

14 września 2025 roku odszedł do Pana

ŚP.

KSIĄDZ BISKUP DOKTOR

ANTONI PACYFIK DYDYCZ

Wybitny kapłan i żarliwy kaznodzieja, pasterz Diecezji Drohiczyńskiej w latach 1994-2014. Wielki patriota.

Przez całe swoje życie – będące wspaniałym świadectwem wiary, nadziei i miłości – służył gorliwie Panu Bogu, Kościołowi i Ojczyźnie myślą, słowem i czynem. Czynił to z niezwykłym zaangażowaniem i wyjątkowym rozeznaniem spraw społecznych i życia publicznego, w tym kwestii suwerenności Rzeczypospolitej.

Za zasługi dla Kościoła w Polsce oraz za działalność społeczną na rzecz polskich rodzin został odznaczony przez prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.

W wymiarze osobistym, jestem winien Księdzu Biskupowi ogromną wdzięczność za piękne słowa pociechy i pokrzepienia wypowiedziane podczas pogrzebu mojej Śp. Mamy oraz za pielęgnowanie społecznej pamięci o moim Śp. Bracie, Śp. Bratowej oraz o pozostałych Ofiarach Tragedii Smoleńskiej.

Dla mnie i moich przyjaciół – stałych uczestników dziesiątek wspaniałych spotkań, długich rozmów o historii i aktualnej sytuacji Kościoła, Ojczyzny, Polski Wschodniej i wielu innych sprawach– pozostanie pięknym, niezapomnianym wspomnieniem naszego życia.

Rodzinie i Bliskim Śp. Księdza Biskupa Doktora Antoniego Pacyfika Dydycza składam najserdeczniejsze wyrazy współczucia.

Jarosław Kaczyński
Prezes Prawa i Sprawiedliwości

Reklama | 22/0325/F

15/0925/F

eprasa.pl 567bc8df25

SIECI

spis treści

32 Plecak ewakuacyjny nie wystarczy
Konrad Kołodziejski

38 Dolce vita Biedronia i Śmiszka
Piotr Filipczyk

47 Zapad-2025 to preludium
Marek Budzisz

NA POCZĄTEK

5 **SŁUCHAJMY MERZA!**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **BUTEM W MORDĘ**
Krzysztof Feusette

9 **ALE SZTUKA!**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **NIEMIECKIE WIATRAKI I PRUSKI RACHUNEK, CZYLI ENERGIEWENDE PO BANDZIE**
Daniel Obajtek

13 **MOŻEMY URATOWAĆ POLSKĘ!**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA VALENTYNY IAKOVENKO**
Michał Korsun

16 **CZAS WYRÓWNAĆ RACHUNKI!**
Jan Pietrzak

16 **JEDNOŚĆ NA POKAZ**
Samuel Pereira

17 **W SPRAWIE REPARACJI NIEMCY BĘDĄ RESPEKTOWAĆ TYLKO KONSEKWENCJĘ**
Arkadiusz Mularczyk

18 **MISTRZOWIE DEZINFORMACJI**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

20 **NAZYWAJĄ NAS FASZYSTAMI, BY MÓC NAS ZABIJAĆ**
Aleksandra Rybińska

KRAJ

24 **KOLEJ WIELKICH WĄTPLIWOŚCI**
Łukasz Wróblewski

28 **ROZWÓD PO KONFEDERACKU?**
Bartosz Życiński

32 **PLECAK EWAKUACYJNY NIE WYSTARCZY**
Konrad Kołodziejski

35 **NAWROCKI KONTRA MERTZ**
Stanisław Janecki

38 **DOLCE VITA BIEDRONIA I ŚMISZKA**
Piotr Filipczyk

40 **CO SIĘ DZIEJE W SONDAŻACH**
Piotr Gursztyn

43 **BIOTECHNOLOGICZNY WYŚCIG ZBROJEŃ JUŻ TRWA**
Z Grzegorzem Gielerakiem, generałem broni WP, prof. dr. hab. nauk medycznych, rozmawia Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

47 **ZAPAD-2025 TO PRELUDIUM**
Marek Budzisz

50 **BIAŁORUSKIE NIEJASNOŚCI**
Jan Rokita

54 **JAK KANADA POPEŁNIA SAMOBÓJSTWO**
Grzegorz Górny

HISTORIA

56 **MIŁOŚĆ SILNIEJSZA NIŻ AUSCHWITZ**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

59 **PIĘĆDZIESIĄTE ZŁOTE LWY**
Jolanta Gajda-Zadworna

62 **NIEZALEŻNY GWIAZDOR HOLLYWOOD**
Maciej Walaszczyk

64 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

66 **JESTEŚMY PASZĄ DEMONÓW**
Robert Tekieli

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: ZBIGNIEW ROKITA**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **ERYSTYKA TUSKA**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **PLAGA**
Aleksander Nalaskowski

73 **KONIEC DOPINGOWYCH „ŚWIĘTYCH KRÓW”?**
Ryszard Czarnecki

74 **HODOWANIE CIERPIENIA?**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl 567bc8df25

BRONISŁAW WILDSTEIN

Słuchajmy Merza!

Media w Polsce, w tym także te największe, nie zauważyły przemówienia programowego, które Friedrich Merz wygłosił 8 września do ambasadorów Niemiec. Na wyjątkowość wystąpienia wskazuje choćby fakt, że ostatnim kanclerzem, który w tej formie spotkał się z dyplomatami, był Gerhard Schröder w 2000 r. Merz rozpoczął od stwierdzenia, że dziś, w momencie globalnych kryzysów, nie sposób rozdzielić polityki wewnętrznej i zewnętrznej. Zwłaszcza w przypadku gracza na skalę światową, jakim stać się powinny Niemcy.

To zasadniczy ton wystąpienia Merza, które tylko do pewnego stopnia stanowiło kontynuację deklaracji jego socjaldemokratycznego poprzednika Olafa Scholza. Obecny rząd RFN to zresztą kolejny raz wielka koalicja chadeków i socjaldemokratów pod wodzą tych pierwszych. Dowodzi niezwykłej stabilności układu politycznego w tym kraju, jakkolwiek przesuwa się on coraz bardziej w lewicowo-liberalną stronę, czym otwiera przestrzeń dla ugrupowania takiego jak AfD, które odwołuje się do bardziej tradycyjnych postaw społecznych.

Jednoznaczny akcent na światową rolę Niemiec różnił Merza od jego poprzedników. Dodatkowo odciął się on od obowiązującej wcześniej retoryki, podkreślając, że polityka zagraniczna winna być oparta na narodowych interesach, a nie wartościach. Charakterystyczne dotąd prezentowanie się Niemiec jako „moralnego mocarstwa" uznał wręcz za przejaw pychy. Jego stosunek do UE należy postrzegać w tym kontekście – wcześniejsze podejście Berlina było podobne, z tym że moralistyczne uzasadnienia nieco je pętały. Obecnie tego typu oporów nie będzie.

Merz chwali Unię za to, że jest optymalną instytucją dla realizacji interesów niemieckich, a dobro Niemiec i Europy w jego wypadku stają się tym samym. Sercem zjednoczonej Europy ma być – jak dotąd – niemiecko-francuski układ. Jako kolejnego pod względem znaczenia partnera kanclerz wskazał Anglię. Pomimo deklaracji budowy „nowej, trwałej architektury bezpieczeństwa" wobec rosyjskiego zagrożenia, a także Chin, Merz nie wymienił Polski jako partnera.

Lekceważenie kraju przyfrontowego, jakim jesteśmy, bez którego zaangażowania pomoc Ukrainie jest co najmniej utrudniona i który w pierwszym, kluczowym etapie wojny wspomógł ją najbardziej, stawia pod znakiem zapytania projekt architektury bezpieczeństwa zgłoszony przez kanclerza RFN. Można wprawdzie przyjąć, że Merz, przyzwyczajony do wasalnej postawy obecnych władz, przestał dostrzegać nasz kraj, ale mało to prawdopodobne w przypadku tak doświadczonego polityka. Pokazuje raczej trwałą postawę Berlina wobec Polski, a także traktowanie inicjatyw militarnych w RFN. Nasi sąsiedzi konfrontowani są z poważnymi problemami ekonomicznymi, a całość ich międzynarodowej polityki oraz rozbudowa przemysłu zbrojeniowego mają zaradzić recesji, w jakiej pogrążone jest ich państwo.

Dlatego nowa strategia obronna UE nakierowana jest na rozkręcenie produkcji militarnej, a w konsekwencji gospodarki Niemiec i Francji, co realnie odsuwa na lata wzmocnienie sił zbrojnych najbardziej zagrożonych europejskich krajów, w tym Polski. Konieczność zakupu broni wyłącznie w Unii, która przez najbliższe lata nie jest w stanie jej produkować, powoduje rezygnację z dozbrojenia się dziś, kiedy jest ono najbardziej potrzebne.

Wezwania do autonomii militarnej Europy jak dotąd znaczyły realnie wyparcie z niej Stanów. Wymaga tego zresztą „światowa rola" Niemiec, które w trwałym układzie z USA zawsze skazane będą na podrzędność. Aby uzyskać globalną pozycję, w sposób naturalny Berlin będzie usiłował pozycjonować swój kraj i całą Unię między blokiem chińsko-rosyjskim a Stanami. Wspierany będzie w tym przez Francję.

Wbrew polskim wyznawcom Unii okazuje się, że dla jej głównych graczy formalna struktura układu znaczy niewiele. Stosunek Berlina czy Paryża do Anglii nie zmienił się pomimo brexitu. Wyjście z UE nie znaczy zatem zerwania z jej członkami, a relacje z nimi zależeć będą od potencjału państwa i prowadzonej przez nie polityki.

Stosunkowo szczere strategiczne deklaracje kanclerza RFN powinny być jak najszerzej prezentowane i omawiane w Polsce. Są zaprzeczeniem propagowanej u nas mitologii wspólnoty interesów europejskich. Merz mówi wprost, że UE jest dobra o tyle, o ile przynosi korzyści Niemcom. To w tym kontekście wychwala Mercosur i proponuje podobne układy z Azją Centralną i Afryką. Ten pierwszy otwiera rynek Ameryki Łacińskiej dla niemieckiego przemysłu i z tego powodu wbrew interesom innych krajów Unii propagowany jest przez Berlin. Pod tym kątem ocenia kanclerz także inne umowy UE.

Słuchajmy Merza! Nasza międzynarodowa polityka, w tym relacje wewnątrzunijne, winny być zorientowane na nasze narodowe dobro. Jeśli UE przestanie być dla nas korzystna, powinniśmy ją opuścić. To, jak będziemy traktowani przez Berlin i inne kraje Unii, zależeć będzie wyłącznie od naszych możliwości i układów politycznych.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 567bc8df25

Sygnalista nadaje

Uwaga! Ważne ogłoszenie: „Świat się zmienił” – pisze nasz organ „Gazeta Wyborcza” i informuje, że premier Donald Franciszek Tusk podjął decyzję o skręcie w prawo. Teraz będzie antyimigracyjny, a szczególnie antyniemiecki. Skręcamy wraz z nim pod hasłem: „Jak świat światem, nigdy Niemiec nie będzie unijczykowi polskiego pochodzenia bratem”. Od teraz będą obowiązywać hasła: „Precz z lewakiem Nawrockim” i „Precz z niemieckim lokajami z PiS”. PS Prawacy są tak głupi, że się na to nabiorą. Dzięki temu zagłosują na Koalicję Obywatelską w następnych wyborach. To znakomity plan, prawie się udał, gdy Rafał Trzaskowski mówił, że jest przeciw Zielonemu Ładowi, Mercosur i kolorowym imigrantom. Co prawda prawacy wtedy na niego nie zagłosowali, ale pomysł był bardzo chwalony w zaprzyjaźnionych mediach.

Nieznośna była ta tzw. zgoda narodowa. Za długo trwała. I zupełnie bez sensu, tylko z tego powodu, że do Ten Kraju wleciały jakieś ruskie drony. Przecież wleciały do Polski wschodniej, gdzie nie mieszka żaden normalny unijczyk. Kogo to obchodzi, że one tam przyleciały? Okropne dwa dni tej tzw. zgody – nie do wytrzymania! Ale na szczęście premier Donald Tusk wyszedł, cały na demokratyczno, i przerwał to niezręczne milczenie. „PiS i Konfederacja stają na głowie, aby zdjąć odpowiedzialność z Rosji za atak” – napisał szef naszego rządu. Piękny wpis. Może niepotrzebnie wymienił w nim Konfederację, bo ostatnio nam, demokratom walczącym, zaczyna podobać się to, co mówi pan Mentzen.

Faszystom dołożył też ***Roman mecenas Giertych***. „Trump nas zdradził. Kto w Polsce wspiera Trumpa, należy do zdrajców” – napiętnował złych ludzi mecenas w chwili, gdy na moment przerwał przeliczanie głosów z wyborów prezydenckich. Niewątpliwie temu Trumpowi poszło w pięty. Tak, że już się nie pozbiera i już nie wygra następnych wyborów. A gdyby ten Trump jeszcze pyskował, to mecenas Giertych zaszachuje go publicznym żądaniem, aby Ameryka wreszcie oddała Alaskę! Wiadomo komu. Reaganowi dał kiedyś odpór tata Maciej, tak teraz da odpór Trumpowi syn Roman. Bo gdy walka z amerykańskim imperializmem raz się zaczyna, to z ojca kolaboracja przechodzi na syna.

A poza tym, to murem za Marcinem Bosackim! Może jest trochę pechowy, jeśli chodzi o doniesienia medialne, ale to swój człowiek. Z „Gazety Wyborczej”, a dokładniej jej działu zagranicznego, który jest kuźnią kadr dla demokratycznej dyplomacji. Stamtąd przecież też wywodzi się przezabawny rzecznik ministra Sikorskiego, czyli ***Paweł Wroński***. Stamtąd są też nieco zapomniani, ale cenieni dyplomaci, tacy jak Marcin Wojciechowski (przetrwał w MSZ czasy pisowskiej okupacji – sprawdzić, czy nie kolaborował) i Konrad Niklewicz. Z tego powodu nie ma co się czepiać Marcina Bosackiego, że opowiadał głupoty na forum ONZ. Ku wielkiej radości towarzyszy radzieckich. Nie on pierwszy z „Wyborczej” i nie ostatni.

Straszna rzecz zdarzyła się w Sejmie. Niepojęta i niewybaczalna.

eprasa.pl 567bc8df25

Mateusz Haładyj, jawny kryptopisior, został wybrany na prezesa Najwyższej Izby Kontroli. I za jego wyborem głosował sam Kaczyński z całą swoją faszystowską partią. A potem różne jawne pisiory publicznie wychwalały tego Haładyja. To czarna niewdzięczność wobec żelaznego Mariana, który kiedyś był troszkę pisiorem, ale potem przeżył nawrócenie i został mocnym antykaczystą. To także cios dla tych, którzy ciągle wierzą, że rozliczenie PiS jest możliwe.

Ale walka o rozliczenia i praworządność (tak jak my ją rozumiemy) trwa i trwa mać! Na pierwszej linii minister sprawiedliwości, który prawu się nie kłania, czyli ***Waldemar Żurek***. A u jego boku niezłomna prokurator Wrzosek. Pięknie oboje się zaprezentowali na pikniku praworządnych i demokratycznych sędziów w jakiejś dziurze koło Gdańska. Ramię w ramię, ręka w rękę, usta obok ust... Ach, gdyby to oni byli parą prezydencką!

Stronie demokratycznej przybył nowy sojusznik – doktor ekonomii wolnorynkowej ***Sławomir Jerzy Mentzen***. Dla niektórych może był kiedyś prawakiem i faszystą, a my chcemy teraz zaprezentować go inaczej: liberalny biznesmen, przeciwnik rozbuchanego socjalu, optymalizator podatkowy, słowem – mały Balcerowicz. Mały, ale dobrze się zapowiadający. W sam raz dla nostalgików pamiętających czasy KLD. A najfajniejsze jest to, że nie mówi o niczym innym, jak tylko o Kaczorze i PiS. Czyli dokładnie tak samo, jak premier Tusk, wicepremier Sikorski, mecenas Giertych, sędzia Żurek i wszyscy inni, których lubimy i cenimy.

I bardzo fajne w Sławomirze Jerzym jest to, że nie tylko cały czas mówi o ohydzie kaczyzmu, ale zawsze robi odwrotnie niż kaczyści. A teraz kaczyści chcieli zabronić uprawiania banderyzmu, więc Sławek im się sprzeciwił. I miał rację, bo skoro pisiory mówią, że banderyzm jest zły, to musi znaczyć, że jest fajny. Skoro kaczyści mówią, że Ziemia jest okrągła, to na pewno jest płaska, prawda, Sławku?

Z pewnością macie za ciepło w mieszkaniach. Wiecie, że to niezdrowo? I że szkodzi planecie, która płonie, a przede wszystkim oszczędnościowym działaniom ministra finansów Domańskiego? Zaraz wszystkiego się dowiecie, bo rząd i samorząd postanowiły zadbać o wasze zdrowie i dobrostan planety. Tej jesieni ceny za ogrzewanie będą troszkę wyższe. Średnio o symboliczne kilkadziesiąt procent, ale bliżej 100 niż 20. I bardzo dobrze, bo PiS rozpuściło społeczeństwo i rozbudziło postawy roszczeniowe. Tak bardzo, że w Ten Kraju prawie nikt nie zna słowa „austerity". A nie po to jesteśmy w Unii, żeby nie znać takich słów.

Ten Nawrocki to potwór! I nie zna się na żartach. Na dodatek to pieniacz, który pozwał do sądu Onet. Tylko dlatego, że ten zasłużony w walce o prawdziwą demokrację portal napisał tuż przed wyborami prezydenckimi o tym, że Nawrocki sprowadzał jakieś panie do Grand Hotelu. Miał być cały cykl tekstów na ten temat, ale niestety ukazał się tylko jeden i my, wyborcy głosujący na prezydenta naszych serc Rafała, do tej pory nie możemy się doczekać dalszego ciągu. Dziwne, prawda? W każdym razie pieniacz Nawrocki podał Onet do sądu. Portal przyjaźnie odpowiedział, że chce ugody. Bo co prawda nie ma żadnych dowodów na to, co wtedy pisał o tych paniach z Grand Hotelu, ale że była to taka *licentia poetica*. Tekst literacki, nieco baśniowy, trochę w stylu fantasy. No i Nawrocki nie zgodził się na ugodę.

Murem za Sylwią Cisoń! To bohaterska radna Koalicji Obywatelskiej z Gdańska, członkini komisji kultury, edukacji, praw człowieka i kontaktu z mieszkańcami (ale tylko prawdziwymi, a nie jakimiś ciapakami). Demokratka i terapeutka. Ambasadorka dobrego słowa. Przyjaciółka Baśki Nowackiej i Olki Dulkiewicz. Dała popalić jakiemuś ciapatemu ukrowi, którego PiS wpuściło do Ten Kraju w ramach afery wizowej. Chwilowo została zawieszona, bo niewyrobiona politycznie część opinii publicznej nie zrozumiała głębi przekazu radnej Cisoń skierowanej do nachodźcy, który powinien wynosić się do swojego kraju. Owszem, były wulgaryzmy, ale usprawiedliwione, bo premier Tusk zarządził zwrot antyimigracyjny i antyniemiecki.

Śledzimy heroiczny bój rodziny Schnepfów (dawniej Sznepf) w obronie dobrego imienia antyfaszystowskich przodków i ich zasług w walce z reakcją. Poznaliśmy już bohaterskiego czerwonoarmistę, dziadka Maksymiliana. Teraz doszły kolejne osoby – babcia Alicja, heroiczna funkcjonariuszka Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, która również osobiście ścigała zaplutych karłów reakcji. Piękny życiorys – członkini Związku Walki Młodych i PPR. Skierowana do resortu przez partię. No i stryjek Oswald z Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Sędzia, który w zacofanym przez sanację Ten Kraju propagował najlepsze wzorce sądownictwa radzieckiego. Cudowni ludzie! Dzięki, Doroto, że propagujesz ich życiorysy i dokonania.

Fot. Liudmyla Skwarczyńska, Andrzej Wiktor, Tomasz Warszewski/Shutterstock.com, M. Czutko

eprasa.pl 567bc8df25

Butem w mordę

Krzysztof Feusette

Weber: Halo? Czy ja mam nieprzyjemność rozmawiać z herr premierem Dojcznaldem Tuskiem?
Tusk: Donaldem...
Weber: Ja, ja, ja wiem, że wy się nie przyznajecie. Czy możemy rozmawiać?
Tusk: Oczywiście, jest ze mną wicepremier Kosiniak-Kamysz...
Weber: Guten morgen...
Kosiniak-Kamysz: Butem w mordę...
Weber: Herr Kociniak...
Kosiniak-Kamysz: Kociniak to grał w „Jak rozpętałem II wojnę światową".
Weber: A to Polak?
Tusk: Oczywiście.
Weber: Słuszna linia. Bo wy nie byliście bez winy. Są nawet tacy, co mówią, że u was był największy antysemityzm. Np. ta Wysocka-Szwab...
Tusk: Schnepf.
Weber: Ja mówię szwab mentalnie. No przecież jak ona pięknie mówiła, że my was w zasadzie uratowaliśmy przed wami samymi, takie u was były antyżydowskie nastroje. To znaczy nie myśmy, tylko naziści...
Kosiniak-Kamysz: Już my z kolegą premierem dobrze wiemy, kto kogo napadł...
Weber: A pan to kim w ogóle jest?
Kosiniak-Kamysz: Ministrem obrony narodowej. I wicepremierem przy okazji.
Weber: He, he... przy okazji... dobrze powiedziane. Herr Dojszland...
Tusk: Donald!
Weber: Donald, Dojszland, jaka to różnica. Trzeba znać swoje miejsce w pociągu. Czemu herr Kociniak nas podsłuchuje?
Tusk: Myślałem, że skoro pan przewodniczący chce nam przekazać najnowsze ustalenia, to poproszę kolegę Kociniaka, pardon, Kosiniaka, Kamysza zresztą...
Weber: Karnisza?
Kosiniak-Kamysz: Dosyć tego. Jak pan sobie zerknie, kim ja jestem, w ulotkę PSL, to pan zobaczy, że my ludowej sroce spod ogona nie wypadliśmy!
Weber: Wystarczy. A zatem, jak mówiłem w Strasburgu, musimy przyspieszyć.
Kosiniak-Kamysz: Z rozliczeniami?
Weber: Pies trącał wasze rozliczenia, chodzi o federalizację. Koniec państw narodowych. Jedna armia, jedna ideologia, jeden wódz. Jedna Bruksela. Jeden Berlin. Jedna rzesza. Panów. To znaczy fanów, rzesza fanów federalizacji. A kto uważa inaczej, ten jest...
Tusk: Nazista?
Weber: Gorzej.
Kosiniak-Kamysz: Faszysta? Komunista?
Weber: Dużo gorzej. Na-cjo-na-lis-ta.
Kosiniak-Kamysz: Sikorski mówił, że to są faszyści. I że my ich powstrzymamy.
Weber: Sikorski jest w porządku. My takich hołdów jak jego w Berlinie nie zapominamy. Ameryki nienawidzi, pewnie przez żonę. Czy są pytania?
Tusk: Czyli że co? Głosy są już policzone, tak?
Weber: Jakie głosy?
Kosiniak-Kamysz: Kolega czasem słyszy głosy...
Tusk: Co ty gadasz?
Kosiniak-Kamysz: Sam mówiłeś...
Tusk: Zza ściany słyszę! Jak w domu nie śpię!
Weber: Skończyliście? Jeśli nie ma pytań, a szczerze mówiąc, czas na zadawanie pytań się skończył, bo Trump nas za chwilę rozjedzie jak walec, to teraz niespodzianka. Jest ze mną koleżanka von der Leyen, która też ma dla was pewne informacje.
Ursula: Cześć, chłopaki!
Kosiniak-Kamysz: Dzień dobry, to znaczy butem... glutem... gluten... Morgan... morgen... Przepraszam, jestem trochę zmieszany...
Tusk: Cześć, Ursulo!
Ursula: Słucham?
Tusk: Siema, dziewczyno!
Ursula: Nie bardzo rozumiem, kto mówi?
Tusk: No Donald!
Ursula: Trump?
Tusk: Jaki Trump, na litość boską, Trump to jest rosyjski szpieg, gorszy od Mussoliniego, Hitlera, Stalina i Applebaum razem wziętych. No Ursulo, fafa-rafa, dance, dance, ostrygi na telefon... Nie pamiętasz?
Ursula: I co u ciebie, ruda pało?
Kosiniak-Kamysz: Nie wiedziałem...
Ursula: Że jest rudy? A kto mówi?
Kosiniak-Kamysz: Kamysz. Z PeEZelu. Partia ludowa.
Weber: Ile macie poparcia?
Kosiniak-Kamysz: Sondaże w Polsce...
Tusk: Nic nie mają. W połowie drogi do progu, a i to, jak się mocno odbiją. Sieroty takie.
Kosiniak-Kamysz: Wypraszam sobie. To jest pranie wewnętrznych brudów na arenie międzynarodowej.
Weber: Nie przejmuj się, Kociniak, tutaj sami swoi...
Kosiniak-Kamysz: Kamysz! Mam na nazwisko Kamysz! To znaczy Kosiniak-Kamysz!
Ursula: Dwa?
Kosiniak-Kamysz: Co dwa?!
Ursula: Nazwiska.
Kosiniak-Kamysz: A „von der Leyen" to jest ile?! Nie trzy przypadkiem?!
Tusk: Uspokój się, Włodku...
Kosiniak-Kamysz: Władku! Ja jestem Władysław!
Ursula: On zawsze tak się wydziera?
Weber: Panowie, pani przewodnicząca ma także inne obowiązki...
Tusk: A o co chodzi?
Ursula: O to, żebyście przestali opowiadać, że Zielona Ład nie wejdzie.
Kosiniak-Kamysz: A wejdzie? Bo Schetyna mówił... W zasadzie, w kampanii to wszyscy mówili, nawet Rafał, co nie, Donaldzie?
Tusk: Co ja mam do tego? Mnie w kampanii praktycznie nie było.
Kosiniak-Kamysz: To ciekawe, kto człowieka małpę cytował u Rymanowskiego...
Tusk: A co to obchodzi naszych zagranicznych partnerów? Czyli że mówisz, Ursulko, że to wchodzi?
Ursula: Ani kroku w tył. To, że na Ukrainie nie ma obecnie dobrostanu zwierząt, nie oznacza, że możemy się cofnąć. Pozwoliliśmy Kijowowi zająć się bydłem do 2028 r., tym bardziej u nas musi być korrekt.
Kosiniak-Kamysz: Tylko co rolnicy powiedzą? Całe to ugorowanie i nowe przepisy...
Weber: Nic nie powiedzą, bo zaraz wchodzi Mercosur, więc i tak nie będą w polu, tylko na ulicy.

eprasa.pl 567bc8df25

Ale sztuka!

Skoro stare wanny i zniszczone buty mogą być sztuką, to kto wie – może moja piwnica też kryje dzieło na miarę światowych galerii?

Muzeum sztuki nowoczesnej kojarzy się nam z obrazami pełnymi kolorów, abstrakcji i dziwacznych form, które trzeba oglądać z miną mędrca, bo inaczej człowiek wyjdzie na ignoranta. Ale o tym wszystkim trzeba zapomnieć, gdy myślimy o muzeum, za którym stoi Rafał Trzaskowski. Warszawskie Muzeum Sztuki Nowoczesnej postanowiło udowodnić, że sztuka to nie tylko pociągnięcia pędzla i geometryczne bryły. Sztuka to także... dwie wanny, które wyglądają, jakby wczoraj zostały wyniesione spod trzepaka na Pradze. Okazało się, że za te wanny MSN wspólnie z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego wybuliło z pieniędzy podatników ponad 800 tys. zł.

Tak, drodzy państwo, za takie pieniądze można by kupić dwie kawalerki na obrzeżach stolicy, kilka samochodów dostawczych albo – jeśli ktoś woli klasykę – kilkaset porządnych wanien ze sklepu budowlanego. Ale prezydent stolicy Rafał Trzaskowski wolał te dwie, które już swoje przeżyły. Bo choć wanny wyglądają na wzięte ze śmietnika, są w istocie elementem instalacji artystki Sary Lucas, która zatytułowała swą pracę „Rzymianie", choć bardziej pasowałby tytuł: „Remont w toku" albo „Piwnica babci Heli".

Na ekspozycji obok wanien stoją jeszcze stare buty i nogi manekina – bo wiadomo, że żadna instalacja nie byłaby pełna bez dodatku rodem z pchlego targu. Ktoś powie: „To ma głębię, to metafora upadku cywilizacji, która zamiast akweduktów zostawia po sobie wanny z odpryskami". Inny odrzeknie: „To zwyczajnie śmietnik, tylko przeniesiony do muzealnej sali i opatrzony tabliczką z nazwiskiem".

A skoro już o toaletowych wątkach mowa, przypomnijmy, że nie tak dawno opinię publiczną rozpalił fakt, że prezydent stolicy wydał 600 tys. zł na miejską toaletę w Parku Skaryszewskim. I wtedy wszyscy się oburzali: „Jak to możliwe, że kibel kosztuje więcej niż mieszkanie w Radomiu?". Teraz się okazuje, że to był dopiero przedsmak luksusu. Stołeczne elity kulturalne pokazują: kibel za 600 tys. to wcale nie jest przesada, skoro wanny za 800 tys. mogą stać w galerii i robić za arcydzieło. Eksponat jest wpisany na stałe do kolekcji MSN i należy do najdroższych zakupionych przez muzeum.

W tym wszystkim brakuje tylko jednego – by obok ekspozycji pojawił się pracownik muzeum z mopem i tabliczką: „Uwaga, śliska podłoga". Wtedy przechodnie mogliby się zastanawiać, czy to część wystawy, czy autentyczna interwencja techniczna. Ale być może o to właśnie chodzi w sztuce nowoczesnej – by widz nie wiedział, czy patrzy na dzieło, czy na przypadkowe przedmioty pozostawione w złym miejscu.

Niektórzy bronią instalacji, tłumacząc, że to prowokacja artystyczna. Że Lucas pokazuje rozpad, brzydotę i absurd świata, w którym żyjemy. Inni mówią, że chodzi o to, iż kompozycja wywraca do góry nogami wyobrażenie o klasycznej wystawie sztuki. Mi osobiście wnętrzności wywracają się na drugą stronę, gdy patrzę na to dzieło. Ale jakiś absurd rzeczywiście udało się uchwycić. Głównie na fakturze, gdzie widnieje kwota, za którą można wyżywić wszystkich bezdomnych w stolicy.

Może więc zamiast się oburzać, powinniśmy czerpać z tego wydarzenia inspirację? Skoro stare wanny i zniszczone buty mogą być sztuką, to kto wie – może moja piwnica też kryje dzieło na miarę światowych galerii? Jest tam stara pralka Frania, rower Wigry 3 bez łańcucha i rozklekotany stolik z PRL. Jeśli Trzaskowski jest zainteresowany, sprzedam po taniości. Za okrągły milion. Tytuł ekspozycji: „Polacy". Równie dobra jak „Rzymianie".

Sztuka nowoczesna ma to do siebie, że bywa trudna w odbiorze. Ale jeśli dzieło polega na tym, że widz czuje się oszukany i pyta: „Jak to możliwe, że za złom płacimy jak za zboże?", to chyba misja nie została wypełniona. A jeśli cały sens „Rzymian" tkwi w tym, że współczesny człowiek, zamiast oglądać majestatyczne kolumny i amfiteatry, podziwia zardzewiałe wanny i dziurawe buty, to nasza kultura bardzo nisko upadła.

Dorota Łosiewicz

Wielka Brytania

Ciche przebudzenie chrześcijaństwa

Zło często rodzi się tam, gdzie jest dobro, ale Bóg sieje też dobro tam, gdzie zakwitło zło. Jak bowiem wytłumaczyć znaczny wzrost wiary w Boga wśród młodych ludzi w Wielkiej Brytanii?

Dowodzi tego niedawny sondaż YouGov pokazujący, że w ciągu ostatnich czterech lat wśród osób w wieku 16–24 lata odsetek wierzących wzrósł z 16 do 37 proc. W tej samej grupie liczba osób identyfikujących się jako ateiści spadła z 49 do 32 proc. Ta tendencja – choć już mniej wyraźna –jest obserwowana także wśród dorosłych w wieku 25–49 lat. W sondażu nie sprecyzowano, jakiego wyznania są respondenci, nie podano też ich rasy ani pochodzenia etnicznego. Wiadomo jednak, że wzrost liczby osób identyfikujących się jako wierzące dotyczy również muzułmanów. Brytyjski spis powszechny z 2021 r. wykazał, że mniej niż połowa populacji identyfikuje się obecnie jako chrześcijanie w porównaniu z 59,3 proc. w 2011 r. W tym samym okresie populacja muzułmańska wzrosła z 2,7 mln do 3,9 mln osób, z czego prawie połowa ma mniej niż 24 lata.

Mimo to przebudzenie religijne wśród brytyjskiej młodzieży dotyczy także chrześcijan. Wyniki sondażu pokrywają się bowiem z raportem Towarzystwa Biblijnego. Wykazało ono, że frekwencja w kościołach wśród osób w wieku 18–24 lata wzrosła z 4 proc. w 2018 r. do 16 proc. w 2023 r. Zdaniem analityków młodzi Brytyjczycy są ciekawi Boga i swoich chrześcijańskich korzeni, a ich aktywność religijna jest m.in. skutkiem izolacji podczas pandemii.

Według ks. Damiana Feeneya z katolickiej parafii Lancashire rosnąca liczba młodych ludzi zainteresowanych wiarą wynika również z pragnienia stabilizacji w czasach pełnych chaosu i sekularyzmu. „To pragnienie doprowadziło do odnowienia zainteresowania tradycyjnym, liturgicznym kultem" – wyjaśnia ks. Feeney.

Wzrost zainteresowania chrześcijaństwem nie jest jednak równomierny i o ile wspólnoty zielonoświątkowe również doświadczają pewnego ożywienia, o tyle trapiony kryzysem Kościół anglikański nadal się kurczy. Podczas gdy od 2018 r. Kościół katolicki na Wyspach odnotował wzrost frekwencji z 23 do 31 proc., w tym samym okresie u anglikanów nastąpił spadek z 41 do 34 proc. Pogoń za nowoczesnością wyraźnie im zaszkodziła.

Maciej Walaszczyk

Fot. PannaPhoto/Shutterstock.com

Wybuch frustracji

Nepal

Po burzliwych demonstracjach Nepal ma nowy rząd. Parlament został rozwiązany, a wybory zaplanowano na marzec przyszłego roku. Jednak sytuacja ciągle jest daleka od stabilności.

Protesty zaczęły się po tym, jak poprzedni rząd Nepalu zablokował ponad 50 platform społecznościowych, aby zamknąć usta swoim krytykom. Ten krok wzburzył młodzież, dla której serwisy w rodzaju Instagrama, Whatsappa czy YouTube były nie tylko platformami komunikacyjnymi, lecz także miejscem oferowania usług oraz poszukiwania pracy. Demonstracje szybko się zradykalizowały, a po tym, jak broniąca pustego parlamentu policja zastrzeliła 19 protestujących, sytuacja wymknęła się spod kontroli. Manifestanci podpalili budynki rządu, biura prokuratora generalnego, siedziby partii parlamentarnych oraz wille prominentnych polityków, w tym pięciu byłych premierów. Minister spraw zagranicznych Arzu Deuba i jej mąż, były premier Sher Bahadur Deuba, zostali zaatakowani przez rozwścieczony tłum. Pani minister doznała tak rozległych poparzeń, że zmarła. Z kolei innych polityków prowadzono półnagich po ulicach. Demonstrujący spalili nawet hotel Hilton w stolicy Nepalu, bo rozeszły się plotki, że jego udziałowcem jest syn premiera. Ostatecznie według ostatnich szacunków liczba ofiar zamieszek w Katmandu przekroczyła 90 osób.

Nowy gabinet ma sformować była prezes Sądu Najwyższego Sushila Karki, znana ze swojej nieprzejednanej postawy wobec korupcji. Łapownictwo jest poważnym problemem w Nepalu. Demonstranci oskarżali rządzących o stworzenie systemu, w którym dba się wyłącznie o interesy władzy. W rezultacie społeczeństwo jest pozbawione perspektyw – pracy, możliwości kupna mieszkania czy utrzymania rodziny. Młodzi Nepalczycy masowo emigrują, szukając pracy na budowach w krajach arabskich, a w przypadku lepiej wykształconych – w Europie.

Niestabilna sytuacja w Nepalu utrzymuje się od obalenia monarchii w 2008 r. Nowe elity potrzebowały aż ośmiu lat, aby przyjąć konstytucję, a od 2018 r. władzę sprawowało 14 rządów. Polityka wewnętrzna Nepalu charakteryzowała się bowiem walką o władzę i zaciekłą rywalizacją w wąskim gronie polityków. Z reguły podział stanowisk następował w gronie trzech partii: Kongresu Nepalu, Partii Komunistycznej (Zjednoczeni Marksiści-Leniniści) i Partii Komunistycznej (Maoistowskie Centrum). Wszystkie trzy formacje utworzyły wąską oligarchiczną kastę odizolowaną od problemów społeczeństwa. Teraz to społeczeństwo dało upust swojej frustracji.

Marek Budzisz

Fot. Shiva24Gautam/Shutterstock.com

eprasa.pl 567bc8df25

Czad

Trójkąt śmierci

W ciągu ostatniej dekady pogranicze Burkina Faso, Mali i Nigru stało się ogniskiem rebelii dżihadystów. Jednak tuż obok, w miejscu, w którym Czad styka się z Kamerunem i Republiką Środkowoafrykańską, pojawił się kolejny obszar wyjęty spod prawa. Jest nazywany trójkątem śmierci, bo każdy, kto się w nim znajdzie, może już nigdy nie powrócić do domu.

W trójkącie śmierci rządzą przestępcy porywający ludzi dla okupu. Ich ofiarami są miejscowi kupcy, urzędnicy, pracownicy organizacji pomocowych i każdy, kto zdaniem bandytów może mieć krewnych lub przyjaciół zdolnych do opłacenia haraczu. W lutym 2024 r. została tam porwana polska lekarka i jej meksykański kolega, ale na szczęście udało się ich uwolnić po interwencji wojsk czadyjskich i francuskich. Niestety w wielu przypadkach porwani mogą liczyć tylko na własną rodzinę. Jeśli nie zdoła zapłacić za nich okupu, znikną bez śladu.

Według władz Czadu problem narasta z roku na rok. W 2022 r. łączna wartość zapłaconych okupów była szacowana na 80 tys. dol., a w roku następnym wzrosła do blisko 100 tys. Inne dane mają analitycy z Globalnej Inicjatywy Przeciwko Transnarodowej Przestępczości Zorganizowanej (GIATOC). Ich zdaniem tylko w sześciu porwaniach dokonanych w północnym Kamerunie wartość wymuszonych haraczy przekroczyła 150 tys. dol.

Porywacze rekrutują się z różnych środowisk. Część z nich to dżihadyści, którzy finansują w ten sposób własną rebelię, inni to zawodowi przestępcy i byli najemnicy. Wielu z nich przedostało się do Czadu z sąsiedniej Republiki Środkowoafrykańskiej, skąd wypchnęli ich rosyjscy wagnerowcy. Są wreszcie członkowie lokalnych plemion pasterskich, którzy dostrzegli, że porwania przynoszą całkiem wysokie – jak na tutejsze warunki – dochody.

Eksperci zwracają uwagę, że mnóstwo mężczyzn w Czadzie dorastało na polu bitwy i od dziecka ma styczność z bronią. Ścieżki kariery są dla nich bardzo wąskie – mogą być żołnierzami, dżihadystami, najemnikami lub zwykłymi bandytami. Możliwości działalności przestępczej znacznie wzrosły po obaleniu reżimu Kadafiego w Libii w 2011 r., gdy cały region Sahelu został dosłownie zalany bronią. Kolejnym ułatwieniem dla bandytów było przesunięcie wojsk czadyjskich pod granicę z Sudanem w obawie przed rozlaniem się trwającej tam wojny domowej na sąsiednie państwa. W rezultacie przestępcy opanowali całe południowo-zachodnie pogranicze Czadu.

Skutki tej sytuacji są bardzo poważne. W trójkącie śmierci praktycznie zamarło rolnictwo i handel, a pogłębiające się ubóstwo powoduje dalszy rozwój przestępczości, która wdarła się już do sąsiedniego Kamerunu. Bez jej zahamowania całemu regionowi grozi trwała destabilizacja.

Konrad Kołodziejski

Fot. Shutterstock.com x2

Chiny

Internet bez religii

Departament ds. Religijnych w Chinach ogłosił niedawno „Kodeks postępowania duchownych w internecie". Nowe prawo zabrania kapłanom organizowania spotkań online oraz jakichkolwiek zajęć religijnych o charakterze edukacyjnym, wygłaszania kazań na żywo w mediach społecznościowych, zamieszczania krótkich filmów i podcastów, tworzenia grup wyznaniowych na komunikatorach, prowadzenia kursów i szkoleń budzących skojarzenia religijne, organizowania lub uczestniczenia w internetowych działaniach religijnych, takich jak msze, nabożeństwa, ceremonie, modlitwy, chrzty lub recytowanie świętych ksiąg oraz przeprowadzania zbiórek pieniężnych na cele wyznaniowe.

Przed wpływem duchownych powinni być chronieni zwłaszcza najmłodsi. Kodeks zabrania kapłanom „rozpowszechniania idei religijnych i nakłaniania nieletnich do wiary religijnej w internecie, organizowania udziału nieletnich w edukacji religijnej, obozach letnich (lub zimowych) oraz organizowania lub zmuszania nieletnich do udziału w zajęciach religijnych".

Deklarowanym celem nowego prawa jest „utrzymanie porządku w sferze religijnej". Władze podkreślają, że nawet duchowieństwo „musi praktykować fundamentalne wartości socjalizmu", „dążyć do sinizacji religii" oraz „dostosować się do społeczeństwa socjalistycznego". W rzeczywistości oznacza to całkowite podporządkowanie wszystkich wspólnot wyznaniowych Komunistycznej Partii Chin.

Kodeks stwierdza też, że „duchowni nie mogą współdziałać z siłami zagranicznymi za pośrednictwem internetu ani wspierać lub brać udziału w zagranicznych działaniach związanych z infiltracją religii". Ten zakaz może być arbitralnie wykorzystywany przez władze w odniesieniu do Kościoła katolickiego w Chinach, który jest przecież strukturalnie związany z „siłami zagranicznymi", czyli Stolicą Apostolską. Ogłaszając nowe prawo, komunistyczny reżim poważnie ogranicza więc działalność ewangelizacyjną wśród młodzieży w internecie, a zarazem zyskuje kolejne narzędzie prawnego nacisku na Kościół.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 567bc8df25

Niemieckie wiatraki i pruski rachunek, czyli Energiewende po bandzie

Ach, drodzy czytelnicy, co za gorzka ironia! Niemcy, ci pruscy architekci porządku, którzy zawsze mieli plan na wszystko – od piwa po rakiety – mają gigantycznego kaca po zbyt długiej nocy marzeń o zielonej utopii. Ich najnowszy manifest energetyczny z 10 punktami „ratującymi" Energiewende czyta się jak pamiętnik inżyniera, który budził się z ręką pełną turbin wiatrowych i pustym portfelem.

To nie jest suchy raport, to komedia omyłek – mistrzowie precyzji przyznają, że ich transformacja to nie eliksir nieśmiertelności dla klimatu, lecz bomba z opóźnionym zapłonem dla gospodarki. Koszty rosną, dostawy kuleją, a konkurencyjność? Jak stary trabant na autostradzie – ledwo zipie.

Wyobraźcie sobie ten ich marsz – 2011 r., Fukushima wstrząsa światem, Angela Merkel, żelazna kanclerz, macha ręką na atom i ogłasza: „Energiewende, vorwärts!". Zieloni klaszczą, wiatraki rosną jak grzyby po deszczu, panele słoneczne pokrywają pola. Brzmi pięknie? Tylko że w praktyce to jak gra w ruletkę z pogodą – turbiny wirują, gdy wiatr zawieje, a jak nie – bum, wracamy do węgla i gazu z rur Nord Streamu, tych mostów przyjaźni z Putinem. Pamiętacie, jak Berlin pompował miliardy w rosyjski gaz, by podtrzymać swoje ekologiczne fantazje? Dziś, po wojnie na Ukrainie, te rury stoją puste, a Niemcy importują LNG z Kataru i USA po cenach, które bolą jak ząb u dentysty bez znieczulenia.

Efekt? Okresowe nadwyżki OZE eksportowane za nasze – tfu, ich – podatki, a w Niemczech luki w dostawach pokrywane węglem lub importem. Koszty zarządzania siecią, ten redispatch – sztuka wyłączania wiatraków, by nie przegrzać linii – zżerają po 5 mld euro rocznie. To jak organizacja pikniku w marcu – raz słońce świeci, wylegujesz się na trawie, a raz pada i uciekasz do najbliższego baru na pizzę (z dostawą z Moskwy). Ceny prądu? Skok o 30 proc., fabryki BMW i BASF patrzą tęsknie na Chiny, gdzie energia jest tania i stabilna, a nie jak w Niemczech – kapryśna jak berlińska pogoda. A subsydia? Miliony na „zielony" eksport, podczas gdy emeryt dostaje rachunek, za który mógłby kupić nowy dach.

No i ten ich „uczciwy monitoring" z umowy koalicyjnej – perełka! Prognozy zapotrzebowania na prąd i wodór pełne dziur jak ser szwajcarski. Zdolność płatnicza przemysłu i gospodarstw? Zapomniana jak stare archiwum. Zbyt późno zauważyli, że energia odnawialna to nie *perpetuum mobile* – trzeba inwestować w magazyny, sieci i rezerwy, co oznacza miliardy z budżetu. Bezpieczeństwo dostaw, ta niemiecka duma, zagrożone – atom wyłączony w 2023 r., węgiel do 2038 r., ale jako „zaplecze" planują elektrownie gazowe. Pragmatyzm? Dopiero po latach, gdy gospodarka umiera od energetycznego covidu.

A te 10 propozycji? Złoty deszcz humoru! **Pkt 1:** „Rzetelne prognozowanie zapotrzebowania" – bo wcześniej wróżyli z fusów. **Pkt 2:** odejście od stałych taryf na rzecz CfD i rynku – ach, witajcie w świecie, gdzie cena nie jest fikcją, ale taniej od tego nie będzie! **Pkt 3:** synchronizacja sieci z OZE i magazynami – brzmi jak marzenie, ale przy tej liczbie wiatraków w systemie, to jak budować most przy powodzi. **Pkt 4:** Rynek mocy z przetargami na gaz – elastyczne, otwarte na technologie – czytaj: wiatrak – spotyka rzeczywistość i dostaje lekcję pokory. I tak dalej – w teorii może i lepiej, a w praktyce? To się dopiero okaże. Niemcy stoją na rozdrożu, gdzie jedna droga to ruina – wysokie ceny, uciekające inwestycje, PKB na minusie o 0,5 proc. przez chaos. Druga? Powrót do rynku, innowacji i zdrowego rozsądku.

A u nas? Kiedyś, w erze twardych decyzji i wizji, stawialiśmy na dywersyfikację: Baltic Pipe huczał gazem z Norwegii, sieci przesyłowe rosły w ekspresowym tempie, OZE rozwijało się bez paniki i histerii. Prąd tańszy o dobre 20 proc. niż u sąsiadów, miks energetyczny zrównoważony – węgiel, gaz, atom w planach, odnawialne źródła jako dodatek, nie dyktator. Gospodarka kwitła, bo energia była filarem, nie balastem: stabilna, przewidywalna, służąca ludziom i fabrykom. Firmy inwestowały, bo wiedziały, że rachunek nie zaskoczy jak grom z jasnego nieba.

Dziś? Nowa koalicja, zafascynowana berlińskim modelem, naśladuje błędy jak echo w dolinie: więcej unijnych regulacji, mniej elastyczności, prognozy pełne optymizmu rodem z Energiewende. Ceny idą w górę, sieci stoją w miejscu, a zamiast budować rezerwy, gadają o cudach Brukseli i ETS, który dusi i polską gospodarkę, i portfele Polaków. Fabryki patrzą nerwowo na Azję, gdzie energia nie zależy od kaprysów pogody czy dyrektyw. Déjà vu boli podwójnie: naśladujemy nie sukcesy, lecz potknięcia. Zamiast multienergetyki z głową, dostajemy kopię niemieckiego scenariusza – zielonego, ale z rachunkiem dla zwykłego Kowalskiego.

Niemcy mogą wrócić na ścieżkę wzrostu, jeśli porzucą klimatyzm i postawią na prostotę – mniej norm, więcej innowacji, współpraca bez pouczania. My? Czas na otrzeźwienie: wrócić do korzeni – rynek, pragmatyzm, ochrona suwerenności energetycznej. Bo transformacja energetyczna to maraton, a nie sprint z przeszkodami. A Niemcy właśnie potknęli się o własne wiatraki – niech to będzie lekcja, zanim powtórzymy ten numer. Energia to nie kabaret, choć scenariusz piszą w Berlinie, a reżyserują w Warszawie.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 567bc8df25

Możemy uratować Polskę!

Marta Kaczyńska-Zielińska

W połowie września prezydent Donald Trump poinformował, że według najnowszych statystyk w ciągu ostatniego miesiąca na terytorium USA nie przedostał się ani jeden nielegalny imigrant. Powstrzymanie fali migracyjnej w Stanach Zjednoczonych jest najlepszym dowodem na to, że determinacja, konsekwencja, sprawność aparatu państwa sprzężone z wolą polityczną są w stanie zatrzymać zorganizowaną przestępczość trudniącą się szmuglowaniem ludzi. Prezydent Argentyny Javier Milei wprowadził w 2025 r. politykę „antyimigracyjną", która ogranicza dostęp do stałego pobytu i obywatelstwa, ułatwia deportację za drobne przestępstwa oraz wprowadza opłaty za usługi zdrowia publicznego i uniwersyteckie dla cudzoziemców.

W grudniu 2023 r. wszystkie kraje Unii Europejskiej, w tym Polska tuż po przejęciu władzy przez koalicję 13 grudnia, uzgodniły pakt w sprawie migracji i azylu, który pozwala Komisji Europejskiej na niemal arbitralną dystrybucję migrantów do poszczególnych państw UE. Holenderski rząd kierowany przez prawicową Partię Wolności zwrócił się jednak do Brukseli o klauzulę opt-out w sprawie przepisów azylowych. Minister ds. azylu i migracji Marjolein Faber stwierdziła, że Holendrzy muszą ponownie samodzielnie decydować o swojej polityce azylowej. Dania, Irlandia i Polska już wcześniej uzyskały klauzule opt-out z traktatów UE w różnych obszarach polityki, w tym dotyczących strefy euro, obszaru wolności, bezpieczeństwa i sprawiedliwości, strefy Schengen bez paszportów oraz Karty praw podstawowych. Uzyskanie klauzuli op-out w sprawie nielegalnej imigracji nie jest zatem wykluczone. O prawnej możliwości skorzystania z opisanej ścieżki przez Polskę wspominał ostatnio na spotkaniach w Krakowie i Kielcach prezes PiS Jarosław Kaczyński.

Grecja odnotowała w tym roku gwałtowny wzrost liczby imigrantów, w związku z czym zaostrzono prawo. Zgodnie z nowymi przepisami osoby ubiegające się o azyl, których wnioski zostały odrzucone i które nie opuszczą kraju w ciągu 14 dni, będą zagrożone karą pozbawienia wolności od 2 do 5 lat. Osoby przybywające bez odpowiednich dokumentów będą przetrzymywane w areszcie przez 24 miesiące (a nie przez 18 miesięcy jak dotychczas), a nielegalni migranci, którzy przebywają w Grecji od 7 lat, nie będą mieli prawa do legalizacji swojego statusu. Osoby uznane za winne nielegalnego wjazdu zostaną ukarane grzywną w wysokości 10 tys. euro.

Niedawna demonstracja prowadzona przez Tommy'ego Robinsona w Londynie pod hasłem „Zjednocz Królestwo" zjednoczyła na ulicach stolicy Wielkiej Brytanii największą liczbę demonstrantów w ostatnich dekadach. Nieprzebrane tłumy Brytyjczyków obaliły narrację, jakoby to wyłącznie agresywna, skrajna prawica domagała się uszczelnienia granic i ochrony rodowitych mieszkańców Wysp przed dominacją obcych kulturowo, nieasymilujących się migrantów, którzy żyjąc na koszt opieki społecznej, przyczyniają się do rujnowania gospodarki królestwa.

Na początku września były europoseł Philippe de Villiers zainicjował petycję wzywającą prezydenta Macrona do przeprowadzenia referendum w sprawie imigracji. Po zaledwie 10 dniach uzyskała ona 2 mln podpisów! Villiers chce zmusić prezydenta Francji do działania poprzez presję społeczną twierdząc, że „imigracja nie jest już tylko jednym z wielu problemów: jest kwestią centralną, napędzającą wszystkie inne.

W świetle obowiązujących w Polsce przepisów przeprowadzenie referendum w sprawie nielegalnej imigracji jest możliwe, a według lipcowego sondażu Polacy chcą wziąć udział w takim głosowaniu. Warunkiem jest zebranie 500 tys. podpisów pod wnioskiem o jego przeprowadzenie i udział co najmniej połowy uprawionych do głosowania. Wynik referendum będzie wiążący dla rządu. W 2023 r. potężna kampania antyfrekwencyjna przyniosła skutek i wielu Polaków odmówiło przyjęcia karty referendalnej. PiS zbiera podpisy pod wnioskiem o koleje referendum, a 11 października na pl. Zamkowym w Warszawie organizuje manifestację przeciwko nielegalnej imigracji. Spotkajmy się tego dnia w stolicy i wspólnie brońmy integralności Polski.

REKLAMA

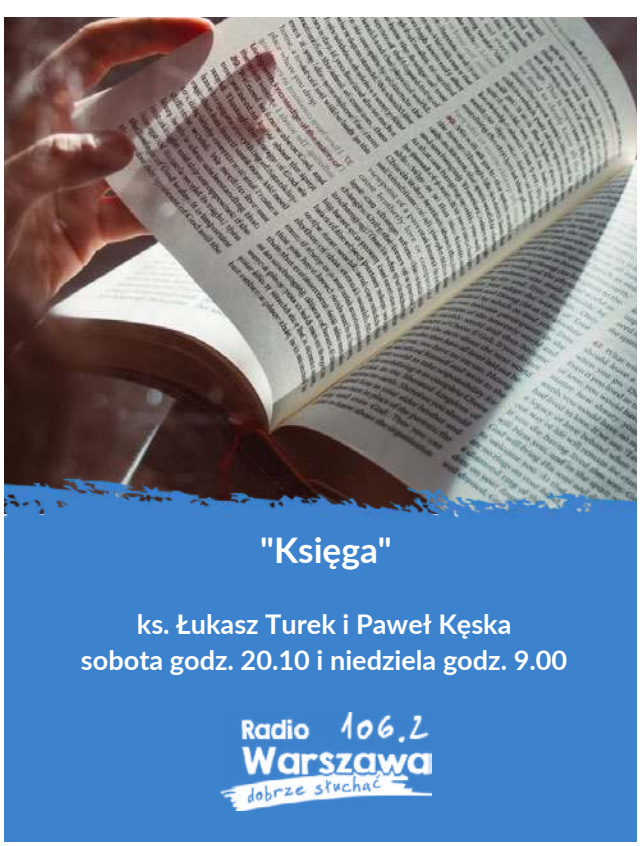

40/0825/F

eprasa.pl 567bc8df25

Walizka Valentyny Iakovenko

ośmiokrotnej medalistki Mistrzostw Polski w skoku o tyczce

Zaczęłam trenować od trzeciego roku życia według starej radzieckiej szkoły „wykuwania przyszłych mistrzów olimpijskich", gdzie już pięcioletnie dzieci muszą ćwiczyć po osiem godzin dziennie. Ta rutyna we mnie została i tak naprawdę od 19 lat nie opuściłam ani jednego dnia bez treningu. Po przeprowadzce do Polski w wieku 11 lat zainteresowałam się skokami o tyczce. Wyjazdy na zawody są ciężkie i skomplikowane, ponieważ z tyczkami nie można wsiąść do pociągu czy komunikacji miejskiej. Zapakowane po 10 sztuk do dużych pokrowców mogą być przewożone wyłącznie na dachu samochodu lub samolotem w luku bagażowym. Niestety po locie nierzadko odkrywamy, że są one popękane. W sezonie letnim i halowym łącznie wychodzi po 30 startów w zawodach. Sport to moje życie!

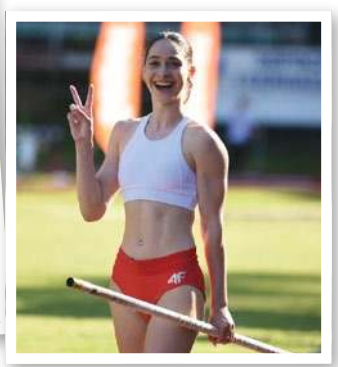

TYCZKI

Skaczę na tyczkach karbonowych, które są dosyć delikatne. Mamy kilka rodzajów: na krótki rozbieg, średni, rozgrzewkowy i do życiowych skoków. Pakiet tyczek w torbie waży 30–40 kg i ciągniemy go na barku.

OBUWIE

Są to typowe buty lekkoatletyczne z metalowymi wkrętami, żeby podczas rozpędu była lepsza przyczepność do tartanu. Podczas deszczu i śliskiego podłoża kolce są bezcenne

POLSKIE OBYWATELSTWO

Od pięciu lat jestem reprezentantką RP. To, że byłam młodą, perspektywiczną sportsmenką – w top 3 na poziomie Polski z rekordami, które zapisały się w top 10 w historii Rzeczypospolitej – przyspieszyło ścieżkę nadania mi polskiego obywatelstwa.

Fot. Jacek Cena, AK-SKA Photo, prywatne archiwum Valentyny Iakovenko, Decathlon, Shutterstock

eprasa.pl 567bc8df25

MEDALE

Podczas przeprowadzki z Ukrainy do Polski w 2014 r. mieliśmy tylko dwie duże torby na cztery osoby, w które trzeba było zapakować całe nasze życie. Zbuntowałam się, że bez medali nigdzie nie jadę i od tamtej pory zawsze mam je przy sobie. Od czasu do czasu rozkładam je i napawam się nimi. Te na zdjęciu to tylko promil mojej kolekcji.

PODUSZKA

Uwielbiam sen. W każdej wolnej sekundzie żartuję ze znajomymi, że „wzywa mnie randka z Morfeuszem", ale niestety przez depresję spokojny sen jest tylko marzeniem. A poduszka towarzyszy mi od moich pierwszych międzynarodowych zawodów w Mariborze.

APTECZKA

W moim wieku zabrzmi to śmiesznie, ale apteczka towarzyszy mi od dziecka. Zawsze mam pod ręką tabletki przeciwbólowe, plaster, maść przeciwzapalną czy rozgrzewającą.

HERBATY

Jestem wielką herbaciarą, zawsze mam ze sobą jedną saszetkę ulubionej herbaty na wypadek – nawet sama nie wiem czego. Piję litry herbaty dziennie.

„WŁOSOWY ZESTAW"

Mam bardzo długie, kręcone włosy i aby je umyć, koniecznie muszę mieć szczotkę oraz odżywkę. Jednak żadne zawody w moim życiu nie odbyły się bez lakieru, ponieważ gdy zwiążę włosy w kok, malutkie kręciołki dalej latają mi przed oczami.

SŁUCHAWKI

Uwielbiam muzykę, pomaga mi w gorszych i lepszych momentach. Rano, by się pobudzić, na zawodach – by się skupić, a w gorszych chwilach – by się wypłakać.

RÓŻOWE KLAPKI

Zawsze są w mojej walizce, bo nie wyobrażam sobie życia bez nich. Chodzę w nich non stop – na treningach, po domu, na spacerach. Zakładam do sukienki, do dresu, do krótkich spodenek.

CZAPKA

Od kiedy zachorowałam na depresję, to mój must have. Czapka z daszkiem daje mi jakieś poczucie schowania się przed światem, dzięki czemu czuję się lepiej na zewnątrz wśród ludzi.

MOJA DEPRESJA

Od półtora roku zmagam się z depresją. Sport pozwala mi się z nią mierzyć, ale równocześnie wspieram się psychoterapią i stosuję farmakologię. W razie potrzeby dzwońcie na bezpłatny numer zaufania dla młodzieży: 116 111, a dla dorosłych: 116 123.

MAGNEZJA

Biała kostka towarzyszy mi od 19 lat dzień w dzień. Spędziłam 10 lat, trenując gimnastykę sportową z magnezją na rękach aż do dziś, skacząc o tyczce.

Zapisał Michał Korsun

Podziękowania dla Aliny i Jacka Ceny za pomoc przy realizacji sesji

eprasa.pl 567bc8df25

Jan Pietrzak

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Czas wyrównać rachunki!

Krajowa władza niebezpieczeństwa – zwana tradycyjnie bezpieką – w osobie pana Dobrzyńskiego ogłosiła, że żaden sąd nie będzie decydował, czy prof. Cenckiewicz ma dostęp do informacji niejawnych, czy takiej zgody nie dostanie. No i co mu zrobicie, temu Dobrzyńskiemu? A przecież od odpowiedzi na tego rodzaju pytania zależy nasza przyszłość. Władza, która samopas opowiedziała się za demokracją walczącą, liczy na to, że nic się jej nie stanie po kolejnym popisie agresywnej bezczelności. Uprzedzała, że będzie walczyć. Nie z wrogami, z narodem polskim.

Dosyć szybko potwierdziła swoją doktrynę, w pierwszych miesiącach kradnąc narodowi media: TVP i Polskie Radio. One są bezspornie własnością wspólną, bo abonamenty na te użyteczne społeczeństwu komunikatory płaciło kilka pokoleń. I teraz te „nasze" media walczą właśnie z nami. Podawanie kłamliwych informacji jest bowiem rodzajem walki, wojną psychologiczną. Dezinformacja stanowi oręż niszczący zasady współżycia społecznego, broń w sporach ideowych i grabieżą w sprawach finansowych. To jest kalka tzw. demokracji ludowej.

Przerabialiśmy to wynaturzenie w peerelu, a jednak naszym wrogom znowu udało się wykoślawić demokrację. Doszło do tego, że spiskujący degeneraci zapragnęli przejąć Sąd Najwyższy. Gdyby nie zasadniczy i kompetentny sędzia Piotr Andrzejewski nie zareagował jak poseł Tadeusz Reytan przed wiekami, kto wie, co działoby się dziś w Warszawie. Dramatyczny obraz Matejki o tym wydarzeniu jest jedną z ikon naszej niełatwej historii.

Oczywiście sługusy wschodu i zachodu, agenci wszelkich maści, z postawy Reytana czynią groteskę i zgrywę. A kimże byli powstańcy warszawscy idący z butelką benzyny na czołgi, żołnierze wyklęci, a tak naprawdę niezłomni? Kimże byli kapłani wołający: *non possumus*, błogosławieni kardynał Wyszyński, ks. Jerzy Popiełuszko?

Przykładów gestu Reytana mamy w dziejach pod dostatkiem. Nieludzcy sąsiedzi, co rusz urządzając nam rozbiory, nie pozwalają na spokojny bieg naszego losu. Przykład z ostatnich dni: prezydent Nawrocki odwiedził Berlin, gdzie między innymi tematami przypomniał o straszliwej wojnie, zwanej drugą światową, którą Niemcy narzucili Polsce i przegrali. W europejskiej tradycji konsekwencją przegranych wojen są reparacje, odszkodowania. Na skutek zawiłego splotu okoliczności Polska takiego zadośćuczynienia nie otrzymała. Głównie dlatego, że wspólnikiem agresji Hitlera była Rosja Stalina, okupująca nasz kraj do 1992 r. Dopiero pokonanie tego imperium zła przez polską Solidarność sprawiło, że odzyskaliśmy podmiotowość państwową.

Polacy pół wieku po formalnym końcu wojny byli wyzyskiwani przez Rosję. Niemcy w nagrodę za 6 mln polskich ofiar otrzymali miliardy z planu Marshalla i powojenny „cud gospodarczy". Czas wyrównać rachunki.

Jedność na pokaz

Samuel Pereira

Rządzący w strachu apelują o ostrożność w przekazie, a Adam Szłapka przestrzega przed „pośpiechem" w informowaniu. Słuszne słowa, tyle że kierowane w niewłaściwą stronę. Bo to nie te „niedobre" media się kompromitują, lecz sami ministrowie. Marcin Bosacki wygłupił się na forum ONZ, a wcześniej Radosław Sikorski serwował światu narrację o rzekomym amerykańskim udziale w wysadzeniu Nord Streamu. To nie są drobne wpadki – to amunicja dla Kremla. I choć tweet Sikorskiego dziś zniknął, rosyjska propaganda miała już czym grać.

Tymczasem w Wyrykach wciąż leżą szczątki rakiety, którą oglądają mieszkańcy, a nie prokuratorzy. Telewizja wPolsce24 pokazuje dowody, a władza zamiast działać, obawia się, że prawda „naruszy jedność narodową". Ale kto ją naprawdę narusza? Premier, który jednym tchem zarzuca opozycji prorosyjskość, zapominając o własnych błędach. To Tusk alarmował o „dronach atakujących budynki rządowe", by później jego rzecznicy odkręcali tę dezinformację. To jego koledzy drwili przed laty ze Straży Granicznej, głosowali przeciw zaporze i stanowi wyjątkowemu. Dziś on sam staje na tle „pisowskiego muru" do zdjęć, jakby sam go zbudował.

„Polski żołnierz nie może się obawiać użycia broni" – grzmi Tusk. Piękne słowa, które brzmią jak kpina, gdy mundurowi są stawiani przed sądem za strzały oddane podczas służby na granicy. Polityczna retoryka nie zmienia faktu, że prokuratura działa przeciwko tym, którzy bronią granicy. To samo dotyczy polityki historycznej: premier potrafi w jednym tygodniu mówić o „oprawcach" z Armii Czerwonej, a za poprzednich rządów nazywał ich „wyzwolicielami". Taki taniec między pamięcią a zapomnieniem to nie polityka historyczna, lecz cynizm i czysta hipokryzja.

Bezpieczeństwo państwa nie jest grą w propagandę. Nie da się go budować na półprawdach, oskarżeniach i wygodnych narracjach. Polacy potrzebują rządu, który mówi prawdę i chroni żołnierzy, a nie władzy, która sama sobie zaprzecza i liczy na polityczną amnezję.

eprasa.pl 567bc8df25

W sprawie reparacji Niemcy będą respektować tylko konsekwencję

Wizyta prezydenta Karola Nawrockiego w Berlinie i rozmowy z prezydentem Steinmeierem oraz kanclerzem Merzem to ważny moment. Po przerwie i bagatelizowaniu sprawy temat reparacji powrócił na najwyższy szczebel politycznych rozmów polsko-niemieckich. To dobrze, bo Polska nie może milczeć wobec rachunku krzywd, który został nam wyrządzony. Ale trzeba jasno powiedzieć: jednym spotkaniem nie uda się zmienić rzeczywistości.

Od lat prowadzę intensywne działania, które w ogóle umożliwiły powrót tej sprawy do debaty międzynarodowej. Trzy lata temu na Zamku Królewskim w Warszawie został przedstawiony raport o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku niemieckiej agresji i okupacji. To był punkt zwrotny – fundament, bez którego dzisiejsze rozmowy w Berlinie byłyby niemożliwe. Potem nastąpiła nota dyplomatyczna do rządu RFN, uchwały Sejmu i Rady Ministrów, a także szeroko zakrojone działania na forum międzynarodowym: w Unii Europejskiej, ONZ, Radzie Europy. Spotkania, listy, rozmowy – wszystko po to, by budować świadomość i poparcie dla tej sprawy.

Nie jesteśmy w tym osamotnieni. Grecja otwarcie podnosi temat reparacji, łączą nas wspólne doświadczenia, wspólna pamięć i wspólne poczucie niesprawiedliwości. Dlatego dziś jako poseł do Parlamentu Europejskiego podejmuję działania na rzecz powstania mechanizmu rozwiązywania sporów historycznych, które przez dekady były zamiatane pod dywan.

Z wielką radością przyjmuję fakt, że prezydent Nawrocki dołącza do tego maratonu walki o reparacje za II wojnę światową. To ważny sygnał, że sprawa znów staje się wspólną racją stanu dla Polski. Niestety brak działań rządu jest tu kluczowy i znamienny. Musimy bowiem pamiętać: jeśli zabraknie konsekwencji i skoordynowanych w ostatnich latach pracy ekspertów gabinetu PiS, jeśli nie będziemy poszerzać kręgu sojuszników w Europie i na świecie, sprawa sama nie posunie się naprzód. Niemcy od dekad z sukcesem stosują metodę na przemilczenie, przedawnienie, zapomnienie.

Arkadiusz Mularczyk

Tartuffe na dziś

Charyzmatyczny 33-latek, który z każdej roli potrafi wydobyć zaskakujące nuty. Tak jak w najnowszej premierze Teatru TV, gdzie zagrał współczesną, a zarazem ponadczasową wersję tytułowego Tartuffe'a. Młodego, elektryzującego i skutecznie obłudnego. Rewelacją spektaklu – wyreżyserowanego przez Tadeusza Kabicza w znakomitej obsadzie, rytmie i intrygującej interpretacji – jest aktorski duet: Bartosz Bielenia i Piotr Adamczyk (Orgon).

Na pytanie, czy rozumie Tartuffe'a, odpowiada z przewrotnym uśmiechem: – Myślę, że tak. I nie dziwię mu się zupełnie. Też bym tak zrobił, jak byłbym w jego sytuacji.

O tłumaczeniu Jerzego Radziwiłowicza, który przełożył klasyczną sztukę, czerpiąc także z aktorskich doświadczeń, mówi: – Już podczas pierwszej czytanej próby usłyszeliśmy, jak ten tekst dobrze „leży w ustach" i w charakterach każdego z aktorów dobranych do spektaklu. To bardzo ciekawy zbiór osobowości [tworzą go równie: Magdalena Cielecka, Grażyna Szapołowska, Eliza Rycembel, Oskar Jarzombek, Dominika Kluźniak, Andrzej Konopka i Łukasz Szczepanowski – przyp. red.]. Siłą dobrego tekstu, który stał się klasyką jest to, że oddziałuje na widzów niezależnie od czasów, w których jest wystawiany. Wystarczy odpowiedni kontekst i napięcia między bohaterami okazują się bardzo uniwersalne, a ich problemy niezmiennie aktualne. Bardzo się cieszę z finałowego wydźwięku spektaklu.

Oprac. Jolanta Gajda-Zadworna

Premiera „Tartuffe'a" – 22.09, TVP1, godz. 20.30. Bielenię możemy też zobaczyć na Scenie Młodego Widza w spektaklu „Człowiek, jaki jest, każdy widzi" (niedz., 28.09, TVP1, godz. 14.00).

Fot. Natasza Mludzik/TVP

eprasa.pl 567bc8df25

TRENDY I OWĘDY

Mistrzowie dezinformacji

Ryszard Makowski

A tak dronów, które swobodnie przekroczyły naszą granicę od wschodu, wywołał niezwykły ferment. Pojawiły się oskarżenia o rosyjską dezinformację. Walczyły ze sobą wersje: drony przyleciały z Rosji kontra drony przyleciały z Ukrainy. Oficjalnie stanęło na tym, że z Rosji, a kto twierdzi inaczej jest ruskim prowokatorem. Prawdziwe zamieszanie zrobiło się jednak o to, co zniszczyło dach domostwa w Wyrywkach tej nocy, gdy nastąpił atak. Do ONZ wysłano jegomościa z ekipy podającej się za rząd i zaopatrzonego w zdjęcia, który na nadzwyczajnym posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa wygłupił się na cały świat, oświadczając, że te straty to efekt rosyjskiego nalotu dronami. Czy naszych ekspertów nie zdziwiło, że takie zniszczenia mógł wywołać dość lekki obiekt na wzór tych znajdowanych na polach? Aż wreszcie zdziwiło!

Gruchnęła wieść, że spowodowała to rakieta wystrzelona z F-16. I tu nastąpiła kumulacja dezinformacji. Pałac prezydencki zażądał dokładnego raportu o tym, co się wydarzyło. Na to premier Tusk wypalił na platformie X: „Łapy precz od polskich żołnierzy". Skąd ta nerwówka? Chodzi tylko o rzetelną informację.

Sprawy lotnicze muszą być dla premiera Tuska obsesyjną traumą. To za jego rządów rozbiła się CASA C-295M, którą wracali oficerowie Sił Powietrznych uczestniczących w 50. Konferencji Bezpieczeństwa Lotów Lotnictwa Sił Zbrojnych RP. Dziwna katastrofa. To także za jego rządów Tu-154M wystartował z Warszawy jako lot wojskowy, a w Smoleńsku rozbił się jako lot cywilny. Jeśli więc chodzi o dezinformację, szczególnie rosyjską, to obecny rząd jest niezastąpiony.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ERIKA KIRK/FACEBOOK, SCREEN X.COM X2, ANDZREJ WIKTOR X2, VITALY V. KUZMIN/WIKIPEDIA, SHUTTERSTOCK/AAPSKY, LILIGRAPHIE

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 567bc8df25

Wsparcie dla franczyzobiorców Żabki z zagranicy – powołano nowego konsultanta

W Polsce sklepy Żabka prowadzi ponad 10 tys. franczyzobiorców, a blisko 1 tys. z nich to przedsiębiorcy z zagranicy. Od września br. w strukturach sieci funkcjonuje nowe stanowisko – konsultant ds. wsparcia obcokrajowców, który współpracuje bezpośrednio z dyrektorem ds. relacji z franczyzobiorcami. Do jego zadań należy pomoc franczyzobiorcom i pracownikom zatrudnianym przez Żabka Polska. Najliczniejszą grupę cudzoziemców w sieci stanowią obecnie obywatele Ukrainy, są to także osoby pochodzące z m.in. Białorusi, Bułgarii, Kazachstanu, Uzbekistanu czy Rumunii

Żabka stale wdraża rozwiązania, które wspierają jej franczyzobiorców i ułatwiają prowadzenie biznesu. Jednym z efektów tych działań jest utworzenie nowej pozycji w strukturach firmy. Od września br. funkcję konsultanta ds. wsparcia obcokrajowców objął Artem Pisariev – franczyzobiorca i ambasador sieci. Do jego kluczowych zadań należą m.in. wsparcie operacyjne przedsiębiorców, koordynacja efektywnych szkoleń językowych i warsztatów adaptacyjnych, organizacja inicjatyw integracyjnych oraz zbieranie pomysłów od franczyzobiorców i bieżące wsparcie w biznesie.

– Chciałbym, aby każdy przedsiębiorca z zagranicy prowadzący sklep Żabka miał pewność, że może liczyć na narzędzia i wsparcie ułatwiające adaptację oraz prowadzenie działalności w nowym kraju. Sam przeszedłem drogę, na której różnice prawne czy podatkowe stanowiły wyzwanie, jednak dzięki pomocy sieci mogłem skupić się na rozwoju własnego biznesu. Dziś chcę wykorzystać to doświadczenie, aby wspierać innych franczyzobiorców obcokrajowców, być ich łącznikiem z Żabką i osobą, do której zawsze mogą zwrócić się o pomoc – mówi Artem Pisariev, konsultant ds. wsparcia obcokrajowców, ambasador i franczyzobiorca Żabki z Gdyni.

Artem Pisariev przyjechał do Polski w 2017 r. Początkowo prowadził firmę transportową, jednak pandemia zmusiła go do poszukania nowej drogi zawodowej. Zależało mu na stabilnym biznesie, który zapewni bezpieczeństwo jego rodzinie. W 2023 r. dołączył do grona franczyzobiorców sieci Żabka i przejął sklep w Gdyni. Dziś Artem zatrudnia aż 12 osób, spełnia się w roli ambasadora sieci oraz dzieli swoim doświadczeniem z przyszłymi przedsiębiorcami. Jego sukces stał się inspiracją dla jego żony, która również zdecydowała się poprowadzić sklep Żabka. Miała okazję śledzić poczynania męża i widziała, jakie możliwości daje współpraca z siecią.

Konsultant ds. wsparcia obcokrajowców współpracuje z Radą Franczyzobiorców – organem doradczym działającym od 2011 r. W 2024 r. Rada uczestniczyła w ponad 110 projektach, obejmujących m.in. poprawę jakości obsługi klienta, optymalizację logistyki i wdrażanie nowych rozwiązań technologicznych. Jej członkowie odbyli 562 spotkania online oraz 70 spotkań stacjonarnych.

Żabka stawia na partnerskie relacje i dialog, dzięki czemu skutecznie odpowiada na potrzeby przedsiębiorców i rozwija model franczyzowy w zgodzie ze współczesnymi wyzwaniami biznesowymi. Powołanie konsultanta ds. wsparcia obcokrajowców pokazuje, że sieć aktywnie tworzy przestrzeń do integracji i wzajemnego wsparcia, które są fundamentem trwałego sukcesu przedsiębiorców.

Artykuł sponsorowany | 07/0825/F

eprasa.pl 567bc8df25

Nazywają nas faszystami, by móc nas zabijać

Ideologia woke, obecnie dominująca forma myśli lewicowej, odrzuca wolność słowa, traktując ją jako formę przywileju i ucisku. W konsekwencji prowadzi to do nienawiści i przemocy wobec ludzi myślących inaczej, czego tragicznym świadectwem jest morderstwo Charliego Kirka, wpływowego amerykańskiego działacza prawicowego ruchu MAGA. Czy uda się postawić tamę lewicowemu terroryzmowi, rozzuchwalonemu w swojej bezkarności?

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Zabójstwo Charliego Kirka, dyrektora generalnego Turning Point USA i jednej z kluczowych postaci politycznego zaplecza Donalda Trumpa zapoczątkowało nowy okres napięć i niepewności w głęboko podzielonej politycznie Ameryce. Ujawniło także coś, co publicysta „Le Figaro" Mathieu Bock-Côté nazwał „nienawistną postępowością". I rzeczywiście – trudno powiedzieć, co jest bardziej odrażające: viralowe nagranie ukazujące, jak Kirk po strzale oddanym przez sprawcę Tylera Robinsona na Uniwersytecie Stanowym Utah przewraca się, łapiąc się za szyję, czy reakcja na nagranie tych, którzy uważają się za strażników demokracji.

W stacji MSNBC, powiązanej z Partią Demokratyczną, komentator Matthew Dowd obwinił Kirka: „Nienawistne myśli prowadzą do nienawistnych słów, które następnie prowadzą do nienawistnych czynów". W skrócie: Kirk sam jest sobie winien, że zginął. Tysiące podobnie jak Dowd cieszyło się na różnych platformach internetowych ze śmierci działacza MAGA. W Parlamencie Europejskim nie udało się go uczcić minutą ciszy, bowiem uniemożliwiła to przewodnicząca Roberta Metsola, wywodząca się bynajmniej nie z lewicy, ale z maltańskiej chadecji. To, że w ogóle doszło do sporu o to, jest zarazem zdumiewające i niepokojące. Liberalne elity wydawały się mówić: może byłoby lepiej, gdyby Kirk nie został zamordowany, ale sam się jednak (trochę) o to prosił.

MORALNY IMPERATYW

Przemoc polityczna i zamachy nie są oczywiście niczym nowym. Zdarzały się w przeszłości, być może nawet częściej niż dziś. Po 1989 r. chcieliśmy jednak wierzyć, że polityka przeszła antropologiczną transformację i że ludzie, nawróceni na demokratyczną teleologię, nie będą już chcieli podrzynać sobie nawzajem gardeł. Można się było spierać i nie zgadzać, ale zasadniczo nie uważało się przeciwników za złych, za wrogów. Ludzie szanowali wyniki wyborów. Takie były zasady gry.

Te zasady się zmieniły, i to za sprawą lewicy. „Odmienne perspektywy są uznawane dziś za nie do zniesienia. Polityka stała się konfliktem egzystencjalnym, doprowadzonym do paroksyzmu" – ocenia Mathieu Bock-Côté z „Le Figaro".

Lewica od lat systematycznie dehumanizuje swoich politycznych przeciwników. Słowo „populista", oznaczające trybuna ludowego odwołującego się do oczekiwań społeczeństwa, to dziś obelga. „Populiści" to oczywiście ci na prawicy. Manipulatorzy o dyktatorskich zapędach, których należy zwalczać. A jeśli to nie wystarcza, wyciągany jest argument ad Hitlerum. Prezydent USA Donald Trump jest regularnie porównywany do przywódcy III Rzeszy. Robiła to Anne Applebaum, która aby wzmocnić przekaz, dorzuciła jeszcze Mussoliniego oraz albańskiego dyktatora Envera Hoxhę.

Jakiś czas temu przypadkowo trafiłam na film dokumentalny pt. „Mit Hitlera" Petry Epperlein i Michaela Tuckera. Spodziewałam się nowego spojrzenia na najbardziej ponure akapity niemieckiej historii. Zamiast tego otrzymałam wywód o tym, dlaczego Trump niczym nie różni się od Hitlera, a ruch MAGA od NSDAP. Podobne bzdury wygadywali w ostatnich latach różnej maści eksperci z niemieckimi włącznie, którzy powinni przecież wiedzieć lepiej.

A skoro prawica to „faszyści", istnieje moralny imperatyw powstrzymania Trumpa, Vance'a i całej reszty oraz wykluczenia ich z polityki. Do osiągnięcia tego celu wszystkie środki są oczywiście dozwolone. Jak przestrzegał lider hiszpańskiej prawicowej partii Vox Santiago Abascal: „Oni nazywają nas faszystami, by móc nas zabijać".

I zabijają, także w Polsce, by przypomnieć mord dokonany w biurze Prawa i Sprawiedliwości w Łodzi w październiku 2010 r. Do budynku przy ul. Sienkiewicza wszedł uzbrojony w broń palną, nóż i paralizator Ryszard Cyba. Wtargnął do pokoju Marka Rosiaka, asystenta europosła PiS Janusza Wojciechowskiego, i oddał do niego osiem strzałów, z czego cztery okazały się śmiertelne. Próbującego go powstrzymać Pawła Kowalskiego, asystent posła Jarosława Jagiełły, poraził paralizatorem, a później zranił w gardło nożem. Na szczęście życie tego działacza PiS udało się uratować. Obezwładniony przez przybyłych strażników miejskich Cyba krzyczał, że „nienawidzi PiS" i najchętniej by „powystrzelał wszystkich".

Polityka jest – a przynajmniej powinna być – starciem idei. Powinna w tym być jakaś szlachetność. Tak właśnie rozumiał ją Charlie Kirk. Ten, który go zabił, nie chciał się mierzyć z ideami. Chciał zniszczyć poglądy, które go obrażały. Na jednym z nabojów, które Tyler Robinson pozostawił na miejscu zbrodni, widniał napis: „Hej faszysto! Łap!".

ŚWIĘTOWANIE MORDERCÓW

W Fox News komentator Jesse Watters przedstawił Kirka wręcz jako ofiarę drugiej wojny secesyjnej. „Czy to akceptujemy, czy nie, oni nas zabijają" – dodał. I nie jest to przesada.

Zeszłego lata 20-letni Thomas Crooks próbował zastrzelić Donalda Trumpa podczas spotkania z wyborcami w Butler w Pensylwanii. Później prezydent USA był celem drugiej, nieudanej próby zabójstwa. Sprawca, Ryan Routh, jest obecnie sądzony. W kwietniu br. Cody Balmer usiłował podpalić rezydencję gubernatora Pensylwanii Josha Shapiro w Harrisburgu, bo nie podobały mu się poglądy polityka demokratów na temat konfliktu w strefie Gazy. Shapiro jest Żydem. Balmer miał przy sobie dwa młotki, których chciał użyć przeciwko gubernatorowi, „gdyby go spotkał". Robin Westman, oskarżony o zastrzelenie dwójki dzieci w kościele katolickim w Minneapolis w zeszłym miesiącu, był transseksualistą i na broni, którą miał przy sobie, napisał flamastrem: „Zabij Donalda Trumpa", „Żydowski gaz" oraz „6 milionów to za mało". Podobnie Yaron Lischinsky i Sarah Milgrim, pracownicy ambasady Izraela, zostali zamordowani w maju

Fot. Andrea Renault/STAR MAX/IPX/Associated Press/East News

eprasa.pl 567bc8df25

przez skrajnie lewicowego propalestyńskiego maniaka. Pół roku wcześniej prezes UnitedHealthcare Brian Thompson został zastrzelony przez zamaskowanego mężczyznę, co zostało zarejestrowane na nagraniu z monitoringu przed nowojorskim hotelem, gdzie jego firma miała zorganizować konferencję dla inwestorów. Sprawcy, Luigiemu Mangionemu, nie podobał się sposób działania firm ubezpieczeniowych. Wielu Amerykanów fetowało Mangionego za jego czyn. Grupa jego fanów przebranych za postać Luigiego z gry Super Mario Brothers asystowała w jego procesie, pomstując przeciwko „złym kapitalistom". „Luigi zamiast faszystów" – widniało na koszulkach i plakatach. Powstał nawet ruch Free Luigi.

W marcu br. biuro Partii Republikańskiej w Nowym Meksyku zostało podpalone. Trzy lata wcześniej do domu Bretta Kavanaugh, sędziego Sądu Najwyższego nominowanego przez Trumpa, przybył mężczyzna z glockiem w ręku, by go zabić.

Tymczasem w węgierskim więzieniu siedzi niemiecka działaczka Antify Maja T., która w latach 2022–2023 z grupą kolegów i koleżanek atakowała członków prawicy w Saksonii, Lipsku, Eisenach oraz Budapeszcie, łamiąc im kości kończyn młotkami. Większość członków tzw. bandy młotkowej (Hammerbande) jest już na wolności. Pozostała tylko Maja T., która skarży się na „nieludzkie traktowanie" przez węgierskie władze.

To tylko kilka przykładów, bo lista jest naprawdę długa.

CZYSTE SZALEŃSTWO

Coraz bardziej istotnym elementem w tej lewicowej przemocy jest tożsamość płciowa i orientacja seksualna. Maja T. podkreśla przy każdej rozprawie apelacyjnej, że jest niebinarna, a zarówno Robin Westman, jak i zabójca Charliego Kirka czuli się w obowiązku bronić transseksualizmu. W serii listów napisanych przed atakiem na kościół i samobójstwem Westman wspominał, że jest „zmęczony byciem trans" oraz swoją dziewczyną, która jest tzw. furry, czyli przebiera się w zwierzęce kostiumy na konwencjach cosplay. Tyler Robinson żył zaś z transseksualną kobietą.

Gejowski dziennikarz Andrew Sullivan napisał w czerwcu na łamach „The New York Times", że ruch LGBT+ traci na znaczeniu w Ameryce, ponieważ uległ „radykalizacji". Według niego jego idee, jak choćby próby zmiany zasad biologicznych i propagowanie zmiany płci u dzieci, odstraszają współczesnych Amerykanów. A to rodzi u jego zwolenników złość i frustrację. „Nie wierzyłem i nie wierzę, że bycie mężczyzną lub kobietą nie ma nic wspólnego z biologią. Moja orientacja seksualna opiera się na biologicznym rozróżnieniu między mężczyznami a kobietami: pociągają mnie ci pierwsi, a nie te drugie. A teraz mam uwierzyć, że ta różnica nie istnieje?" – pytał.

> Lewicowa przemoc przybiera różne formy: od rasizmu przeciwko białym, ataków na samochody Tesla przez zabójstwa prawicowych działaczy, członków Straży Granicznej przeprowadzających deportacje po terror radykalnych ekologów

Jego zdaniem drugim poważnym problemem tej nowej wersji ruchu LGBT+ jest nadmierne skupienie się na kwestii orientacji seksualnej dzieci. „To szaleństwo. Czyste szaleństwo" – podkreślił. Według niego poparcie dla społeczności trans systematycznie maleje, a wręcz zamienia się w niechęć. Sullivan zakończył swój artykuł apelem do liberałów, by chronili sukcesy ruchu na rzecz praw osób homoseksualnych i nie poświęcali ich dla radykalnej ideologii. „Nie marnujmy tego" – zaznaczył.

Rewolucja jednak dawno zaczęła pożerać swoje dzieci. Pierwsza transseksualna olimpijka Chelsea Wolfe zareagowała radością na śmierć Kirka, deklarując, że chciała zdobyć złoty medal w jeździe na rowerze BMX tylko po to, by móc na podium „spalić amerykańską flagę". „Zrobiliśmy to!" – cieszyła się w mediach społecznościowych. Dodała, że „bycie nazistą jest opcjonalne". Kirk mógł być postępowy, mógł popierać ruch trans, ale wybrał inaczej, więc należała mu się śmierć.

RELIGIJNY ZAPAŁ

Naukowcy w USA już od jakiegoś czasu biją na alarm w związku z narastającą „kulturą zamachów" za oceanem. Network Contagion Research Institute oraz Laboratorium Percepcji Społecznej Uniwersytetu Rutgersa połączyły siły w niedawnym raporcie na ten temat, ostrzegając, że masowe podpalenia samochodów Tesla, a także pomysł zabijania miliarderów stały się „estetycznym memem", zwłaszcza wśród skrajnej lewicy.

„Przemoc polityczna wymierzona w Donalda Trumpa czy Elona Muska uważana jest za coś normlanego, pożądanego" – ostrzegali badacze. „Po próbie zamachu na prezydenta Trumpa 13 lipca 2024 r. tolerancja, a nawet poparcie dla przemocy politycznej wydaje się rosnąć, szczególnie wśród lewicowych grup społecznych" – czytamy w raporcie. W badaniu 55 proc. Amerykanów o lewicowych inklinacjach zadeklarowała, że przemoc polityczna jest akceptowalna.

By to zrozumieć, trzeba jednak sięgnąć dalej w przeszłość. Do śmierci czarnoskórego George'a Floyda z rąk policjanta w 2020 r. i będących tego konsekwencją brutalnych zamieszek. Jak pisze portal „The Atlantic", latem 2020 r. wielu przedstawicieli lewicy „wychwalało bezprawie i przemoc jako wybaczalne przestępstwa, jeśli nie polityczne cnoty". Ruch Black Lives Matter zmuszał białych do klękania przed czarnymi i błagania o wybaczenie za niewolnictwo, rasizm i niesprawiedliwość społeczną. Większość protestów wiązało się z przemocą lub niszczeniem mienia albo z jednym i drugim. Kradzież, szabrowanie sklepów, zabójstwa. Świecka

eprasa.pl 567bc8df25

retoryka sprawiedliwości społecznej nabrała religijnego zapału.

W szczególności „białość" została zdefiniowana jako grzech pierworodny. Pojawiła się okazja dla tych lepszych, postępowych białych, by odciąć się od tych „gorszych" białych – tych na dole, negujących swoje winy. Przemoc była uzasadniona, bo dokonywali jej czarni, grupa – zdaniem lewicy – poddawana opresji. Prawie nikt nie poniósł kary. Na tej samej zasadzie amerykańscy demokraci bronią przestępczości i bezprawia w rządzonych przez siebie miastach, które ich zdaniem Trump śmiał bezprawnie najechać za pomocą Gwardii Narodowej, by zaprowadzić w nich porządek.

W tych miastach przemoc zabija nie polityków, lecz zwykłych ludzi. Ostatnio jej ofiarą padła młoda uchodźczyni z Ukrainy Iryna Zarucka, zamordowana przez Afroamerykanina, który po tym, jak ugodził ją w autobusie nożem, powiedział, że cieszy się, iż „zabił tę białą".

Fot. Evan Vucci/Associated Press/East News

ODWET JEST REALNY

„Przemoc polityczna jest zła i nie do obrony. To rak, który będzie się sam napędzał i rozprzestrzeniał" – napisał na platformie X po zabójstwie Kirka liberalny publicysta Tommy Vietor. Trudno się z nim nie zgodzić. Coraz częściej znajduje ona zresztą odzwierciedlenie na prawicy.

Przykładem są choćby ataki na kongresmenów i senatorów demokratów w ostatnich latach – jak historia mężczyzny, który włamał się do domu Nancy Pelosi i próbował zamordować jej męża młotkiem, czy Vance'a Boeltera, wieloletniego aktywisty antyaborcyjnego, który w czerwcu zabił spikerkę Izby Reprezentantów Minnesoty Melissę Hartman oraz jej męża. Hartman była politykiem Partii Demokratycznej i lobbowała za rozszerzeniem prawa do aborcji. Po strzelaninie w Minnesocie demokratyczny kongresmen Greg Landsman powiedział w wywiadzie dla „Timesa", że za każdym razem, gdy wyruszał w kampanijną trasę, prześladowała go wizja siebie, leżącego na ziemi, zamordowanego. „Wciąż mam to w głowie. Nie sądzę, żeby to zniknęło" – dodał. Republikańska senator Lisa Murkowski z Alaski powiedziała latem tego roku na konferencji: „Często bardzo się boję zabierać głos, bo odwet jest realny".

To, że zagrożenie przemocą polityczną jest tak powszechne, powoduje, że nieufne pozostają nie tylko ruch MAGA i sam Trump, lecz także cały kraj. „W Utah ludzie stojący najbliżej sceny szybko rzucili się na ziemię, a potem setki innych, gdy tylko zdali sobie sprawę z tego, co się dzieje. Była to wizualna manifestacja strachu, który się rozprzestrzeniał" – pisał magazyn „The New Yorker", opisując zabójstwo Kirka.

MOWA NIE JEST PRZEMOCĄ

Tyle że o tej prawicowej przemocy mówimy ciągle, a o lewicowej – w zasadzie wcale. Tymczasem, jak pisze redaktor naczelny „The Sunday Telegraph" Allister Heath, ideologia woke, obecnie dominująca forma myśli lewicowej, szczególnie wśród młodych ludzi z wyższym wykształceniem, odrzuca wolność słowa, traktując ją jako formę przywileju i ucisku. „To obskurancki system ideologiczny, który prowadzi do niebezpiecznych wniosków. Słowa nie są przemocą. Mowa nie jest przemocą. Milczenie nie jest przemocą. Nie ma czegoś takiego jak mikroagresja. Nie masz prawa używać przemocy fizycznej, aby uciszyć tych, z którymi się nie zgadzasz" – czytamy.

Lewicowa przemoc przybiera obecnie różne formy: od rasizmu przeciwko białym, ataków na samochody Tesla i inne mienie znienawidzonych bogaczy przez zabójstwa w USA członków Straży Granicznej przeprowadzających deportacje po terror radykalnych ekologów, który w przypadku takich ruchów jak Extinction Rebellion, blokujących drogi, doprowadził w Niemczech do śmierci mężczyzny, do którego nie dojechała karetka.

Sondaż YouGov przeprowadzony dwa tygodnie przed śmiercią Charliego Kirka wykazał, że 34 proc. Amerykanów o poglądach liberalnych lub bardzo liberalnych uważa, że „cieszenie się ze śmierci osób publicznych jest akceptowalne". Zgodziło się z tym tylko 7 proc. osób o poglądach konserwatywnych lub bardzo konserwatywnych. Jest to znacząca różnica, która powinna dać liberałom do myślenia.

Nie mam jednak wielkich nadziei. Donald Trump się odgraża, że zrobi porządek z „lewicowymi terrorystami", zaczynając od NGO finansowanych przez Gerorge'a Sorosa. A politycy Partii Demokratycznej spieszą zapewnić, że Ameryce potrzeba konsensusu, ba, kompromisu. Za mało, za późno.

eprasa.pl 567bc8df25

Kolej wielkich wątpliwości

ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

Ten przetarg to bagno. Z której strony nie powąchać, tam śmierdzi. Mam wręcz wrażenie, że po porażce Trzaskowskiego nie ma chętnych, żeby to doprowadzić do końca. Nikt nie chce siedzieć. Myślę, że oni to szybko ogłoszą, pogadają, zbiorą oferty, przedłużą, co się da, a zanim skończą, będzie już nowa władza. I pewnie nowy przetarg – mówi nam jeden z dobrze znających problematykę Kolei Dużych Prędkości urzędników Ministerstwa Infrastruktury.

Jeśli przepowiednia naszego rozmówcy się spełni, Polska nie będzie miała zapowiedzianych niedawno przez Donalda Tuska najszybszych kolei w Europie. Może za to mieć rodzimych producentów superszybkich składów i sieć połączeń kolejowych dającą impuls wzrostu nie tylko największym metropoliom, lecz także mniejszym, choć niepozbawionym aspiracji miastom. To dwie przeciwstawne koncepcje. Połączyć się ich po prostu nie da.

PISOWSKA MEGALOMANIA

Przypomnijmy, w skrócie i bez wchodzenia w techniczne szczegóły, o co chodzi. Rząd PiS wymyślił, a następnie przygotował budowę Centralnego Portu Komunikacyjnego. Integralną częścią projektu miały być szprychy kolejowe, łączące lotniczy hub z mniejszymi i większymi miastami w Polsce. W jego ramach miała funkcjonować Kolej Dużych Prędkości. Według koncepcji opracowanej przez poprzednie władze pociągi miały jeździć z prędkością maksymalną 250 km/h.

Będąc w opozycji, Platforma Obywatelska za wszelką cenę chciała zastopować inwestycję. Politycy partii nazywali ją „pisowską megalomanią", mówiąc wprost, że jej jedynym celem jest „pisowskie złodziejstwo", a źli pisowcy biorą gigantyczne pieniądze za „pilnowanie pola".

Po przejęciu władzy przez PO i koalicjantów wszystko wskazywało na to, że CPK zostanie zaorany. Jaskrawym sygnałem intencji Donalda Tuska stało się

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 567bc8df25

Warty kilka miliardów złotych przetarg na tabor dla Kolei Dużych Prędkości zostanie ogłoszony w atmosferze skandalu. Są ludzie, którzy oficjalnie i pod nazwiskiem mówią: władza ustawia go pod producenta z Niemiec

mianowanie na stanowisko pełnomocnika rządu ds. budowy Macieja Laska, lidera akcji prowadzonej pod hasłem „Stop CPK". Operacja była prowadzona na rympał, wywołując gniew wielu ludzi i środowisk, często popierających dotąd PO albo przynajmniej zwalczających PiS. Powstało stowarzyszenie „TAK dla CPK", a symbolem ponadpartyjnego oporu przeciwko wygaszaniu inwestycji stały się wspólne działania Marcina Horały z PiS i Pauliny Matysiak z Razem.

Rząd stopniowo wycofywał się z narracji o „pisowskiej megalomanii". Projekt przycinano, „urealniano", pozbawiano wielu atutów, ale już nikt nie mówił, że trzeba się z niego wycofać. Przeciwnie – rządowa propaganda uderzała w coraz bardziej mocarstwowe tony. Ich zwieńczeniem była zapowiedź premiera Donalda Tuska, że nasza Kolej Dużych Prędkości będzie najszybsza w Europie. I że pociągi nie będą jeździć z marną, pisowską prędkością maksymalną 250 km/h, tylko 320 km/h, a nawet 350 km/h. A kto się z tym nie zgadza, narzeka, że taka kolej ominie np. Kalisz, ten malkontent i niepatriota.

Jest jeszcze jeden problem. O ile polscy producenci w sprzyjających okolicznościach i przy odpowiednio zakreślonym terminie mogliby dostarczyć pociągi osiągające 250 km/h, to takich, o których zamarzył Tusk, po prostu nie zapewnią. Chętnie zrobią to zagraniczni producenci. Najchętniej zaś – zdaniem dziesiątków komentatorów – niemiecki Siemens.

CZY PRODUCENT ZOSTAŁ JUŻ WYBRANY?

W lipcu br. w fachowych mediach zajmujących się kolejnictwem gruchęła wieść: pociągi ICE 3neo produkowane przez Siemens Mobility i jeżdżące w barwach Deutsche Bahn rozpoczęły testy na torze doświadczalnym w Żmigrodzie.

„Jeśli nie wiecie, to wam mówię, że producent taboru KDP już został wybrany. Teraz pozostaje tylko zrobić »piar«. No i trzeba jeszcze pod ten wybór zaprojektować infrastrukturę o niepotrzebnych parametrach, które to parametry ten wybór uzasadnią" – skomentował informację o testach wiceprezes „TAK dla CPK" Patryk Wild.

„Prędkość maksymalna 250 km/h to polski tabor, niższe koszty i tańsze bilety. Prędkość maksymalna 320 km/h to konieczność zagranicznego taboru i wyższe ceny biletów. Dlaczego rząd tak mocno forsuje 320 km/h? Odpowiedź chyba nasuwa się sama" – opisywał istotę sporu Adam Czarnecki, inicjator akcji „Stoimy dla CPK".

A już zupełnie wprost wyraził się lider stowarzyszenia Maciej Wilk: „Zapłacimy niemieckiemu Siemensowi dodatkowe miliardy po to tylko, aby z Warszawy do Poznania i Wrocławia jechać 1 h 40 min, a nie 1 h 55 min, jak zakładano w pierwotnym planie CPK. Ale w zamian dostaniemy droższe bilety, pozbawimy szansy polskich producentów taboru i zwiększymy wykluczenie komunikacyjne całych regionów".

O jakich pieniądzach mówimy? PKP Intercity, które przeprowadzi przetarg na tabor, chce zamówić 26 pociągów. Koszt jednego z nich można oszacować na 35–37 mln euro. W sumie za same pojazdy wychodzi więc blisko 1 mld euro. Jakieś 4,2 mld zł. Do tego infrastruktura, serwis, kolejne pociągi w kolejnych przetargowych paczkach. Gigantyczny tort, gargantuiczna uczta.

Zapytaliśmy Ministerstwo Infrastruktury, czy jakakolwiek polska firma ma szansę wygrać przetarg na tabor dla KDP. O dziwo, otrzymaliśmy odpowiedź. Właściwie pozbawioną treści, ale zawsze. MI podkreśla, że „postępowania dotyczące zakupu taboru dużych prędkości będą prowadzone w formule przetargów otwartych, zgodnie z prawem krajowym i unijnym", co oznacza, że „udział w nich mogą brać wszystkie zainteresowane podmioty, w tym firmy polskie (także w konsorcjach z podmiotami zagranicznymi)".

Urzędnicy przypominają, że „na liniach KDP będą kursować zarówno pociągi osiągające prędkości do 350 km/h, jak i wolniejsze (do 200 km/h), co da pasażerom możliwość wyboru pomiędzy szybszymi a tańszymi połączeniami".

Co więcej, nie tylko nie będzie wykluczania polskich producentów, lecz także nie ma mowy o wykluczeniu transportowym mniejszych miejscowości. „Wręcz przeciwnie – rezygnacja z koncepcji tzw. piasty i szprych na rzecz modelu policentrycznego pozwala obsłużyć większą liczbę ośrodków miejskich, wspiera równomierny rozwój regionów i zapewnia decentralizację połączeń" – twierdzi MI. Jeśli więc ktoś chciał wykluczać, to pisowcy.

Nie będzie też wcale drogo, zresztą zawsze będzie można pojechać jakimś wolniejszym, a przez to tańszym pociągiem. Wszystko jest w porządku.

Dość szczegółowe pytania zadaliśmy także Siemensowi. Niemcy potrzebowali dwóch tygodni, by wyprodukować garść banałów.

Skąd testy ICE 3neo na torze w Żmigrodzie? Claas Belling, rzecznik prasowy Siemens Mobility: „Trwające testy ICE 3neo w Polsce są prowadzone przez Deutsche Bahn. Aby uzyskać więcej informacji, prosimy o kontakt z tą firmą".

eprasa.pl 567bc8df25

Jak wyglądają kontakty Siemensa z polskim rządem, spółką CPK, kolejami? Czy spotykali się może z przedstawicielami władzy? Z kim? Belling: „Od 2025 roku uczestniczymy w otwartym, formalnym dialogu technicznym CPK dotyczącym przyszłego przetargu na zakup pociągów dużych prędkości i infrastruktury dla nowych linii".

„Jesteśmy wiarygodnym i solidnym partnerem polskiej gospodarki, z blisko 35-letnim doświadczeniem na polskim rynku kolejowym i ponad 140-letnim na całym świecie. Wraz z lokalnymi partnerami planujemy zaoferować Polsce kolejne technologie, takie jak pociągi dużych prędkości i rozwiązania sygnalizacyjne" – skwitował Belling. I już.

„FERRARI NA TORACH"

Bez żadnych odpowiedzi pozostały za to pytania zadane przez nas PKP Intercity, a więc spółce, która przeprowadzi przetarg. W związku z tym cofnijmy się do pierwszego słynnego zamówienia na superszybkie pociągi przezeń realizowanego. „Ferrari na torach, które zmieni polską kolej" – tak sprzedawano informację o zakupie przez Polskę pociągów Pendolino.

To było drugie podejście do tematu. Pierwszy przetarg, ten z 1998 r., wygrany przez Fiat Ferroviaria, producenta Pendolino, został unieważniony. Najwyższa Izba Kontroli stwierdziła, że ze względu na stan polskiej infrastruktury szybkie pociągi i tak będą jeździć wolnej po naszych torach. Niegospodarność – orzekła NIK, traktowana wówczas poważnie i ciesząca się prestiżem.

10 lat później, w szczycie popularności pierwszego rządu Donalda Tuska, padła zapowiedź: będzie polskie TGV! Do przetargu stanęło kilka firm, ale ofertę złożył tylko Alstom, który wcześniej kupił włoskiego producenta Pendolino. Firma otrzymała opiewający na 665 mln euro kontrakt na dostawę 20 pociągów, budowę zaplecza w Warszawie i utrzymanie techniczne sprzętu.

Szybko się okazało, że są kłopoty. „Choć Pendolino zgodnie z umową miało rozwijać prędkość 250 km/h, będzie mogło jeździć maksymalnie 160 km/h" – oznajmił pewnego dnia „Puls Biznesu". Powód? Brak homologacji na wyższe prędkości. Potem było tylko smutniej. Pendolino nie zawiozły kibiców na Euro 2012, a kiedy w końcu ruszyły, to z prędkością 160 km/h. Do dziś nie działa w nich normalnie internet, a Pendolino, choć homologowane do prędkości maksymalnej 250 km/h, nie jeździ szybciej niż 200 km/h.

„Zakładano, że trzeba przeskoczyć epokę. To nie była najlepsza decyzja. Trzeba było postawić na pociągi osiągające prędkość do 160 km/h" – narzekał ówczesny wicepremier Janusz Piechociński.

I choć ówczesny minister transportu Sławomir Nowak (wówczas jeszcze nikt nie pisał o nim „Sławomir N.") jeszcze w 2013 r. rugał malkontentów i śmiał się, że to jakieś „smerfy marudy", to z początkiem 2014 r. pracę stracił odpowiedzialny za realizację umowy prezes PKP Intercity Janusz Malinowski. „Utrata zaufania" – tak komunikowano powód rozwiązania kontraktu z menedżerem.

> O ile polscy producenci w sprzyjających okolicznościach i przy odpowiednio zakreślonym terminie mogliby dostarczyć pociągi osiągające prędkość 250 km/h, to takich, o których zamarzył Tusk, czyli jadących z prędkością do 350 km/h, po prostu nie zapewnią. Chętnie zrobią to zagraniczni producenci. Najchętniej zaś – zdaniem dziesiątków komentatorów – niemiecki Siemens

„NIE PODZIELAMY TAKIEJ ARGUMENTACJI"

Malinowski odzyskał zaufanie i dziś jest na powrót prezesem PKP Intercity. Znowu odpowiada za wielkie, warte niewyobrażalne pieniądze zamówienie. I znowu wszystko kręci się wokół prędkości zamawianych pociągów.

Prezes spółki przewozowej był niedawno pytany, jak odpowie na zarzut, że szykowany przez niego przetarg to woda na młyn producentów zza granicy.

„Nie podzielamy takiej argumentacji. Polscy dostawcy nie dysponują produktami na 250 km/h i według ich własnych deklaracji nie są w stanie takiego taboru w zakładanym terminie projektu CPK opracować i dostarczyć. Potrzebujemy sprawdzonych i niezawodnych rozwiązań, a nie testowania prototypów i ponoszenia wszystkich ryzyk z tym związanych, którymi obarczalibyśmy dodatkowo naszych pasażerów" – mówił na łamach portalu Rynek Kolejowy.

Co więcej, według Malinowskiego faktyczne wykluczenie z epokowego przetargu ma być „idealnym momentem do kolejnego kroku w rozwoju" polskich firm, bo przecież „nie ma lepszej drogi do pozyskania nowych technologii i wejścia w segment high speed niż współpraca z doświadczonym partnerem".

– Polscy producenci mają potencjał do wyprodukowania pociągu zdolnego osiągać 250 km/h w ciągu kilku lat – twierdzi jednak w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" Michał Czarnik, wiceprezes „TAK dla CPK". – Dlatego należy zaproponować nie tradycyjny przetarg, ale tzw. partnerstwo innowacyjne. To tryb udzielenia zamówienia publicznego, który umożliwia realizację zamówień na innowacyjne produkty, które nie są jeszcze dostępne na rynku. Zamawiający może wykorzystać ten tryb do znalezienia i zakupu nowych, niestandardowych rozwiązań, przeznaczonych dla polskiego rynku. Tak, nikt dotąd tego nie robił w odniesieniu do taboru kolejowego. Ale nie, nie jest to nie do zrobienia. Zawsze musi być pierwszy raz jak w przypadku każdego

eprasa.pl 567bc8df25

niestandardowego rozwiązania, bez tego nie ma rozwoju – wyjaśnia Czarnik.

– Pieniądze zostałyby w Polsce, nasze firmy rozwinęłyby swoje technologie, w kolejnych krokach moglibyśmy oczywiście zwiększać prędkość. Rząd zaś idzie po linii najmniejszego oporu. Napisać SIWZ, ogłosić przetarg i koniec. A że zarobią zagraniczne podmioty, a my zostaniemy z problemami? No cóż... – dodaje.

Czy to tylko asekuranctwo? Lenistwo? A może chodzi właśnie o to, żeby zarobił ktoś inny, a nie Polacy?

– Na to pytanie z oczywistych względów odpowiedzieć nie mogę – ucina Czarnik.

PISOWIEC JAKUBAS, PUNKOWIEC RACHWALSKI

Narrację szefostwa PKP Intercity kontruje także właściciel polskiego Newagu Zbigniew Jakubas. „Polskie firmy są w stanie w ciągu pięciu lat dojść do produkcji 350 km/h. Jesteśmy w stanie. Przy współpracy w naszym przypadku być może z Siemensem bądź inną firmą" – stwierdził w rozmowie na Kanale Zero jeden z najbogatszych Polaków.

„Pytanie natomiast, czy jest taka potrzeba. Czy lepiej jechać 220–230 km/h do Poznania czy Krakowa, co zajmuje niespełna dwie godziny, z biletem o połowę tańszym, czy pojechać pociągiem 320 km/h, gdy bilet będzie kosztował dwa razy drożej?" – pytał Jakubas.

Biznesmen niczym najbardziej zapiekli członkowie „Tak dla CPK" podkreśla także, że zamawianie dzisiaj pociągów mogących osiągnąć prędkość 320 km/h jest bez sensu także ze względów infrastrukturalnych.

„Jest jeszcze kwestia infrastruktury, której w ogóle nie mamy. Czy wierzycie państwo, że infrastruktura pod 300 km/h powstanie w ciągu najbliższych 10 lat? Bo ja w to nie wierzę" – wyjaśniał.

Właściciel Newagu mówi takie rzeczy? Przedsiębiorca, który w kampanii wyborczej wspierał finansowo Platformę, jedzie jakimiś pisowskimi tekstami? Niewykluczone, że właśnie tak pomyślał Piotr Rachwalski, wiceprezes Centralnego Portu Komunikacyjnego, odpowiedzialny w spółce za sprawy związane z koleją.

W przeszłości Rachwalski był uczestniczącym w zadymach z policją punkiem, działaczem skrajnie lewicowej Federacji Anarchistycznej i jednym z założycieli słynnego skłotu Rozbrat w Poznaniu. Założył prywatną firmę transportową, piął się po szczeblach kariery, by w 2014 r. zostać prezesem Kolei Dolnośląskich. Zwolennicy Rachwalskiego i on sam podkreślają, że za jego kadencji KD rozwijały się błyskawicznie, zwiększając kilkakrotnie liczbę przewożonych rocznie pasażerów. Przeciwnicy – że to żadna zasługa byłego punka, a raczej dolnośląskiego samorządu i dotacji z UE.

„On ma autokreację na zbawcę polskiej kolei. Prawda jest taka, że nie spierdolił tego, co wielu mogłoby spierdolić koncertowo. Trafił na bogate województwo, trafił na marszałka, który kumał kolej i kumał, że kolej jest dla aglomeracji ważna, inaczej ta aglomeracja się rozsypie, bo wszyscy będą tam wjeżdżać samochodami. Najlepszy nawet prezes bez kumatego samorządu nie zrobi nic" – cytowała jednego ze znajomych Rachwalskiego autorka poświęconego mu tekstu w magazynie „Pismo".

> Kiedy zostanie ogłoszony przetarg na Koleje Dużych Prędkości? Nie wiadomo. Kto w nim wystartuje – też nie wiadomo. Nawet jeżeli szybko, to zanim wpłyną oferty i specjaliści zaczną je oceniać, może się zmienić władza, a wtedy wszystko zacznie się od początku. A Polacy nadal będą jeździć wolniej niż szybciej

JEST POSUCHA

Jedno jest pewne: Rachwalski nienawidzi PiS (paradował na koncertach rockowych w koszulce ze znanym wszystkim gwiazdkowym hasłem) i jest wyjątkowym arogantem. On jest najmądrzejszy, inni – bezdennie głupi. On zna fakty – inni posługują się wyłącznie fejkami. On wszystko przewidział – inni nie mają za grosz wyobraźni.

Do tego dochodzi temperament trolla internetowego. Na swoim publicznym profilu na Facebooku Rachwalski wykuwa post za postem, także w godzinach, kiedy większość normalnych ludzie pracuje. Sporo tam fachowości, a także mnóstwo zwykłego chamstwa. Są również argumenty na rzecz najszybszej z szybkich kolei i zagranicznego taboru, który doskonale ją obsłuży.

Rachwalski uważa, że zapowiadany kształt przetargu to świetna wiadomość. Chciałby, aby prędkość maksymalna większa od 320 km/h była wręcz „jakoś dodatkowo punktowana". Cieszy się, że oprócz pewniaków typu Alstom czy Siemens zęby na fortunę od państwa polskiego ostrzą sobie podobno też Talgo, Caf, Hyundai czy Hitachi. Za chwilę skraca nazwę Siemens do S., bo „idioci od urażania uczuć religijnych czy patriotycznych dostają drgawek, widząc nazwę firmy na S., za to nie przeszkadza im, że prezydent Nawrocki jeździ też niemieckim BMW, a nie np. Izerą".

Co ciekawe, dla bądź co bądź członka władz polskiej państwowej spółki, jaką jest CPK, powodem do radości wydają się być spodziewane zyski zagranicznych producentów.

„Jest posucha, od lat prawie nie ma przetargów w Europie na nowe high speedy, a producenci sporo zainwestowali w swoje produkty, chcieliby jakoś zdyskontować te olbrzymie nakłady, lata projektowania i testów" – pisze wprost Piotr Rachwalski.

Jeszcze 10 sierpnia wiceminister infrastruktury Piotr Malepszak mówił, że przetarg na tabor dla KDP zostanie ogłoszony w przyszłym roku. Kilka dni potem zmienił wersję, zapowiadając go na 2025 r. Według krążącej w mediach wersji to wiekopomne wydarzenie może nawet uświetnić zaplanowane na 23–26 września targi TRAKO w Gdańsku. Tak czy siak – wielka gra rozpocznie się już niebawem.

eprasa.pl 567bc8df25

Rozwód po konfederacku?

Konfederacja, przez lata postrzegana jako różnorodny, ale względnie spójny twór prawicowo-wolnościowy, jest trawiona przez konflikt znacznie wykraczający poza bieżące starcia o polityczną taktykę. Wydawało się, że po tym, jak „na swoje" odszedł Grzegorz Braun z Włodzimierzem Skalikiem *et consortes*, wewnętrznej zgodzie i owocnej współpracy chwilowo nic nie zagraża. Tymczasem każdego dnia coraz wyraźniej widać, że pod jednym szyldem funkcjonują faktycznie dwie niemal zupełnie różne formacje polityczne, a rywalizacja między Ruchem Narodowym Krzysztofa Bosaka i Nową Nadzieją Sławomira Mentzena zaczyna owocować trwałym pęknięciem Konfederacji.

Są dwie Konfederacje, a rozstanie Krzysztofa Bosaka ze Sławomirem Mentzenem wydaje się nieuniknione. Dzisiaj pytanie nie brzmi „czy", ale „kiedy" i „z jakim skutkiem"

Formalnie nikt jeszcze nie zapowiada rozpadu, oficjalne deklaracje lojalności wciąż są składane, ale codzienne decyzje, gesty i publicystyka uprawiana przez liderów pokazują, że Konfederacja to dzisiaj dwa światy: instytucjonalny konserwatyzm wicemarszałka Sejmu Bosaka oraz medialno-biznesowy show Mentzena. I nie są to drobne różnice – to rozjazd w sprawie fundamentalnych wartości, stylu i strategii politycznej.

MENTZEN NAWARZYŁ PIWA

Za praprzyczynę wspomnianego pęknięcia można uznać to, co zdarzyło się w Toruniu przed drugą turą wyborów prezydenckich. Po transmitowanej w sieci rozmowie Sławomira Mentzena z Rafałem Trzaskowskim lider Nowej Nadziei zaprosił do swojego toruńskiego pubu prezydenta Warszawy i Radosława Sikorskiego. Dla Mentzena to była forma politycznego show: spotkanie, rozmowa, „piwo z..."

Do fotomontażu wykorzystano zdjęcia: Andrzej Wiktor x2, Shutterstock

eprasa.pl 567bc8df25

jako format komunikacji, bez bariery protokołu. Jednak dla większej części prawicowego elektoratu taka „kumpelska" relacja z czołowymi politykami PO była nie do zaakceptowania.

Reakcja Krzysztofa Bosaka – który gościł akurat w studiu Kanału Zero – była jednoznaczna. Wyraźnie skonfundowany postawą politycznego współpracownika Bosak przyznał, że on by nie poszedł na piwo z Trzaskowskim czy Sikorskim. Nie krył zdziwienia scenariuszem wydarzenia, w którym współlider Konfederacji obsadził się w roli rozrywkowego gospodarza politycznego salonu. Widać było wyraźnie, że to, co dla Mentzena jest narzędziem budowy osobistej marki i rozszerzenia zasięgu, dla Bosaka stanowi ryzyko zmiany tonu polityki – od poważnej agendy programowej ku spektaklowi, który z definicji łatwo wymyka się kontroli. Zwłaszcza jeśli za kolportaż przekazów bierze się Radosław Sikorski. To tego wieczoru wielu wyborców Konfederacji zaczęło sobie stawiać pytanie, czy ma ona być ruchem poważnym i propaństwowym, czy jedynie mediowym brandem, który „rozkręca" dyskusję, „wywraca stoliki", ale niekoniecznie chce kiedykolwiek wziąć odpowiedzialność za państwo.

ZATROSKANY I OUTSIDER

Od niesławnego piwa minęło kilka miesięcy, wybory wygrał Karol Nawrocki, a Sławomir Mentzen zażegnał kryzys wizerunkowy wywołany wizytą we własnym pubie. Różnice w sposobie prowadzenia polityki przez Mentzena i Bosaka, nawet jeśli były, to trudno zauważalne i raczej niewarte uwagi. Aż do 11 września. To tego dnia posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego zwołane przez prezydenta Karola Nawrockiego ujawniło kolejne wielkie rozbieżności między obydwoma liderami Konfederacji. Bosak opisywał spotkanie jako poważne, konstruktywne i dające podstawy do zrozumienia stanu gotowości i wyzwań obronnych. Mentzen przyznał natomiast publicznie, że jego wątpliwości po RBN wzrosły – nie odczuł uspokojenia, nie miał przekonania, że decyzje będą rozsądne. Mieliśmy więc dwie skrajnie odmienne postawy: Bosak angażuje się w mechanizmy państwowe, Mentzen zachowuje postawę wiecznie niezadowolonego outsidera, formułującego maksymalnie „klikbajtowe" sądy nawet w obliczu poważnych wyzwań dla bezpieczeństwa państwa. To jednak fundamentalna różnica w rozumieniu roli polityka.

Zaraz po RBN mieliśmy sejmowe głosowanie, które jeszcze wyraźniej pokazało, że różnice pomiędzy dwoma nurtami Konfederacji sięgają podstawowych wartości. Zgłoszona przez PiS poprawka do ustawy o pomocy Ukrainie uznająca promocję banderyzmu za tożsamą z promowaniem komunizmu i nazizmu była testem politycznej wrażliwości. Ku zdumieniu wielu, Sławomir Mentzen, lider ugrupowania, które zebrało wielu zwolenników dzięki krytycznej postawie wobec Ukrainy, zagłosował przeciw. W jego ustach pojawiło się tłumaczenie, że uczynił tak, gdyż od lat jest „zwolennikiem wolności słowa w stylu amerykańskim". Czy naprawdę kogoś przekonał? Nie. O tym, jak bardzo to głosowanie było dziwaczne nawet dla najbliższego kręgu Mentzena, niech zaświadczy zabawna scenka z udziałem europosłanki Nowej Nadziei Ewy Zajączkowskiej-Hernik. Komentując w telewizji wyniki głosowania nad poprawką, bardzo ostro skrytykowała wszystkich, którzy głosowali przeciw. Nie wiedziała wówczas, że jest wśród nich jej szef. Nie przyszło jej do głowy – co zupełnie zrozumiałe – że Mentzen czy jakikolwiek inny poseł Konfederacji mógł tak zagłosować.

Na marginesie: trudno sobie przypomnieć wcześniejsze dowody rzekomo fundamentalnego przywiązania Mentzena do wspomnianej „wolności słowa". Czy protestował on, np. kiedy współtworzący jeszcze wówczas Konfederację Grzegorz Braun wyrwał mikrofon Janowi Grabowskiemu, gdy ten po raz kolejny chciał opowiadać o polskim udziale w Holokauście? Czy Mentzen naprawdę uważa, że o Polakach i polskiej historii powinno się mówić zupełnie bezkarnie i wszystko, co ślina na język przyniesie w „stylu amerykańskim"? Czy może raczej jego głosowanie w Sejmie było jedynie próbą podkreślenia własnej indywidualności i pompowania ego?

KONTRAST JEST OSTRY

Kolejną miedzą, na której rozchodzą się drogi Bosaka i Mentzena, jest polityka społeczna i gospodarcza. Część posłów z Nowej Nadziei poparła poprawkę autorstwa Klaudii Jachiry (!) z Koalicji Obywatelskiej o ograniczeniu 800+ tylko do pracujących Polaków – gest, który dla tradycyjnego elektoratu narodowego (częścią idei narodowej jest wszak solidaryzm społeczny) pozostaje całkowicie nie do zaakceptowania. Ruch Narodowy Bosaka trzyma tu konsekwentnie przeciwstawny, społecznie wrażliwy kurs. Głosowaniem wysłano sygnał: Mentzen nadal będzie promował skrajnie wolnorynkowe i – co słusznie podkreśla Jarosław Kaczyński – zupełnie archaiczne już dziś rozwiązania, Bosak stawia na percepcję interesu społecznego i obronę konkretnych grup wyborców. Innymi słowy, Mentzen chętnie zginie za fiskalny „realizm", chce „oczyszczać" państwo z programów socjalnych, a Bosak widzi w nich element budowy spójności społecznej, którą Konfederacja powinna chronić. Czy tak dwie skrajnie różne postawy da się na dłuższą metę pogodzić w ramach jednego projektu politycznego? No nie, nie da się.

Co ciekawe, format „Piwo z Mentzenem" przetrwał wpadkę z Trzaskowskim i stał czymś więcej niż tylko publicznym eventem. To mechanizm budowy rozpoznawalności, scena, na której Mentzen pokazuje, że politykę można sprzedawać jak produkt, monetyzować jak show, a interakcję z przeciwnikami przemieniać w tzw. kontent. To działa: polityk śrubuje wyniki oglądalności i zasięgów, zarabia też w mediach społecznościowych niemałe pieniądze. Tyle że polityka zakładająca możliwość rządzenia to nie tylko fejm – to decyzje, częste kompromisy i odpowiedzialność. Mentzen potrafi być świetnym gospodarzem medialnym, ale popełnia gafy, które dla stabilności politycznej jego własnego ugrupowania mogą być bardzo niebezpieczne. Pokazała to najlepiej debata z Mateuszem Morawieckim, w której lider Konfederacji, chcąc za wszelką cenę pozostać w kontrze do byłego premiera, w pewnym momencie postanowił bronić tezy

eprasa.pl 567bc8df25

o „dobrych, niskich płacach" jako atucie Polski na arenie międzynarodowej. Taka argumentacja, choć może brzmieć jak neoliberalny paradoks, w praktyce osłabia wiarygodność polityka, który aspiruje do poważniejszej roli państwowej. Nie istnieje bowiem na świecie społeczeństwo, w którym polityk mówiący ludziom w twarz, że ich niskie pensje są atutem, może liczyć na poparcie umożliwiające objęcie władzy.

Kontrast jest ostry. Nielubiący spektaklu, a przez to przysłonięty krzykliwą osobowością Mentzena Bosak konsekwentnie buduje narrację państwowego konserwatyzmu: podkreśla rolę tradycji, broni rodzin, kładzie nacisk na suwerenność. Jako wicemarszałek Sejmu stał się poniekąd gwarantem stabilności wewnątrz formacji – jest politykiem, którego działania bywają powolne, ale są przewidywalne. To postawa, która może przyciągać wyborców ceniących porządek i konsekwencję. To może być także polityczna droga do władzy – subtelna, pozbawiona mediatyzacji na miarę viralowych filmików Mentzena.

Który z nich okazałby się bardziej popularnym liderem, gdyby zaczęli działać jedynie na własny rachunek? Czy polityczne doświadczenie, elokwencja i konsekwencja Bosaka okazałaby się towarem bardziej atrakcyjnym dla wyborcy prawicy niż nachalna medialność i nieprzewidywalność Mentzena? Wydaje się, że tak.

KORWIN, TYLKO MA MNIEJ CZASU

Warto spojrzeć też na rolę Mentzena przez pryzmat jego pierwszego politycznego mentora Janusza Korwin-Mikkego. Torunianin w wielu elementach przypomina tę postać: to polityk publicysta, który preferuje rolę recenzenta, prowokatora i wychowawcy ideowego własnego elektoratu. Korwin-Mikke przez dekady konsekwentnie unikał odpowiedzialności za rządzenie, a jednocześnie utrzymywał stałą bazę oddanych sympatyków, których nieprzerwanie dostarczały mu ogólniaki, a potem nawet gimnazja. Mentzen, całkiem jak on, demonstracyjnie dystansuje się od partyjnej biurokracji i z dumą eksponuje swoją niezależność – ale to też droga, która może prowadzić do marginalizacji, jeśli ambicje o realnym wpływie nie znajdą politycznej adaptacji. Innymi słowy, Korwin-Mikke „skończył się" po trzech dekadach, ale w dzisiejszym, znacznie bardziej dynamicznym świecie Mentzen nie dostanie tyle czasu, by wygodnie funkcjonować na obrzeżach prawdziwej polityki.

> Korwin „skończył się" po trzech dekadach, ale w dzisiejszym, znacznie bardziej dynamicznym świecie Mentzen nie dostanie tyle czasu, by wygodnie funkcjonować na obrzeżach prawdziwej polityki

Pęknięcie, choć w znacznej mierze bierze się z różnic charakterologicznych obu liderów, jest także spowodowane sporem strategicznym. Dylemat pozostaje prosty: czy Konfederacja ma być siłą, która wchodzi do rządu i bierze odpowiedzialność za państwo (scenariusz, w którym główną rolę odgrywa Bosak), czy ruchem, który karmi się jedynie swoim antyestablishmentowym nastawieniem, stale punktującym władzę i mobilizującym elektorat (scenariusz, w którym Mentzen gra pierwsze skrzypce). Oba warianty mają sens polityczny, ale będą skrajnie niekompatybilne w ramach jednej formacji, gdy przyjdzie czas powyborczych decyzji.

Teoretycznie rozwód dwóch Konfederacji nie jest przesądzony, nie musi nastąpić natychmiast, ale jest logicznie nieunikniony w dłuższej perspektywie. Najbardziej prawdopodobnym momentem jego ogłoszenia będzie sytuacja, w której partia stanie przed dylematem wejścia do koalicji rządowej – wtedy odpowiedzialność instytucjonalna wystawi na próbę Mentzena. Pęknięcie może się poszerzyć także przy okazji kluczowych głosowań, które wymagają spójnego przekazu i jednoznacznej decyzji. Inne newralgiczne punkty to kryzysy bezpieczeństwa lub gospodarcze, kiedy presja na jedność i pragmatyzm będzie największa.

W praktyce obu liderom opłaca się opóźniać rozstanie tak długo, jak to możliwe. Dla Bosaka to okres budowania pozycji państwowej, dla Mentzena to wciąż czas rozwoju marki. Takie budowanie napięcia jest racjonalne, ale kosztowne: wyborcy widzą rozdźwięk, a przeciwnicy wykorzystują go do delegitymizacji obydwu polityków jako poważnych partnerów w przyszłym rozdaniu władzy.

TRZY DROGI

Przed Konfederacją są trzy drogi. Pierwsza: wewnętrzny kompromis i powyborcza koalicja z PiS. Bosak akceptuje większą rolę Mentzena w kampanii, a ten zgadza się na ograniczenia retoryczne i akceptuje ciężar decyzji rządowych. Konfederacja wchodzi do rządu, ale traci powab „antysystemowości" i „różnorodności" – i część wyborców.

Trwały sojusz taktyczny. Obie frakcje pozostają w klubie, operują nacechowaną dwubiegunowo retoryką i dzielą elektoraty – model niestabilny, ale możliwy przed kolejnymi wyborami.

Rozstanie. Gdy presja odpowiedzialności stanie się nie do udźwignięcia, nastąpi formalny rozłam – Ruch Narodowy pójdzie własną drogą, Nowa Nadzieja będzie rozbudowywała własne struktury. W krótkiej perspektywie obie formacje mogą stracić; w długiej – każda zyska ideową jasność.

Wydaje się zatem, że dopóki nie nadejdzie moment, w którym trzeba będzie wybrać między spektaklem a odpowiedzialnością, obie strony będą unikać gwałtownego rozstania. Ale to tylko odsuwa decyzję w czasie – nie usuwa konieczności jej podjęcia. Kiedy presja stanie się nie do zniesienia, każda z dwóch Konfederacji pójdzie własną drogą. A na polskiej scenie politycznej zostanie otwarty nowy rozdział walki o to, kto reprezentuje prawdziwą prawicę: ten, kto potrafi rządzić, czy ten, kto potrafi zadziwiać.

Bartosz Życiński

eprasa.pl 567bc8df25

„Razem możemy więcej”

Rozmowa z Piotrem Gurgulem i Małgorzatą Bacajewską z SALTUS Ubezpieczenia

SALTUS Ubezpieczenia obchodzi właśnie 30-lecie. To ważny moment. Jak patrzycie na ten czas?

Piotr Gurgul, dyrektor sprzedaży w bankach spółdzielczych: To trzy dekady pełne historii naszych klientów. Od początku stawiamy na relacje i bliskość. Nie tworzymy produktów dla statystyk, ale dla ludzi – rodzin, przedsiębiorców, osób, które chcą czuć się bezpiecznie i mieć wsparcie w trudnych chwilach. Każda polisa to tak naprawdę czyjeś życie, czyjaś codzienność.

W branży finansowej łatwo mówić o liczbach, trudniej o emocjach. A jednak podkreślają państwo właśnie ten wymiar.

P.G.: Bo on jest najważniejszy. Owszem, sprzedaż i wyniki są potrzebne, ale jeśli nie ma za nimi człowieka, to cała misja traci sens. Od początku kierowaliśmy się prostą zasadą: klient musi czuć, że jesteśmy po jego stronie.

SALTUS Ubezpieczenia angażuje się też w życie lokalnych społeczności. Jak to wygląda w praktyce?

Małgorzata Bacajewska, zastępca dyrektora sprzedaży w bankach spółdzielczych: Pomaganie mamy wpisane w DNA. Wspieramy szkoły, domy dziecka, szpitale, organizujemy zbiórki, akcje prewencyjne i wolontariat pracowniczy. Często pomysły wychodzą od samych pracowników – wtedy jako firma wspieramy je i rozwijamy. To nie jest odgórna strategia, tylko autentyczna potrzeba serca.

A jak w tym wszystkim odnajdują się zasady ESG, które dziś są coraz ważniejsze?

M.B.: Dla nas ESG nie jest modnym hasłem, tylko codziennością. Dbamy o transparentność, uczciwość i odpowiedzialne zarządzanie. Wspieramy też inicjatywy ekologiczne i edukacyjne. To naturalna konsekwencja naszej filozofii – skoro jesteśmy blisko ludzi, musimy też dbać o środowisko i przyszłość wspólnot, w których żyją nasi klienci.

Wspomnieli państwo o akcjach prewencyjnych. Może przykład?

P.G.: Dobrym przykładem jest nasza akcja związana z ubezpieczeniami mieszkaniowymi. Klienci, którzy zdecydowali się na polisę, otrzymywali czujniki czadu i gazu. To prosta rzecz, ale może uratować zdrowie i życie. Tak rozumiemy odpowiedzialność – nie tylko zapewnić odszkodowanie, lecz także realnie chronić ludzi.

30 lat to piękny jubileusz. Co dalej?

M.B.: Chcemy rozwijać się razem z klientami. Oczywiście będziemy wdrażać nowe produkty, uproszczone procesy i lepszą obsługę, ale fundamentem pozostanie człowiek i jego potrzeby.

P.G.: Dokładnie. Dziękujemy wszystkim, którzy przez lata obdarzyli nas zaufaniem. To dzięki nim wiemy, że nasza praca ma sens. Nasze motto na kolejne lata brzmi: „Razem możemy więcej” – i tej zasady będziemy się trzymać.

Artykuł sponsorowany | D6/0425/F/ZAL

eprasa.pl 567bc8df25

Plecak ewakuacyjny nie wystarczy

Czy Polska jest dobrze przygotowana do ewentualnego konfliktu zbrojnego? Pod względem militarnym zrobiliśmy w ostatnich latach wielki krok do przodu, ale jako społeczeństwo jesteśmy niemal bezbronni

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Niedawne wtargnięcie rosyjskich dronów w polską przestrzeń powietrzną było – a w każdym razie powinno być – otrzeźwieniem dla wszystkich, którzy już zapomnieli o tym, że za naszą wschodnią granicą trwa wojna. To zarazem sygnał alarmowy, że najwyższy czas zmienić priorytety państwa i nasze myślenie, bo w przeciwnym razie możemy stać się łatwym celem dla Moskwy.

Można zrozumieć, że nieprzyjemne rzeczy, takie jak śmierć, choroba czy właśnie wojna, wypiera się ze świadomości. Jednak samo ich wyparcie nie spowoduje, że znikną. A do tej pory Polacy zdawali się wierzyć, że wystarczy odwrócić głowę od zagrożeń, aby zapewnić sobie spokój. Jednak to tak nie działa. Trzeba na poważnie wziąć łacińską maksymę: „Jeśli chcesz pokoju, to przygotuj się do wojny" i podnieść poziom alertu.

BRUTALNY TEST

Wojna na Ukrainie trwa już ponad trzy lata. Mieliśmy naprawdę wystarczająco dużo czasu, aby przygotować się na najgorsze scenariusze. I nie chodzi wyłącznie o działania odstraszające – tu ogromną zasługę należy przypisać rządowi PiS, który uruchomił szeroko zakrojony program zbrojeń – ale również o stworzenie całego systemu ochrony ludności cywilnej: budowę sieci schronów, opracowanie planów ewakuacyjnych, organizację opieki medycznej czy edukacji obywateli. Tutaj nie zrobiono prawie nic. Jeżeli wydarzy się coś złego, jesteśmy niemal bezbronni.

Przykrą ilustracją tego stanu było wtargnięcie nad Polskę rosyjskich dronów. W jego następstwie trzy dni później uruchomiono w kilku powiatach Lubelszczyzny syreny alarmowe, które miały ostrzec ludność przed zagrożeniem z powietrza. Jednak co z tego, że syreny wyły, skoro nigdzie nie było żadnego schronu. Nikt nie wiedział, jak w tej sytuacji należy się zachować, co zrobić, gdzie uciekać. „Nie chodziło o to, aby mieszkańcy udawali się do jakichś schronów, których zresztą nie ma, ale żeby po prostu byli czujni na zagrożenie i czekali na dodatkowe informacje" – wyjaśniał burmistrz Świdnika Marcin Dmowski.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 567bc8df25

Zapamiętaj! W Polsce mamy obecnie tylko dwa rodzaje sygnałów alarmowych:

ogłoszenie alarmu – ciągły, **modulowany** dźwięk syreny przez 3 minuty,

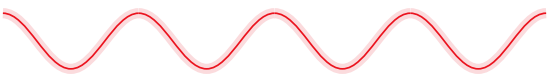

odwołanie alarmu – ciągły, **jednostajny** dźwięk syreny przez 3 minuty.

Jeśli usłyszysz sygnał alarmowy, włącz radio lub telewizor i stosuj się do komunikatów.

Wyobraźmy sobie teraz nalot setek uzbrojonych dronów na całą Polskę. Ludzie byliby zupełnie bezbronni, wybuchłaby panika, a w całym państwie zapanowałby chaos. Tymczasem nic bardziej nie prowokuje Rosji niż słabość przeciwnika. Sami się prosimy o nieszczęście.

Teraz nie jest dobry moment na wewnętrzne wojny, trudno jednak pominąć milczeniem fakt, że w ciągu dwóch lat rządów obecna koalicja zajmowała się głównie polowaniem na pisowców. W rezultacie zmarnowano mnóstwo cennego czasu.

Przerażenie musi budzić fakt, że na razie główną odpowiedzią rządu na rosyjskie drony był internetowy filmik Adama Szłapki, w którym zachwalał on plecak ewakuacyjny i informował (który to już raz o tym słyszymy), że już wkrótce – już naprawdę niebawem – do polskich domów zostanie rozesłana książeczka z poradami, jak się zachować na wypadek wojny. Wygląda na to, że jako obywatele jesteśmy porzuceni przez obecną władzę na pastwę losu. Tymczasem wojna już trwa.

WOJNA KONTROLOWANA

Ludzie, nie tylko w Polsce, często drwią sobie z agresywnych wpisów internetowych Dmitrija Miedwiediewa, który co jakiś czas wygraża nam i innym krajom europejskim krwawą rzezią. Ostatnio w bezpardonowy sposób zaatakował Finlandię, zapowiadając rychłą likwidację tego państwa. Wszyscy się z niego śmieją, że to alkoholik, który wylewa swoje frustracje nad klawiaturą.

Tymczasem Miedwiediew – bez względu na swoją kondycję zdrowotną – jest wiceszefem Rady Bezpieczeństwa Rosji (jej szefem jest Putin), a więc bardzo ważną figurą na Kremlu. Nic, co pisze, nie jest przypadkowe. To nie jest jego radosna twórczość na Twitterze, każdy jego wpis ma akceptację Putina. Mówiąc krótko, Miedwiediew pełni podobną rolę, co kiedyś Żyrinowski – pisze wprost o tym, czego nie może głośno powiedzieć Putin. Owszem, jest to element wojny psychologicznej, ale zarazem również odkrywanie kart, prezentacja intencji, testowanie reakcji przeciwnika. Z Żyrinowskiego też wszyscy się naśmiewali, ale to właśnie on poinformował świat o planach inwazji na Ukrainę. Wtedy nikt mu nie uwierzył. Stary wariat – mówiono. A on po prostu przekazał kontrolowany komunikat od Putina.

Piszę o tym wszystkim, bo Rosja (niedawno wspomniał o tym wprost rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow) otwarcie twierdzi, że znajduje się w stanie faktycznej wojny z NATO, a Ukraina jest w tej chwili głównym polem bitwy. A pola bitew – jak wiadomo – przesuwają się w zależności od sił obu stron oraz przyjętej strategii.

Nalot dronów wskazuje, że Moskwa testuje reakcję NATO i w zależności od niej będzie chciała powoli poszerzać front o wschodnią flankę Sojuszu. To nie ma być – przynajmniej na razie – wielka wojna konwencjonalna ani atomowa, chodzi raczej o coś na kształt inwazji „zielonych ludzików", przy czym tymi ludzikami będą wlatujące – niby nie wiadomo skąd – drony. Będą też akty sabotażu, zamachy, cyberataki. Wszystko po to, aby z jednej strony zasiać panikę, doprowadzić do kryzysu wewnętrznego w państwie, a z drugiej – żeby znormalizować tę formę wojny, sprawić, że w oczach świata ona spowszednieje. Chodzi o osamotnienie Polski i krajów naszej flanki, spisanie ich przez Zachód na straty w zamian za obietnicę nieposzerzania konfliktu w głąb Europy.

Miejmy nadzieję, że ten plan się nie powiedzie, ale pierwsze reakcje światowej opinii publicznej po wtargnięciu dronów do Polski nie nastrajają optymistycznie. Świat szybko przeszedł nad tymi wydarzeniami do porządku dziennego. Owszem, sojusznicy wysłali nam pomoc – i to jest bardzo cenne – ale opinia publiczna szybko straciła zainteresowanie rajdem rosyjskich dronów. I o to właśnie Rosjanom chodzi – o brak zainteresowania.

KRYZYS ZAUFANIA

Co w tej sytuacji powinna zrobić Polska? Przede wszystkim nie możemy dłużej zakładać, że ta wojna szybko się skończy. Musimy też spojrzeć na konflikt oczami przeciwnika. Bo jeśli Rosjanie uważają, że są na wojnie z NATO, to i my – siłą rzeczy – powinniśmy odpowiedzieć tym samym. Na razie nie są to zmagania militarne na polach bitew, ale nabierające rozmachu działania hybrydowe. Skoro jednak sytuacja jest już tak napięta, że wpadają do nas rosyjskie drony, to należy się przygotować na dalszą eskalację. I podporządkować temu codzienne życie oraz całą politykę państwa.

W tym momencie widać, jak wielkim i zarazem niebezpiecznym balastem jest dla nas obecna polityka Unii Europejskiej. Polska bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje teraz bezpieczeństwa energetycznego i żywnościowego. Przemysł, beztrosko zaorany w ciągu ostatnich 30 lat, musi mieć dostęp do taniej energii, wykwalifikowanych kadr i strategicznej kontroli państwa (przy czym nie chodzi o nacjonalizację, ale gwarancję działania w interesie Polski). Tymczasem nasze zasoby rozpływają się w powietrzu, bo Unia nadal prze ku zielonej transformacji. Pieniądze, które mogłyby pójść na zbrojenia lub budowę schronów, wydajemy na opłaty klimatyczne ETS. A już wkrótce w ślad za przemysłem pozbędziemy się rolnictwa, bo obecny rząd nie zdołał zablokować fatalnej umowy z krajami Mercosur. Jest jeszcze problem imigracji, która w niedalekiej przyszłości może wygenerować poważne konflikty

eprasa.pl 567bc8df25

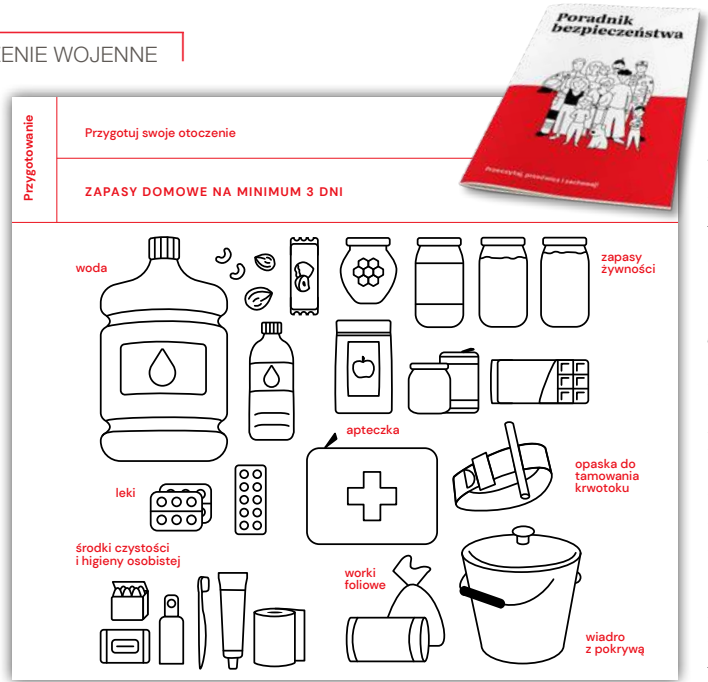

wewnętrzne i zburzyć spójność społeczeństwa. Jak w takich warunkach możemy myśleć o skutecznej obronie państwa?

Jedynym wyjściem jest wycofanie się z tej szkodliwej polityki i podporządkowanie strategicznych działań państwa kwestiom bezpieczeństwa. Interes Polski powinien stać się dla rządzących najwyższym priorytetem i najważniejszym kryterium oceny podejmowanych przez nich decyzji.

Niestety zdaję sobie sprawę z tego, że obecny rząd – delikatnie mówiąc – prawdopodobnie nie będzie w stanie stawić czoła ponurym wyzwaniom, które pojawiły się na horyzoncie. Dowodzi tego chociażby zamieszanie informacyjne po incydencie we wsi Wyryki, gdzie rakieta przeciwlotnicza wystrzelona z polskiego samolotu F-16 miała uszkodzić dom. Rząd ukrywał tę informację nie tylko przed opinią publiczną, lecz także – wszystko na to wskazuje – przed prezydentem. W tej sytuacji trudno o budowę zaufania obywateli do państwa, jeśli rząd w tak krytycznym momencie jak nalot wrogich dronów nie potrafi powstrzymać się od politycznych przepychanek. Kto w chwili realnego zagrożenia uwierzy w komunikaty władzy, która ciągle kręci? Na tych krętactwach zyskuje wyłącznie Moskwa, która sieje w Polsce chaos dezinformacyjny.

ZMARNOWANY CZAS

W ten sposób wracamy do plecaka ewakuacyjnego, który ma być jedyną arką zapewniającą nam przetrwanie w czasie wojny. Pomijam już to, że takie plecaki – dobrze wyposażone – kosztują powyżej 1 tys. zł, co dla wielu Polaków jest wydatkiem trudnym do zaakceptowania. Ważniejsze jest, że nawet mając taki plecak, niewiele zdziałamy. No bo niby gdzie mamy z nim uciekać w razie zagrożenia? Do pobliskiego lasu? I co dalej? Plecaki miałyby większy sens, gdyby istniały plany ewakuacyjne i gdyby ktoś mógł sprawnie pokierować masami ludzi w razie zagrożenia, wskazać im kierunek, miejsca schronienia, bezpieczną okolicę. Tyle że u nas o obronie cywilnej dawno zapomniano. I mimo trzech lat wojny na Ukrainie nikt sobie o niej nie przypomniał.

We wrześniu 1939 r. też mnóstwo ludzi w popłochu uciekało z miast przed bombardowaniami. Po wielu dniach tułaczki mimo zagrożenia często wracali do swoich domów, bo nie mieli gdzie się podziać. Tym razem ryzyko chaosu i paniki jest jeszcze większe, ponieważ żyjemy w cyfrowej rzeczywistości podatnej na ataki hakerskie i zakłócenia. Wróg może z dużej odległości zakłócić działanie infrastruktury krytycznej, pozbawić ludzi prądu, wody, wyłączyć telefony komórkowe i internet. A bez tego wszystkiego większość z nas jest ślepa i głucha.

Kto bowiem umie jeszcze czytać papierowe mapy (inna rzecz, że już prawie ich nie ma w sprzedaży)? Kto wie, jak obsłużyć radiostację? Kto potrafi wyznaczyć azymut? Może najstarsze pokolenie coś pamięta, ale młodzi są w większość zupełnie bezradni. Ich jedynym narzędziem i źródłem informacji jest przecież smartfon. Wystarczy więc wyłączyć sieć komórkową i cała Polska się pogubi. Nie trzeba nawet bomb i artylerii.

Teraz dopiero widzimy, jak dużym błędem było nadmierne zdigitalizowanie naszego życia. Technologia ułatwia wiele rzeczy, ale jednocześnie jest bardzo podatna na ataki z zewnątrz. Dziś europejskie rządy wzywają obywateli do tego, aby gromadzili zapasy gotówki, bo banki i karty płatnicze mogą przestać działać. Na wschodzie Polski po nalocie dronów ludzie podobno szturmowali bankomaty, aby wypłacać pieniądze. To nasz kolejny słaby punkt. I nie jest to wyłącznie kwestia techniczna, lecz również problem psychologiczny – po prostu w chwili zagrożenia przestajemy wierzyć, że państwo działa. Dokładnie o to chodzi Moskwie.

Piszę o tym nie po to, aby siać defetyzm, ale by zwrócić uwagę, że zmarnowaliśmy mnóstwo czasu na idiotyczne spory. Zamiast uczyć ludzi umiejętności radzenia sobie w trudnej sytuacji, tworzyć plany awaryjne na wypadek konfliktu i budować zaufanie do państwa, obecna władza traciła czas i energię na „rozliczenia" z pisowcami. To skrajna nieodpowiedzialność oraz niewybaczalne marnotrawstwo czasu i środków.

OSTATNI DZWONEK

W niedawnym sondażu Instytutu Badań Pollster dla „Super Expressu" zadano Polakom pytanie, czy w przypadku wybuchu wojny byliby gotowi zgłosić się na ochotnika do wojska lub aktywnie wesprzeć żołnierzy. Wyniki nie nastrajają optymizmem. Okazuje się bowiem, że jedynie 26 proc. ankietowanych włączy się aktywnie w obronę kraju, a aż 57 proc. nie zamierza się w nic angażować.

W ciągu ostatnich 30 lat życia w złudnym poczuciu bezpieczeństwa Polska, podobnie zresztą jak cały Zachód, zatraciła waleczność. Zafundowaliśmy sobie społeczeństwo nastawione głównie na komfort życia i pogoń za pieniędzmi. Zindoktrynowane fałszywą liberalną ideologią i pozbawione myślenia wspólnotowego. Nic dziwnego, że teraz okazuje się zupełnie nieprzygotowane do podjęcia wyzwań, które przyniosła nowa rzeczywistość. Bo nie wystarczy, że się zbroimy (choć to bardzo ważne), skoro wewnątrz ludzie są bezbronni. Pozostaje nam jedynie wierzyć, że mamy jeszcze czas, aby się zmienić.

eprasa.pl 567bc8df25

Nawrocki kontra Merz

Tylko na prezydenta Nawrockiego mogą liczyć te kraje, które nie chcą niemieckiej Unii Europejskiej w formie parapaństwa zarządzanego z Berlina

STANISŁAW JANECKI

Fot. Mikołaj Bujak/KPRP

Gdy 16 września 2025 r. prezydent Karol Nawrocki rozmawiał w Berlinie z kanclerzem Friedrichem Merzem, znalazł się w centrum chcącym tworzyć nowy europejski ład. W centrum, które chce także wpływać na światowy ład – zgodnie z doktryną nowej asertywności Niemiec. Filarami tej nowej asertywności oraz strategii mocarstwowości ma być troje polityków wywodzących się z niemieckiej chadecji (Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej i jej „odwiecznego" partnera – Unii Chrześcijańsko-Społecznej): kanclerz Friedrich Merz (CDU), przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen (CDU) oraz przewodniczący Europejskiej Partii Ludowej Manfred Weber (CSU). Gdy Merz wygrał wybory w Niemczech, w „Politico" przyjęto to jako zapowiedź „rządzenia Unią Europejską przez dwoje niemieckich chadeków". W istocie chodzi o troje niemieckich chadeków, gdyż Manfred Weber jest ważną postacią w strategii rządzenia Europą przez Niemcy.

Prezydent Karol Nawrocki uosabia przeciwieństwo tej nowej niemieckiej asertywności oraz strategii podporządkowania Niemcom Unii Europejskiej. I właściwie żaden europejski przywódca poza nim nie chce i nie jest w stanie zatrzymać tej nowej niemieckiej strategii stania się nie tylko europejskim, lecz także światowym mocarstwem. Tylko Nawrocki chce i może przeciwstawić się przekształceniu UE w parapaństwo urządzone i zarządzanie przez troje niemieckich chadeków, będące w istocie niemiecką Europą.

Już podczas spotkania z mieszkańcami Ostrowa Wielkopolskiego podczas kampanii prezydenckiej Karol Nawrocki mówił: „Wchodziliśmy do Unii Europejskiej, a nie do parapaństwa europejskiego z dwoma stolicami. Jedną w Brukseli, a drugą w Berlinie. My chcemy żyć we wspólnym rynku, a nie we wspólnym parapaństwie". I dodawał: „Nie chcemy, by o naszej wolności w całym zakresie życia społecznego decydowały brukselskie elity. Nie chcemy, aby ideologia płynąca z Zachodu wpływała do naszych szkół, placówek oświatowych, do naszej edukacji, bo mamy swoją tożsamość, jesteśmy Polakami i chcemy budować przyszłość Rzeczypospolitej na tym, co dla nas ważne i co ważne było dla naszych przodków, i co powinno zostać ważne w naszej przyszłości". Ani europejskie parapaństwo, ani niemiecka Europa tego nie gwarantują. M.in. o tym prezydent Nawrocki rozmawiał 16 września 2025 r. z kanclerzem Merzem.

NOWA NIEMIĘCKA ASERTYWNOŚĆ

8 września 2025 r. kanclerz Friedrich Merz wygłosił przemówienie do 230 dyplomatycznych przedstawicieli Niemiec na świecie. Stwierdził, że następuje reorganizacja globalnego ładu i Niemcy chcą być aktywnym uczestnikiem tego

eprasa.pl 567bc8df25

procesu. Jest to zadanie historyczne, wyznaczające kierunki rozwoju nawet na dekady. Niemcy „z powodu swojej siły gospodarczej i pozycji geopolitycznej są predestynowane do [wpływania na system bezpieczeństwa w Europie]". Nie tyle mogą się tego podjąć, ile muszą. I nie jako dobrotliwy opiekun, lecz jako silny lider.

W przemówieniu Merza słowo „Niemcy" padło kilkadziesiąt razy. I padało w towarzystwie słowa „interesy". A interesy Niemiec miały zdecydowanie priorytet wobec „interesów Europy", „interesów Unii Europejskiej". Przemówienie kanclerza było mocnym znakiem nowej asertywności Niemiec. I to ma łączyć Niemców od lewej do prawej strony politycznej.

Pisarz i publicysta Bronisław Wildstein tak to podsumował (w Radiu Wnet): „Merz stwierdził, że Niemcy muszą odgrywać światową rolę. A jego pochwała Unii Europejskiej była pochwałą instytucji, która jednoznacznie służy interesom Niemiec".

Na biegunie przeciwnym do Merza znajduje się strategia polskiego prezydenta i powinna się znajdować strategia Polski, ale to niemożliwe w czasie rządów Donalda Tuska. Pozostała więc tylko głowa państwa. Podmiotowa Polska w UE to warunek naszego bezpieczeństwa. Karol Nawrocki mówił w kampanii: „Musimy mieć swobodę kupowania amerykańskich abramsów, południowokoreańskich czołgów K2. Potrzebujemy tego sprzętu, a nie potrzebujemy decydowania o polskich siłach zbrojnych w Brukseli i w Berlinie. Gdy decyzje o tym, jak bronić Polski, będą zapadały w Brukseli albo w Berlinie, to nie wiemy, w którym kierunku pójdą te decyzje, bo być może elity Unii Europejskiej wolą się bronić na Wiśle, bo są dalej od tego zła Federacji Rosyjskiej – postsowieckiego i neoimperialnego państwa, o którym przestrzegał śp. prezydent Lech Kaczyński już w 2009 r.".

Na konferencji prasowej w Brukseli – zorganizowanej po tym, jak 12 marca 2025 r. Parlament Europejski uchwalił rezolucję dotyczącą wzmocnienia obronności UE – Karol Nawrocki przestrzegał: „Oddawanie Unii Europejskiej kompetencji w zakresie bezpieczeństwa w momencie, kiedy Unia Europejska jest w tożsamościowym chaosie, w ekonomicznym chaosie, byłoby niedobre dla państwa polskiego". I deklarował: Jestem przeciwko budowaniu NATO-bis, ale za tym, aby rozwijał się przemysł zbrojeniowy, jednak w pewnym inwestycyjnym balansie pomiędzy Polską, Francją, Włochami i Niemcami".

Gdy kandydat na prezydenta Polski składał zdecydowane oświadczenia, podobnie robił kandydat na kanclerza Niemiec. Ale deklaracje Merza były zdecydowanie odmienne. „Jesteśmy gotowi do działania i utworzenia rządu w Niemczech, który będzie jednym z najsilniejszych zwolenników integracji europejskiej, jakich kiedykolwiek widzieliście z mojego kraju" – deklarował Friedrich Merz swoim partyjnym kolegom z EPL podczas przemówienia 29 kwietnia 2025 r. w hiszpańskiej Walencji (urząd kanclerza objął 5 maja). Jak podkreślił, w ostatnich latach wiele osób chciało więcej niemieckiego przywództwa w UE i na świecie, więc on odpowiada na to pozytywnie. Ale Rafael Loss, politolog z Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych w Berlinie, uważa, że „nikt na poziomie europejskim nie chce, aby Niemcy – jako kraj o największej liczbie mieszkańców i największej gospodarce w UE – zajmowały centralną pozycję i próbowały siłą forsować swoje interesy". Chodzi raczej o to, żeby „głosy mniejszych państw członkowskich zostały wysłuchane".

> Kanclerz Merz chce jak najszybszego uniezależnienia Europy od USA. Wypychanie Ameryki ze Starego Kontynentu to przeciwieństwo tego, co buduje prezydent Nawrocki, czyli ścisłego sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. To także bardzo niebezpieczna strategia dla UE

MOCARSTWOWE AMBICJE

W wywiadzie dla portalu deutschland.de (pod koniec czerwca 2025 r.) Friedrich Merz stwierdził: „Jesteśmy największym krajem Unii Europejskiej – zarówno pod względem liczby ludności, jak i siły gospodarczej. Inne państwa członkowskie mają wobec nas konkretne oczekiwania. I chcemy tym oczekiwaniom sprostać. Dlatego już na początku mojej kadencji wysłałem jasny sygnał: Niemcy znów są gotowi do bycia silnym partnerem. W ścisłej współpracy z europejskimi sojusznikami zrobimy wszystko, by zapewnić pokój w Europie. Jesteśmy gotowi przejąć odpowiedzialność za przywództwo. Zbyt długo byliśmy uśpioną, średnią potęgą. Jesteśmy gotowi i zdolni, by być przewodnią siłą wśród średnich potęg".

Od tego czasu sporo się zmieniło i Merz raczej chce Niemiec będących „przewodnią siłą" wśród wielkich potęg. A Unia Europejska ma tylko służyć tej strategii jako wehikuł. Tak chyba trzeba interpretować słowa kanclerza, że „tylko silna i zjednoczona Europa oparta na wspólnych wartościach i interesach może prowadzić dialog z partnerami takimi jak USA czy konkurować z Chinami na równych zasadach. I to właśnie jest nasz cel". A to oznacza przekształcenie UE w parapaństwo, w którym *de facto* rządzą Niemcy. Takiej przyszłości Unii prezydent Karol Nawrocki nie chce i nie może zaakceptować.

W pierwszych tygodniach rządów kanclerz Friedrich Merz odbył 10 podróży zagranicznych, w Berlinie przyjął zaś m.in. prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego, prezydenta Izraela Jicchaka Herzoga oraz prezydenta Polski Karola Nawrockiego. Ta międzynarodowa aktywność ma sprawić, by Niemcy w największym stopniu decydowały o bezpieczeństwie Starego Kontynentu i stały się hegemonem w UE. W realizacji planów Merza ma pomóc skupienie

06/0425/FZAL

eprasa.pl 567bc8df25

kompetencji dotyczących polityki zagranicznej i bezpieczeństwa w Urzędzie Kanclerskim i w CDU/CSU.

Zaledwie kilka godzin po zwycięstwie w wyborach parlamentarnych w lutym 2025 r. Friedrich Merz oświadczył podczas telewizyjnej debaty: „Absolutnym priorytetem dla Europy jest jak najszybsze uniezależnienie się od USA". Podał też w wątpliwość, czy do szczytu w Hadze (24–25 czerwca 2025 r.) NATO w ogóle będzie jeszcze istniało. Dlatego ostrzegł, że Unia Europejska być może będzie musiała „znacznie szybciej zbudować niezależne zdolności obronne". Wypychanie USA z Europy to przeciwieństwo tego, co buduje prezydent Karol Nawrocki, czyli ścisłego sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. To także bardzo niebezpieczna strategia dla UE.

TEN TRZECI – MANFRED WEBER

Ważnym pomocnikiem kanclerza Friedricha Merza w jego planach jest przewodniczący Europejskiej Partii Ludowej Manfred Weber. Podczas debaty o stanie Unii w Parlamencie Europejskim (10 września 2025 r.) stwierdził on, że „idea suwerenności narodowej to wioska potiomkinowska; ona już nie istnieje". Przyszłość Europy powinna się opierać na dalszej integracji, kosztem państw narodowych. Weber opowiedział się za „nieodwracalną" Unią Europejską w obszarze polityki zagranicznej i obronnej. Akcentował, że UE jest w stanie funkcjonować na arenie międzynarodowej wyłącznie jako scentralizowany organizm. Dlatego przyszłość nie polega na wzmacnianiu kompetencji państw członkowskich, lecz na przekazywaniu kolejnych uprawnień unijnym instytucjom.

Weber wpisał się w to, co trochę wcześniej wyartykułowała przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen. Także ona mówiła o konieczności wzmocnienia „niezależności europejskiej", ale Weber wprost opowiedział się za federalistycznym modelem UE i centralizacją władzy. Oskarżył środowiska patriotyczne w Europie o to, że są „przyjaciółmi Muska, Waszyngtonu, a nawet Moskwy", i że ich celem jest zamienienie Europy w „kolonię technologiczną Doliny Krzemowej i Kremla". Jego słowa były zapowiedzią ograniczania swobody państw członkowskich i podejmowania decyzji politycznych ponad nimi.

Ściśle z sobą współdziałając, troje niemieckich chadeków chce, by Niemcy stały się mocarstwem, decydowały o bezpieczeństwie i obronności Europy, narzuciły UE cele niemieckiej polityki zagranicznej, aby ich interesy gospodarcze (np. umowa z Mercosur) były priorytetem. Chcą też wypchnąć Stany Zjednoczone z Europy, a ostatecznie przekształcić Unię w parapaństwo.

To strategia jak najdalsza polskiemu prezydentowi, który przebywał w stolicy Niemiec w momencie największej zawieruchy, gdy chodzi o wdrażanie niemieckiej strategii. Te kraje, które nie chcą niemieckiej Unii Europejskiej w formie parapaństwa zarządzanego z Berlina, mogą liczyć chyba tylko na prezydenta Nawrockiego.

REKLAMA

Dolce vita Biedronia i Śmiszka

PIOTR FILIPCZYK

„Po co Robert Biedroń jest w polityce? Po to, żeby razem ze Śmiszkiem sobie dobrze z tego żyć" – wypowiadając te słowa, Krzysztof Stanowski trafił w sedno. Od wielu lat na obecności Biedronia i Śmiszka w polityce zyskują bowiem tylko oni sami. Ich kariery, układające się w pękaty album podróży i balów, od dawna doprowadzają do szału nie tylko wyborców Lewicy, lecz także partyjną wierchuszkę

„Biedroń, Śmiszek i Joanna Scheuring-Wielgus na plecach idealistów tworzących Wiosnę na lata urządzili się w europarlamencie. Tylko o to od dawna chodziło" – tego typu wypowiedzi zwolenników Lewicy jest w internecie mnóstwo.

„Trzeba spuścić na nich zasłonę milczenia, bo tylko nam szkodzą" – podkreślają w prywatnych rozmowach politycy partii Włodzimierza Czarzastego.

Chwilowo się to nie udaje. O Biedroniu, jego partnerze i ich stylu życia zrobiło się głośno za sprawą wpisu byłego szefa Kampanii Przeciwko Homofobii na platformie X. Nazwał on oddających hołd polskiemu pilotowi Maciejowi Krakowianowi prezydentów Donalda Trumpa i Karola Nawrockiego „szon patrolem", nawiązując do idiotycznej zabawy nastolatków, tropiących dziewczyny, żeby szydzić z nich potem w sieci. Gdy sprawa zrobiła się głośna, Biedroń usunął wpis i bez pardonu zwalił winę na jednego ze swoich asystentów. Europoseł – nie pierwszy raz zresztą – nie poniósł żadnej odpowiedzialności za słowa, które przecież były podpisane jego imieniem i nazwiskiem.

RZECZ ZABÓJCZA

Osoba, która opublikowała ten wpis, zrobiła rzecz dla Biedronia zabójczą – przypomniała o jego istnieniu. Dla założyciela Wiosny byłoby bowiem najlepiej, gdyby o jego istnieniu Polacy pamiętali wyłącznie przed wyborami, zakreślając krzyżyk przy jego nazwisku na karcie do głosowania. Wtedy kontrowersyjny polityk wraz z partnerem mogliby robić to, co potrafią najlepiej – podróżować i brylować na Instagramie, wchodząc w interakcje wyłącznie z ludźmi ze swojej bańki.

– To był plan Roberta od lat, jeszcze z czasów, kiedy był prezydentem Słupska – zdradza nam jedna z jego dawnych współpracowniczek z Lewicy. – Ustawić się, odcinać kupony i nie rzucać się w oczy. W naszych kręgach nie jest żadną tajemnicą, że Biedroń miał wytargować to w kuluarowych rozmowach z Czarzastym i spółką. Układ jest prosty: zapewnia jakieś tam poparcie, a kontrolę nad strukturami oddaje „administratorom" spod szyldu dawnego SLD. W zamian za to dostaje biorące miejsce na listach dla siebie i Krzyśka. W europarlamencie, bo tam pieniądze są najlepsze, a i brukselska atmosfera bardziej im pasuje – słyszymy.

ZAŚCIANEK POLSKA

Zresztą sam Słupsk, od którego to wszystko się zaczęło, jest miejscem pieczołowicie wybranym. Z tym czwartym co do wielkości miastem województwa pomorskiego Biedroń nie miał absolutnie żadnych związków do 2011 r. Wychowany w Krośnie, ubiegający się o mandat radnego miasta Warszawy i posła ze stolicy dopiero po powstaniu Ruchu Palikota, skierował oczy na północ. Do Sejmu został wybrany z okręgu gdyńsko-słupskiego i tak zaczęła się jego przygoda ze Słupskiem. Szybko zrozumiał, że byłe miasto wojewódzkie, od lat sympatyzujące z lewicą, mierzące się z ogromnym bezrobociem i żyjące

Fot. Robert Biedroń/Facebook, Shutterstock

eprasa.pl 567bc8df25

w cieniu Trójmiasta, to dla niego wspaniała trampolina do prawdziwej kariery politycznej.

Oddajmy mu jednak sprawiedliwość – w swojej pierwszej parlamentarnej kadencji był jednym z najaktywniejszych posłów. Składał dziesiątki interpelacji i zapytań (inna rzecz, że wśród nich niewiele było takich, które miały większy sens), często zabierał głos z sejmowej mównicy, brylował w mediach i dużo podróżował. To ostatnie zresztą stało się jego znakiem rozpoznawczym. Bywał w okręgu wyborczym, jeździł w zagraniczne delegacje i na każdym kroku podkreślał, że wraz ze swoim partnerem są przedstawicielami prześladowanej mniejszości gejowskiej. Korzystał z kontaktów ze środowiskiem LGBT+ zawiązanych jeszcze w dawnych czasach – Biedroń mieszkał m.in. w Londynie i Berlinie.

– Polska dla niego to zawsze był zaścianek, miejsce na chwilę, z którego chciał się wyrwać – słyszymy od jednego z dawnych współpracowników.

To samo mówi się o nim w Słupsku. W mieście, którego prezydentem został w 2014 r., bywał rzadko. Jego wyborcy częściej widzieli go w TVN niż na pl. Zwycięstwa pod tamtejszym ratuszem. Tygodnie spędzał w delegacjach, na których rzekomo walczył o ważne sprawy dla miasta. Wielu mieszkańców mu to wybaczało, bo w ich mniemaniu przyniósł tej „smutnej prowincji" pewien powiew Zachodu. Jednak nie wszyscy: do dziś niektórzy słupszczanie na wspomnienie o Robercie Biedroniu krzywią tylko usta. Choć obiecywał, że chce być prezydentem na lata, ewakuował się już po pierwszej kadencji, instalując w ratuszu przedstawicieli dawnego miejskiego układu, z którym przed wyborami obiecywał walczyć. Prezydenturę przekazał swojej byłej zastępczyni. Choć sam dostał się do Rady Miasta, zrezygnował z mandatu już po pierwszym tygodniu.

W styczniu 2019 r., czyli miesiąc po wyborach samorządowych, zapowiedział, że zamierza kandydować w wyborach do Parlamentu Europejskiego, ale jeśli wygra, nie przyjmie mandatu bądź się go zrzeknie. Twierdził, że jego kandydatura ma na celu wyłącznie zwiększenie szans na osiągnięcie przez jego partię zadowalającego wyniku, a on sam zamierza kandydować do Sejmu w tym samym roku.

> Przez sześć lat Biedroń zarobił w Brukseli blisko 800 tys. euro. Dzięki temu mógł stać się współwłaścicielem czterech mieszkań o łącznej wartości ok. 3 mln zł – według oświadczenia majątkowego. Ma na koncie ponad 250 tys. euro i prawie 500 tys. zł w obligacjach

Kiedy jednak znalazł się w europarlamencie, nie zamierzał go już opuszczać. Nic dziwnego – posada eurodeputowanego to wszak blisko 130 tys. euro rocznie samego uposażenia. Do tego dochodzą jeszcze diety. Przez sześć lat Biedroń zarobił w Brukseli blisko 800 tys. euro. Dzięki temu mógł stać się współwłaścicielem czterech mieszkań o łącznej wartości ok. 3 mln zł – według oświadczenia majątkowego. Ma na koncie ponad 250 tys. euro i prawie 500 tys. zł w obligacjach.

WCIĄŻ W TRASIE

Jednak Biedroń inwestuje pieniądze nie tylko w nieruchomości i pasywa, lecz przede wszystkim w siebie. W swoje przyjemności i smakowanie życia. A to zapewniają mu liczne podróże. Wraz ze swoim partnerem Krzysztofem Śmiszkiem wciąż są w trasie, co relacjonują w swoich mediach społecznościowych. Podróżują po całym świecie, czerpiąc z życia pełnymi garściami. Kilkanaście dni temu bawili w Ameryce Południowej. Działa się tam historia.

„Chile jest krajem nr 100, który odwiedziłem. Każda taka podróż to jak 100 przeczytanych książek. Chociaż książki czytać też kocham" – informował na Instagramie europoseł Biedroń.

Wcześniej odwiedził m.in. USA, Jordanię, Arabię Saudyjską czy Chiny. Na liście ma też inne kraje Azji czy obu Ameryk, o Europie nie wspominając. Z każdego z tych miejsc dzieli się relacjami, racząc czytelników moralizatorskimi przemyśleniami o potrzebie równości, tolerancji i wzajemnej życzliwości. Często pompatycznie i bez gustu, ale zawsze na bogato.

Co ciekawe, najsłynniejsza polska para gejów nie wstydzi się odwiedzać państw, w których prawa mniejszości seksualnych, o które tak podobno walczą, nie istnieją, a przedstawiciele środowisk LGBT+ są tępieni. Nie przeszkadza im też wydawanie pieniędzy w Chinach czy Izraelu, choć później wylewają krokodyle łzy nad ofiarami represji w tych państwach.

– Oni nie zrobili niczego konkretnego nawet w kwestii tego, dzięki czemu w ogóle są w polityce. A są w niej, bo mają takie, a nie inne preferencje seksualne. To nie wychodzi poza gadanie i fotki w internecie. Nie wspomnę już o innych, ważniejszych moim zdaniem rzeczach. Nierówności? Ubóstwo? Pomiatanie ludźmi przez wielkie korporacje? Nie dowieźli niczego, niczego też nie dowiozą w przyszłości – żali się radna lewicy z Pomorza.

To zapewne ostatnia kadencja gejów podróżników. Za kilka lat Biedronia i Śmiszka nie będzie w polityce. Ale nie tylko nam nie daje spokoju smutne pytanie: jak doszło do tego, że w ogóle do niej weszli?

eprasa.pl 567bc8df25

Co się dzieje w sondażach

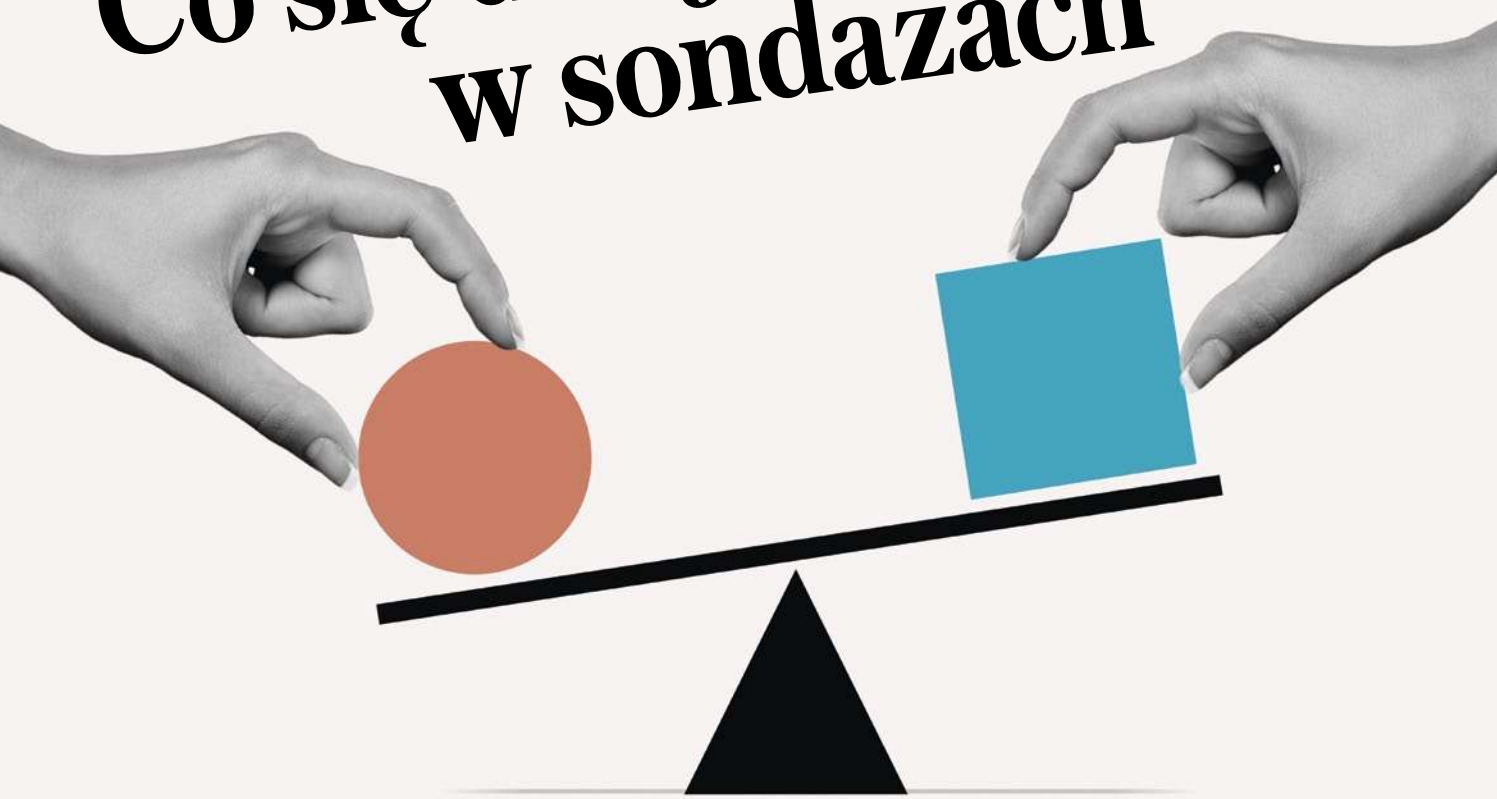

Jeśli chodzi o życie polskich partii politycznych, to dzisiaj najwięcej ma tam do powiedzenia człowiek, który nigdy nie należał do żadnej partii – Karol Nawrocki. To wokół niego kręci się aktywność wszystkich ugrupowań. Jeśli ktoś ma przełamać zastój w notowaniach sondażowych, tak by któreś z ugrupowań zdobyło wyraźną przewagę, może to zrobić tylko on

PIOTR GURSZTYN

Stagnacja – tym słowem można odpowiedzieć na pytanie o dynamikę zmiany popularności głównych aktorów sceny politycznej. Owszem, dzieją się tam ciekawe rzeczy, ale ciągle nie wiadomo, kto mógłby sformować nowy, stabilny rząd, gdyby teraz miały odbyć się wybory parlamentarne.

LIDERZY I PRZYSTAWKI

Prawo i Sprawiedliwość zwiększa swoje szanse na zwycięstwo wyborcze, ale przyrost jest bardzo powolny. W wielu sondażach PiS nie jest pierwsze, choć doświadczenie wszystkich poprzednich kampanii wyborczych pokazuje, że partia Jarosława Kaczyńskiego uzyskuje wyniki wyborcze znacząco lepsze, niż wcześniej dawały jej sondaże. Mimo to wiadomo, że PiS ciągle dużo brakuje do notowań wskazujących na możliwość ponownych samodzielnych rządów.

I jeśli Prawo i Sprawiedliwość powoli drepcze, to Koalicja Obywatelska się szamocze. W wielu sondażach jest pierwsza, ale wiadomo, że to wątpliwy sukces. Był możliwy dzięki kanibaliza-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 567bc8df25

cji sojuszników. Głównie Polski 2050, zapewne trochę PSL, a także przejęciu wielu dawnych wyborców Lewicy. A to oznacza znaną wszystkim prawdę, że Donald Tusk nie będzie miał z kim zawiązać koalicji. Stąd wypuszczane stamtąd sygnały, że przyszłym koalicjantem ma być Konfederacja, a przynajmniej jej liberalna część związana ze Sławomirem Mentzenem.

Koalicjanci KO stali się już przystawkami. Lewica w niektórych sondażach przekracza próg wyborczy, ale w jej przypadku będzie to jednak gra w rosyjską ruletkę. PSL od dłuższego czasu „cieszy się" poparciem mniej niż 2 proc. wyborców. A partia drugiej osoby w państwie, marszałka Szymona Hołowni, właśnie spadła w jednym z sondaży (United Survey) do 1 proc. poparcia.

Konfederacja miała być sensacją tego sezonu politycznego, wręcz zająć miejsce Prawa i Sprawiedliwości. Wizja była następująca: młodzieńcza Konfa zastępuje zgrzybiały PiS. Ale od kilku miesięcy widać, że nic z tego nie będzie. Partia Sławomira Menztena osiągnęła stosunkowo wysoki pułap sondażowy, ale stanęła w miejscu. A nawet rozpoczął się zauważalny odpływ części wyborców o zdecydowanie prawicowych poglądach z powrotem pod skrzydła PiS. Na to ostatnie zjawisko zdecydowany wpływ miały dziwaczne zachowania i wypowiedzi Mentzena. Piwo z wierchuszką KO i wychwalanie Leszka Millera – czyli sprawy nie do zaakceptowania dla ideowej prawicy.

PiS PROWADZI

Popatrzmy zatem, co się dzieje w sondażach. Według metody polegającej na sumowaniu średniej ze wszystkich publikowanych sondaży (używanej przez politologa Marcina Paladego) w pierwszej połowie września w czołówce było Prawo i Sprawiedliwość – 32 proc. Od końca sierpnia partia poprawiła swój wynik o 1 pp. Koalicja Obywatelska we wrześniu miała 31,5 proc. poparcia, a w sierpniu – 31 proc. Konfederacja nieco osłabła – spadła z 15 proc. na 14,5. Lewica się wykrwawia, spadając z 7,5 proc. na 6,5. Razem Adriana Zandberga stoi w miejscu (w obu momentach 4 proc. poparcia). Partia Szymona Hołowni również słabnie (spadek z 4 proc. do 3,5), a PSL wręcz zaczyna być wciągane przez jakąś czarną dziurę (w sierpniu 3,0 proc. poparcia, we wrześniu 1,5).

Przy okazji wyszło na jaw, że kompletnie nie wypalił pomysł Donalda Tuska, czyli rekonstrukcja rządu. Jeden z portali zamówił sondaż z pytaniem, czy przyniosła ona jakieś efekty: 70 proc. pytanych odpowiedziało, że nie widzi różnicy. A miały być, bo rekonstrukcja stanowiła próbę ratowania notowań coraz bardziej niepopularnego gabinetu. Jedynie 23,4 proc. ankietowanych widzi poprawę działań rządu (z czego zaledwie 3,5 proc. zdecydowanie zmianę na lepsze). To znaczy, że ten nagłaśniany propagandowo ruch Tuska przekonał jedynie część elektoratu KO. Dodajmy, że w sierpniu jedna z sondażowni zadała pytanie, czy Donald Tusk spełni swoje obietnice wyborcze. 17 proc. odpowiedziało, że tak, 78 proc., że nie. Tu jeszcze bardziej widać niską wiarę wyborców liberalnych w sprawczość rządu, który wybrali.

STABILNE ZAPLECZE

Nie znaczy to, że ci wyborcy odpłyną od Tuska. Trwanie przy KO wynika ze struktury społecznej tego elektoratu i jego mocno ukształtowanego światopoglądu. Jest przy tym pewna demograficzna ciekawostka. Prawie połowa (48,8 proc.) wyborców KO to ludzie z grupy 60+. Identycznie jak w przypadku PiS, gdzie stanowią oni 49,6 proc. wyborców tej partii. A ogólna liczba Polaków w wieku 60+ to 32,9 proc. głosujących. W stereotypowym, wręcz stygmatyzującym ujęciu to straszny znak dla tych partii, gdyż w debacie dominuje fetysz zdobywania poparcia ludzi młodych. W istocie to oznaka siły obu ugrupowań, przynajmniej w perspektywie kilku najbliższych wyborów. Najstarsza grupa wyborców jest stabilna pod względem poglądów i zmobilizowana, jeśli chodzi o udział w wyborach, a także codziennego wspierania swoich partii. Tak np. aktywnością w mediach społecznościowych (starsze osoby są tam już obecne, a mają więcej wolnego czasu niż młodsze) czy wsparciem finansowym (co uratowało PiS i kampanię Karola Nawrockiego po bezprawnym odebraniu subwencji).

Jednak rzeczywiście dobrze jest mieć też młodych wyborców, bo to sygnał, że partia ma moc przyciągania nowych zwolenników. I tutaj PiS wyszło z problemu, który miało w czasach swoich rządów, gdy traciło poparcie najmłodszych roczników. Dzisiaj co piąty wyborca PiS to człowiek poniżej 39. roku życia (20,9 proc.). Ciągle mało, ale i tak lepiej niż w przypadku KO, bo tam tylko 15 proc. wyborców to ludzie w tym przedziale wiekowym.

Najmłodszych wyborców można potraktować jak papierek lakmusowy. Oczywiście z wieloma zastrzeżeniami, bo nie jest to część elektoratu tak mocna jak grupy starsze. Wiadomo jednak, że to najmłodsi szukają czegoś nowego w polityce. A obecna stagnacja sondażowa jest znakiem tego, że na scenie politycznej nie ma czegoś spektakularnie atrakcyjnego.

PLANY KACZYŃSKIEGO, KŁOPOTY TUSKA

O powolnym dreptaniu PiS już wspominaliśmy. Lider partii zapowiedział na jesień konwencję programową. Jarosław Kaczyński lubi tego rodzaju ruchy. Nie są one widowiskowe, więc zazwyczaj pozostają lekceważone przez media i opinię publiczną. Chyba jednak niesłusznie, bo ogłaszane przez PiS pomysły programowe rzeczywiście nie dawały szybkiego efektu w sondażach, ale potem dobrze działały w kampaniach wyborczych. A co więcej, już w trakcie sprawowania władzy, przywiązywały do prawicy kolejne grupy wyborców.

Rządzący – jak piszą życzliwe im media – ponoć się „ogarnęli" i Donald Tusk zaczyna wierzyć, że nie straci władzy w następnych wyborach. Jeśli tak, to czeka go bardzo trudna droga. Ta jesień to czas bolesnych dolegliwości ekonomicznych – np. skokowy wzrost cen opłat za ogrzewanie. Nie ma też ruchu na rynku pracy, a sytuacja jest najgorsza od wielu lat. Niby bezrobocie pozostaje niskie, ale stopniowo rośnie: 5,4 proc. w lipcu, 5,5 w sierpniu (5,0 proc. w lipcu i sierpniu 2024 r.). Najbardziej odczuwane przez najmłodsze pokolenie pracobiorców.

Na niekorzyść rządu działa też sprawa umowy z Mercosur. Rolnicy szykują się na masowe protesty. Przekaz rządu

eprasa.pl 567bc8df25

w tej sprawie jest zupełnie defensywny. Jedyne tłumaczenie jest takie, że rząd pozostaje przeciw umowie, ale nic się nie da zrobić. To przy okazji znaczy, że umowa jest jednak zła. W jednym z badań (7 września – Res Futura) 77 proc. komentarzy internetowych było jej przeciwne, a tych wspierających rząd – zaledwie 18 proc. Przy czym nie były to wpisy zachwalające korzyści z umowy, ale atakujące rolników w paternalistyczny sposób (że są zacofani) lub z pobudek egoistycznych (że nie ma znaczenia, skąd pochodzi żywność).

Owe „ogarnięcie się Tuska" ma polegać na ruszeniu w Polskę i przedstawianiu osiągnięć oraz nowych pomysłów jego ekipy. Ryzykowne samo z siebie, bo przypomina to „100 konkretów na 100 dni". Wśród wymienianych pomysłów są takie jak przeszkolenie wojskowe nawet 100 tys. ludzi rocznie. Ryzykowne, bo Tusk zapowiadał to wiele miesięcy temu i nic się nie dzieje w tej sprawie. Utworzenie Parku Narodowego Dolnej Odry – już wybuchła awantura, że to celowa blokada naszej żeglugi śródlądowej. Program „Renesans polskiej kolei", podobno kluczowy dla Tuska. A tymczasem, jak alarmują znawcy tematyki kolejowej (np. Karol Trammer), obecny rząd wygasił połączenia do miast rządzonych przez samorządowców z PiS – w tym Jastrzębia-Zdroju, największego polskiego miasta pozbawionego w ten sposób pasażerskiego połączenia kolejowego. Inny pomysł – pełna cyfryzacja systemu ochrony zdrowia. Co to da, skoro media donoszą, że NFZ właśnie teraz traci płynność finansową? A widocznym efektem tego będzie drastyczne ograniczenie liczby świadczeń.

Na dodatek premier sam zmarnował coś, co mógł dać rosyjski atak dronowy – czyli tzw. efekt flagi. Przez kilka dni zapanowała swoista zgoda narodowa, co mogło być wytchnieniem dla bardzo niepopularnego rządu. Ale Tusk to zepsuł całkowicie kłamliwym wpisem o tym, jakoby PiS szukało usprawiedliwień dla Rosji. A teraz doszła kompromitacja z wystąpieniem wiceministra Bosackiego na forum ONZ. W tym świetle trudno się spodziewać, że ogłoszenie pomysłu tworzenia wojsk dronowych da rządowi jakieś punkty. Raczej będzie przypominało jego wpadki.

KONFEDERACJA ZAWODZI

Beneficjentem pisowskiego dreptania i katastrofalnie słabych notowań KO miała być Konfederacja. Tymczasem – jak już wspominaliśmy – powtarzające się wpadki Sławomira Mentzena i jego brak wyczucia nastrojów rozczarowały wielu wyborców. Przypomnijmy dwa epizody internetowe – dwie debaty Mateusza Morawieckiego. Pierwsza była z liderem Konfederacji. „Piwo z Mentzenem" okazało się katastrofą dla gospodarza – 42 proc. komentarzy pozytywnych dla Morawieckiego, zaledwie 18 proc. dla Mentzena. Potem była druga, z Adrianem Zandbergiem. Wynik w komentarzach internetowych był następujący: 46 proc. pozytywnych dla Morawieckiego, 41 proc. dla Zandberga. Wielu widzów zostało z obrazem Mentzena jako osoby niekompetentnej i przereklamowanej.

> Beneficjentem pisowskiego dreptania i katastrofalnie słabych notowań KO miała być Konfederacja. Tymczasem powtarzające się wpadki Sławomira Mentzena i jego brak wyczucia nastrojów rozczarowały wielu wyborców

Na dodatek przekaz Konfederacji stał się niespójny, co jest wynikiem konfliktu między Sławomirem Mentzenem a Krzysztofem Bosakiem. Widać to było np. po całkowicie odmiennych komunikatach obu polityków po posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

PREZYDENT BUDZI NADZIEJĘ

Zostaje zatem Karol Nawrocki – najważniejszy punkt odniesienia dla wszystkich partii. Koalicja Obywatelska musi się pozycjonować wobec niego. Tusk ciągle będzie z nim porównywany. Odnośnie do Prawa i Sprawiedliwości prezydent jawi się jako forpoczta prawicy. Konfederacja próbuje sprzedać przekaz, że Nawrocki jest bardziej konfederacki niż pisowski. Ale to rozpaczliwa próba zaklinania rzeczywistości, bo np. w otoczeniu prezydenta nie ma ani jednej osoby kojarzonej z Konfą (a u boku Andrzeja Dudy było dwóch takich ludzi).

Prezydent Nawrocki korzysta z uroku świeżości. Może to trwać długo, bo opinia publiczna zobaczyła polityka bardzo dynamicznego, przyjmowanego z szacunkiem na najważniejszych salonach świata. Poruszającego się tam zręcznie, więc nikt już nie pamięta o tym, jak krótki staż w wielkiej polityce ma obecny prezydent. Jego notowania rosną: według OGP w początku września 47,5 proc. ankietowanych oceniło go pozytywnie. To przyrost o 5,8 proc. Negatywnych ocen było 33,2 proc. Czyli Nawrocki przekonuje do siebie także tych, którzy na niego nie głosowali.

Wniosek z tego taki, że to on jest dzisiaj kimś, kto budzi nadzieje na nową politykę. Zmianę, na którą co wybory czeka kilka bądź kilkanaście procent wyborców. To grupa, która nie jest w stanie zdominować stałych elektoratów dwóch największych partii, ale rozstrzyga o wyniku wyborów.

W 2023 r. Tusk wzywał do głosowania na swoich przyszłych koalicjantów, bo wiedział, że ci ludzie nie poprą bezpośrednio jego partii. Oni nie chcieli powrotu Platformy takiej, jaką pamiętali z lat 2007–2015. Chcieli nowej polityki. Dzisiaj wiedzą, że dostali jeszcze gorszą politykę. Ale jednocześnie ta grupa nadal boi się głosować na PiS. Zdawało się, że beneficjentem, który przejmie ten labilny elektorat, będzie Konfederacja. Jednak dzisiaj nie ma już na to wskazań.

Na kogo ci ludzie mają więc zagłosować? Być może jakaś część z nich nie pójdzie do wyborów parlamentarnych, ale nie będzie to 100-procentowa absencja w tej grupie. Zatem na kogo? Nikt nowy się nie pojawi. Prawdopodobnie posłuchają wskazań ze strony nowej siły na polskiej scenie politycznej, czyli Karola Nawrockiego.

eprasa.pl 567bc8df25

Fot. Andrzej Skwarczyński

Biotechnologiczny wyścig zbrojeń już trwa

Nie zawsze w pełni to dostrzegamy, ale biologia jako nowa domena wojny przestała być jedynie teorią

Z Grzegorzem Gielerakiem, generałem broni Wojska Polskiego, prof. dr. hab. nauk medycznych, dyrektorem Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie, rozmawia Dorota Łosiewicz

Na przykładzie wojny Rosji z Ukrainą widzimy, jak zmienił się sposób prowadzenia konfliktów zbrojnych. Jak pan postrzega te zmiany?

Grzegorz Gielerak: Wojna na Ukrainie miała dwa etapy. Pierwszy, trwający ok. dwóch tygodni, stanowił przykład tego, co określa się mianem wojny XXI w. W Polsce temat ten był analizowany przez pryzmat koncepcji „armii nowego wzoru", która zakłada odejście od czystej masowości na rzecz sieciocentrycznej współpracy, precyzyjnych uderzeń i elastycznego dowodzenia. W tych warunkach państwo może więc prowadzić wojnę przy mniejszej liczbie żołnierzy, bazując na środkach odmiennych od tych, które twardo definiowały klasyczne warunki i zasady użycia sił zbrojnych.

Tak postąpili Rosjanie. Dla wielu obserwatorów było zaskoczeniem, że zdecydowali się zaatakować Ukrainę przy tak dużej dysproporcji sił: armia ukraińska liczyła 300–400 tys. żołnierzy, podczas gdy Rosjanie zgromadzili wokół granic jedynie ok. 180 tys. Dlaczego mimo to podjęli decyzję o inwazji? Ponieważ planowali poprowadzić wojnę według reguł XXI w., gdzie o sukcesie przesądzają trzy elementy: zasięg, prędkość i precyzja. Kluczowe było to, jak daleko i celnie mogą sięgać rakiety oraz w jakim stopniu, jak szybko i skutecznie da się sparaliżować infrastrukturę krytyczną państwa, logistykę i systemy dowodzenia przeciwnika.

Kiedy Rosjanie ponieśli porażkę podczas ataku na Kijów, konflikt powrócił do klasycznej formy, znanej z poprzednich epok. Znów zaczęła decydować konwencjonalna siła – liczebność armii, ilość sprzętu i dzienny wydatek amunicji. Dysproporcje były ogromne: w pierwszym roku wojny Ukraina wystrzeliwała ok. 6 tys. pocisków artyleryjskich dziennie, podczas gdy Rosja – aż

eprasa.pl 567bc8df25

60 tys. Ta różnica dobitnie ukazała skalę przewagi potencjału.

Wkrótce pojawiło się kolejne zjawisko: ponieważ rzeczywistość nie znosi próżni, Rosjanie zaczęli narzucać własne zasady walki, radykalnie poszerzając tzw. strefę śmierci – obszar, w którym siły przeciwnika mogą zostać niemal całkowicie wyeliminowane – która na początku wojny miała szerokość ok. 3 km, tj. niewiele więcej niż maksymalny zasięg klasycznej broni strzeleckiej. Natomiast obecnie, dzięki wykorzystaniu dronów, rozpoznania elektronicznego i precyzyjnej identyfikacji celów, sięga ok. 25 km. Drony, o których mówi się dziś najczęściej, pełnią w tym układzie rolę głównego efektora przesądzającego o rozszerzeniu „strefy śmierci" – ma to kluczowe znaczenie zarówno z perspektywy obrońcy, jak i agresora, ponieważ wraz ze wzrostem jej zasięgu rośnie potrzeba skutecznej ochrony ludności cywilnej na zagrożonym obszarze oraz unikania lokowania tam infrastruktury krytycznej, w tym szpitali, co stanowi jedną z najistotniejszych różnic w dziedzinie ochrony i obrony pomiędzy dawnym a współczesnym sposobem prowadzenia wojny.

W którym kierunku będą ewoluować metody prowadzenia wojen? Czy biotechnologia i genetyka mogą posłużyć do tworzenia nieznanych wcześniej środków walki?

Nie zawsze w pełni to dostrzegamy, ale biologia jako nowa domena wojny przestała być jedynie teorią. Już w 2017 r. Chiny oficjalnie uznały biotechnologię za jeden z kluczowych obszarów przyszłej sztuki wojennej. W podręczniku „Nauka strategii wojskowej" wskazano wówczas biologię jako nową domenę działań zbrojnych – obok lądu, morza, powietrza i cyberprzestrzeni. Gen. Zhang Shibo, były rektor Chińskiej Akademii Obrony, stwierdził, że rozwój biotechnologii nabiera charakteru ofensywnego, umożliwiając „konkretne ataki genetyczne na grupy etniczne", co sugeruje postrzeganie ludzkiego genomu i procesów biologicznych jako potencjalnego pola dominacji militarnej.

Choć początkowo wielu obserwatorów uznawało te deklaracje za przesadzone, pojawienie się narzędzi, takich jak sztuczna inteligencja i komputery kwantowe powinno skłaniać do głębszej refleksji, zwłaszcza że postęp technologiczny gwałtownie przyspiesza – to, co kiedyś wymagało miesięcy lub lat, dziś bywa możliwe w ciągu kilku tygodni (dobrym przykładem jest projektowanie leków), a same technologie – podobnie jak energia jądrowa – mają charakter podwójnego zastosowania i mogą służyć zarówno celom korzystnym, jak i destrukcyjnym.

W nowej domenie prowadzenia wojny, o której rozmawiamy, stawką nie jest więc wyłącznie potencjalne uwolnienie patogenu – nawiasem mówiąc, wciąż brak jednoznacznej odpowiedzi na pytanie o pochodzenie wirusa SARS-CoV-2 – lecz także możliwość edycji materiału genetycznego i przeprowadzania precyzyjnych operacji wymierzonych w konkretne populacje.

> Lądowe i powietrzne siły USA testują farmakologiczne metody podnoszenia czujności żołnierzy (np. modafinil) oraz różne formy stymulacji mózgu

Czyli realnie istnieje pokusa tworzenia broni biologicznej zdolnej uderzyć w wybraną populację?

Z pewnością jest to brane pod uwagę. Warto zauważyć, że jedna z chińskich firm – BGI Group – oficjalnie zajmuje się gromadzeniem danych genetycznych z całego świata, co niewątpliwie służy określonym celom strategicznym. Jeśli chińskie laboratoria rzeczywiście prowadzą badania nad bronią biologiczną, do oceny jej skuteczności potrzebują możliwie najszerszego spektrum genetycznego reprezentującego różne populacje. Przypomnę sytuację z okresu pandemii COVID-19: jedno z państw europejskich, szczególnie dotkniętych jej skutkami, otrzymało ofertę pomocy ze strony Chin, lecz po analizie zidentyfikowano istotne ryzyko – przyjęcie wsparcia mogłoby się wiązać z ujawnieniem specyficznych cech genetycznych danej populacji, co – gdyby rzeczywiście chińskie laboratoria stały za wybuchem pandemii – mogłoby przyspieszyć rozwój wirusa i zwiększyć jego zakaźność. Dlatego Chinom odmówiono szerszego udziału w projekcie. W konsekwencji dostęp do danych genetycznych populacji – niezależnie od tego, czy mówimy o jednym narodzie, czy o całym kontynencie – należy postrzegać jako czynnik kluczowy o strategicznym znaczeniu dla bezpieczeństwa.

A czy możliwe jest modyfikowanie cech biologicznych żołnierzy, np. zwiększenie ich odporności na ból czy zmęczenie w celu uzyskania przewagi na polu bitwy?

Wszystko jest możliwe i faktycznie takie prace już trwają. W Stanach Zjednoczonych badania nad zwiększaniem zdolności bojowych żołnierzy koncentrują się na metodach bezpiecznych, odwracalnych i stosowanych wyłącznie za pełną, dobrowolną zgodą uczestników. Wykorzystuje się m.in. specjalistyczne leki, szczepionki, środki przeciwdziałające zmęczeniu oraz egzoszkielety. Agencja DARPA finansuje programy w ramach tzw. Human Performance Enhancement Technologies – przykładem jest projekt Red Blood Cell Factory, który zakłada modyfikację czerwonych krwinek w celu zwiększenia transportu tlenu i leków, a tym samym podniesienia wydolności organizmu w ekstremalnych warunkach. Inny program – Next-Generation Nonsurgical Neurotechnology – rozwija nieinwazyjne interfejsy mózg–komputer. Lądowe i powietrzne siły USA testują też farmakologiczne metody podnoszenia czujności żołnierzy (np. modafinil) oraz różne formy stymulacji mózgu. Wszystkie te działania podlegają ścisłemu nadzorowi prawnemu i rygorystycznej kontroli komisji etycznych. Priorytetem pozostaje biodefense – obrona przed bronią biologiczną, dlatego Pentagon inwestuje w czujniki wykrywające patogeny, szybkie systemy diagnostyczne oraz terapie genowe neutralizujące zagrożenia biologiczne.

eprasa.pl 567bc8df25

Przykładem jest program DARPA Safe Genes, którego celem jest zabezpieczenie żołnierzy przed skutkami wrogiej ingerencji w materiał genetyczny. Pamiętając doświadczenia z programów broni biologicznej z czasów zimnej wojny, Stany Zjednoczone koncentrują się na działaniach defensywnych i odstraszających. Opracowują szczepionki, antidota i procedury reagowania, równocześnie utrzymując przewagę naukową nad rywalami mniej skrępowanymi normami etycznymi. Amerykańska doktryna jednoznacznie podkreśla konieczność zgodności innowacji biotechnologicznych z prawem międzynarodowym i prawami człowieka. Dlatego kładzie się nacisk na świadomą zgodę, autonomię decyzyjną żołnierza oraz unikanie trwałych modyfikacji o nieprzewidywalnych skutkach.

Federacja Rosyjska skupia się przede wszystkim na genetycznym profilowaniu i selekcji kadr wojskowych oraz ochronie własnych zasobów biologicznych i danych. Rosyjscy badacze rozwijają system tzw. paszportów genetycznych, który – zgodnie z dekretem prezydenta Putina – do 2025 r. ma objąć całą populację w ramach państwowej strategii bezpieczeństwa biologicznego. W armii oznacza to szczegółowe profilowanie DNA każdego żołnierza pod kątem predyspozycji fizycznych i psychicznych, co ma umożliwić optymalne wykorzystanie personelu, np. identyfikację cech sprzyjających służbie w wojskach pancernych lub predestynujących do roli pilota czy operatora sił specjalnych.

Według nieoficjalnych doniesień chińskie laboratoria prowadzą prace nad wzmacnianiem możliwości bojowych żołnierzy. Rzekomo testuje się tam metody edycji genów i modulacji hormonalnej w celu zwiększenia siły, wytrzymałości i percepcji. Równolegle chińska armia inwestuje w rozwój neurotechnologii – interfejsów mózg–komputer, które w przyszłości mają umożliwić sterowanie dronami i systemami uzbrojenia za pomocą samej myśli, co wpisuje się w koncepcję tzw. broni kognitywnej.

Domyślam się, że podejście tych trzech państw do kwestii etycznych jest odmienne?

Zdecydowanie. Trzy mocarstwa prowadzą badania biotechnologiczne w odmiennych zakresach i z różnych przesłanek, co wynika przede wszystkim z podejścia do etyki: Zachód, bazujący na poszanowaniu fundamentalnych wartości, koncentruje się na zdolnościach obronnych; Chiny, dysponując zaawansowanymi technologiami, kładą nacisk na osiągnięcie celu i przewagi – z wyraźnie słabszym „hamulcem" etycznym; Rosja, ograniczana technologicznie, nie dorównuje USA ani Chinom, ale akcentuje ochronę własnych zasobów genetycznych i wdrażanie „paszportów genetycznych". W rezultacie to Chiny mają dziś przewagę w biotechnologicznym wyścigu zbrojeń. Po pierwsze, dzięki wysokiemu poziomowi zaawansowania technologicznego, po drugie, z powodu bardziej liberalnego podejścia do kwestii etycznych, co powinno skłonić

> Rosja skupia się na genetycznym profilowaniu i selekcji kadr wojskowych, co ma umożliwić np. identyfikację cech sprzyjających służbie w wojskach pancernych lub predestynujących do roli pilota czy operatora sił specjalnych

Zachód do precyzyjnego zdefiniowania nowej domeny i objęcia jej adekwatnymi ramami regulacyjnymi, zanim wymknie się nam spod kontroli. Tym bardziej że pandemia COVID-19 pokazała, iż w tego typu rywalizacji mamy do czynienia z grą o sumie zerowej, której negatywne skutki dotykają wszystkich.

Użył pan określenia „biotechnologiczny wyścig zbrojeń". Czy faktycznie taki wyścig już trwa?

Zdecydowanie tak. Wojna na Ukrainie dobitnie pokazała, że choć konflikt mogą rozpocząć armie, to już po kilku miesiącach staje się jasne – zgodnie z teorią i strategią wojskową – iż dalszy wysiłek wojenny angażuje wszystkie zasoby państwa i że aby odnieść zwycięstwo, trzeba uruchomić pełnię jego potencjału. Podobnie jest w domenie biologicznej: uczestniczy w niej nie tylko resort obrony i jego instytuty badawcze, lecz także wszystkie ośrodki naukowe kraju. Dlatego musimy mieć tego pełną świadomość, na bieżąco śledzić rozwój sytuacji oraz budować bioodporność poprzez właściwe planowanie, przygotowanie scenariuszy działania i rozwój środków obronnych.

Jak na tym tle wypada Polska, która na naukę nie przeznacza nawet 1 proc. PKB?

Odpowiedź jest prosta: adekwatnie do naszych możliwości. Nie uważam, aby Polska musiała oficjalnie ogłaszać biologię nową domeną prowadzenia wojny, jednak pandemia COVID-19 dobitnie pokazała, że nasze położenie geopolityczne i wielkość państwa zobowiązują nas do budowania – w miarę możliwości i we współpracy z sojusznikami, zarówno transatlantyckimi, jak i regionalnymi – zdolności obronnych także w domenie biologicznej. W praktyce oznacza to wzmocnienie odporności biologicznej poprzez rozwinięcie krajowych zdolności do produkcji szczepionek i osocza, szybkiej identyfikacji potencjalnych zagrożeń biologicznych oraz stworzenie odpowiednio wyposażonych laboratoriów mikrobiologicznych, tak aby uniknąć zapaści, jak ta po przerwaniu łańcuchów dostaw podczas pandemii, gdy okazało się, że jesteśmy w ok. 70 proc. uzależnieni od importu cząsteczek aktywnych z Azji.

Mówi pan o biotechnologicznym wyścigu zbrojeń, tymczasem okazało się, że mamy problem z obroną przed rosyjskimi dronami. Czego dowiedzieliśmy się po tym ataku?

Przede wszystkim obrona państwa to niezwykle złożony system. Obejmuje nie tylko wyrzutnie, czołgi i pociski, lecz także pozornie „drobne" elementy, takie jak zdolność wykrywania tanich, masowo produkowanych dronów, niosących ogromne ryzyko. Budując nasze zdolności obronne, musimy mieć to

eprasa.pl 567bc8df25

na uwadze oraz zapewnić środki przeciwdziałania adekwatne do skali zagrożenia. Doświadczenie Ukrainy – która początkowo nie miała systemów obrony przeciwlotniczej i musiała polegać na dostarczonych przez Zachód zestawach Patriot, świetnych do zestrzeliwania zaawansowanych rosyjskich rakiet, lecz zupełnie nieopłacalnych w konfrontacji z masowo używanymi przez Rosję dronami kamikaze Shahed (dron za 25 tys. dol. był zestrzeliwany rakietą wartą 4 mln dol.) – jasno pokazuje, że wojna jest w istocie konfrontacją potencjałów gospodarczych. Przewaga NATO wynikająca z około czterdziestokrotnie wyższego PKB niż PKB Rosji jest względna, bo gospodarka Zachodu w dużej mierze bazuje na usługach, które nie produkują czołgów ani nie gwarantują szybkiego przejścia państwa na tory wojenne. Dlatego na każdym kroku podkreślam konieczność budowania potencjału państwa na podstawie technologii podwójnego zastosowania – czy mówimy o biologii, dronach, czy rozpoznaniu satelitarnym, które muszą być wykorzystywane zarówno w sferze cywilnej, jak i wojskowej, a przede wszystkim umiejętnie integrowane.

Szkoda, że nie potrafimy wykorzystać potencjału polskich firm zbrojeniowych, np. APS, która opracowała system antydronowy SkyControl. Mówi się, że Polska rozważa zakup systemów izraelskich czy niemieckich – a może lepiej byłoby zmodernizować i rozbudować posiadane moduły rodzimego systemu?

Niestety nie jest to dla mnie zaskoczeniem. W ochronie zdrowia mierzymy się z podobnymi sytuacjami od dekad. Nadszedł czas, abyśmy jako państwo przeprowadzili gruntowny reset myślenia o zasobach i możliwościach. Na podstawie najnowszej wiedzy dotyczącej prowadzenia wojen musimy precyzyjnie określić, czego potrzebujemy, by skutecznie się bronić. Zdefiniujmy kluczowe obszary, a następnie określmy, które z nich rozwiniemy własnymi siłami, w których potrzebujemy wsparcia sojuszników, a które należy zakupić. To zadanie o charakterze priorytetowym. Nie wszyscy zdają sobie sprawę, jak ogromnym potencjałem produkcyjnym w zakresie nowoczesnego uzbrojenia dysponują polskie firmy prywatne, jest on naprawdę imponujący. Niestety po naszej stronie brakuje świadomości tej przewagi. Potrzebujemy systemowego podejścia obejmującego wiele dziedzin. Polska ma olbrzymie zasoby, lecz są one rozproszone, przez co nie wykorzystujemy efektu synergii. Czas to zmienić: zacznijmy od sektora bezpieczeństwa, a następnie przenieśmy te rozwiązania na inne obszary.

Co byłoby kluczowe dla ratowania życia Polaków, gdyby wybuchła wojna?

Trzy czynniki decydujące o sukcesie w wojnie XXI w. – prędkość, zasięg i precyzja – powinny również definiować działanie systemu zabezpieczenia medycznego: prędkość to szybka ewakuacja z pola walki i sprawna segregacja medyczna, zasięg to sieć współpracujących wojskowych i cywilnych ośrodków wsparcia oraz telemedycyna, a precyzja to standaryzacja procedur, wysokie kompetencje personelu i dostęp do nowoczesnych technologii. W praktyce zaś kluczowe okażą się trzy elementy: liczba łóżek intensywnej terapii, dostępność bloków operacyjnych oraz gotowe do działania całodobowe zespoły medyczne, które należy wyodrębnić już teraz i utrzymywać w gotowości.

> Chińska armia inwestuje w rozwój neurotechnologii – interfejsów mózg–komputer, które w przyszłości mają umożliwić sterowanie dronami i systemami uzbrojenia za pomocą samej myśli

Minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz ogłosił utworzenie Dowództwa Wojsk Medycznych. To chyba dobry pomysł?

Od 2022 r. konsekwentnie zabiegałem o utworzenie odrębnych wojsk medycznych, obecne rozwiązania traktuję jako etap przejściowy na drodze do docelowej struktury. Uważam, że Siły Zbrojne RP powinny ostatecznie dysponować pełnoprawnym Dowództwem Wojsk Medycznych, które skonsoliduje m.in. planowanie operacyjne, szkolenie, badania i rozwój, rozpoznanie medyczne, łączność i informatykę, logistykę oraz politykę kadrową tej służby. W praktyce oznacza to skupienie wszystkich zagadnień związanych z zabezpieczeniem medycznym – od polityki kadrowej przez logistykę, infrastrukturę i zaopatrzenie w leki po ścieżki kariery medyków wojskowych – w jednym organie dowodzenia, odpowiedzialnym za kompleksowe zarządzanie tym obszarem.

Głównym zadaniem wojskowej służby zdrowia w czasie pokoju jest przygotowanie cywilnej opieki zdrowotnej na wypadek wojny. Wojsko we współpracy z resortem zdrowia jest odpowiedzialne za stworzenie ogólnokrajowego systemu szkolenia kadr medycznych. Musimy także zaplanować funkcjonowanie podmiotów leczniczych na potencjalnych kierunkach działań obronnych, odpowiednio je wyposażyć i ufortyfikować oraz opracować logistykę ewakuacji medycznej. Wszystko to powinno być realizowane z wyprzedzeniem – i właśnie wojskowa służba zdrowia powinna dziś odgrywać w tej dziedzinie kluczową, wiodącą rolę.

Nie podzielam – niestety popularnej także wśród wielu wysokich rangą decydentów – tezy, że za przygotowanie medyczne na wypadek wojny odpowiadają przede wszystkim wojewodowie i samorządy. W Polsce funkcjonuje hybrydowy system zabezpieczenia medycznego na czas konfliktu złożony z komponentu centralnego i lokalnego, które muszą ściśle współdziałać i wzajemnie się uzupełniać. Kompetencje resortów siłowych oraz Ministerstwa Zdrowia powinny wzmacniać działania wojewodów i władz lokalnych. Bez odpowiedniej logistyki, know-how i stałego wsparcia samorządy nie zdołają wykonać wszystkich przypisanych im ustawowo zadań, dlatego m.in. kluczowa jest ścisła integracja cywilnej i wojskowej służby zdrowia.

eprasa.pl 567bc8df25

Zapad-2025 to preludium

Rosjanie podczas manewrów Zapad-2025 zrealizowali swój plan – zarówno wojskowy, jak i polityczny – co oznacza, że ciąg dalszy nastąpi, a podjęte działania będą prawdopodobnie groźniejsze

MAREK BUDZISZ

W świetle oficjalnych komunikatów służb prasowych Kremla ćwiczenia Zapad-2025 już się skończyły i żołnierze wracają do koszar. Manewry odbywały się na 41 poligonach, wzięło w nich udział 100 tys. wojskowych, a także 10 tys. sztuk sprzętu. „Ćwiczono obronę państwa związkowego" – jak można przeczytać w wydanym oświadczeniu. Jednak zdaniem zachodnich analityków manewry miały charakter agresywny i w ich toku testowano zdolności do przebicia korytarza lądowego z Białorusi do obwodu królewieckiego.

Wydaje się, że o ile najbardziej spektakularna część Zapad-2025 rzeczywiście się zakończyła, o tyle poważniejsza rozgrywka, której celem jest polityczne izolowanie państw wschodniej flanki NATO i narzucenie im siłą polityki ustępstw, dopiero się rozpoczyna.

Pawieł Murawiejko, szef białoruskiego sztabu generalnego, powiedział, że scenariusz ćwiczeń obejmował „odparcie ataku przeciwnika" i w drugiej fazie przejście do kontruderzenia przy użyciu wszystkich dostępnych systemów, w tym rakiet Oriesznik oraz taktycznych ładunków jądrowych. Ukraińskie portale wojskowe, uważnie obserwujące ćwiczenia i przygotowania do nich, informowały, że ze strony Rosji wzięły w nich udział związki taktyczne, takie jak 252. Pułk Strzelców Zmechanizowanych, które wcześniej walczyły na froncie kupiańsko-łymańskim. Ich pojawienie się na manewrach miało być częścią „rotacji" i to wyjaśnia – w opinii białoruskich ekspertów z inicjatywy BEPOL grupującej przedstawicieli resortów siłowych, którzy przeszli na stronę opozycji – dlaczego minister Chrenin i białoruski dyktator informowali o „przesunięciu" manewrów na poligony oddalone od granic państw NATO. W świetle oficjalnego przekazu miało to być „gestem dobrej woli", sygnałem o gotowości Mińska do współpracy, faktycznie jednak zdecydowały względy praktyczne, bo nie było sensu dyslokować tych sił na większe dystanse.

Fot. PAP/EPA

eprasa.pl 567bc8df25

GEST „DOBREJ WOLI”

Tego rodzaju kłamstw Mińska było zresztą w tym roku więcej, co pozwala traktować ćwiczenia Zapad-2025 jako manewry wojskowo-propagandowe, w których oprócz zdolności militarnych ćwiczono, w jaki sposób podzielić, skłócić i uczynić niezdolnymi do oporu państwa wschodniej flanki NATO. W tym narracyjnym – czy raczej propagandowym – wymiarze zarówno Mińsk, jak i przede wszystkim Moskwa mogą mówić o znaczącym sukcesie.

Jeszcze w lutym br. Walerij Rewenko, kierujący w białoruskim MON departamentem międzynarodowej współpracy wojskowej, zaproponował Warszawie zorganizowanie wspólnych inspekcji obiektów wojskowych w pasie nadgranicznym, do 80 km w głąb każdego kraju. Z kolei w czerwcu Mińsk zaproponował „wznowienie dialogu strategicznego”, a w nadesłanym do polskiego MSZ liście białoruscy urzędnicy pisali też, że brak dialogu „może doprowadzić do nowej wojny w Europie”. W tym samym czasie oficjalne media na Białorusi zaczęły pisać – powołując się na komunikaty własnego MON – o tym, że Mińsk jest zaniepokojony „militaryzacją Polski”, nie może „nie reagować na ten trend” i podejmowane przez Warszawę działania określono mianem „nieprzyjaznej strategii wobec Republiki Białoruś”. Oficjalnie starano się zbudować obraz Polski, która nie chce rozmów i negocjacji, i Białorusi – państwa zainteresowanego kooperacją, otwartego i przyjaźnie nastawionego.

Przez ten pryzmat należy postrzegać kolejny krok, polegający na tym, że Białoruś – jak informował gen. Wiesław Kukuła – „uprzedziła Polskę”, iż może dojść do naruszenia naszej przestrzeni powietrznej przez rosyjskie drony. Gdybyśmy ten ostatni fakt traktowali wyłącznie w kategoriach wojskowych, to tego rodzaju „informacja” wcale nie musiała mieć przyjaznego wymiaru. Mogło chodzić o zmuszenie nas do aktywowania naszych systemów radarowych i obrony przestrzeni powietrznej, aby, jak zauważył Jurij Fiedorow na łamach rosyjskiego portalu Ważne Historie, „określić optymalne trasy lotu bezzałogowych statków powietrznych do wyznaczonych celów, tzw. korytarze uderzeniowe, aby zrozumieć, jak szybko reaguje system obronny, na jakich częstotliwościach działa, a także ile samolotów można podnieść natychmiast po otrzymaniu sygnału o naruszeniu granicy”. Tego wszystkiego Rosjanie już się nauczyli podczas ostatniego ataku dronów na Polskę, a komunikat białoruskiego sztabu generalnego przekazany Warszawie trudno w związku z tym traktować jak gest „dobrej woli”. Tym bardziej zdumiewają wypowiedzi gen. Kukuły, który najwyraźniej w taki sposób postrzega działania Mińska.

Wracając do wymiaru propagandowego ćwiczeń Zapad-2025 i poprzedzających je manewrów dyplomatycznych, trzeba zwrócić uwagę, jak równolegle rozwijały się relacje władz Białorusi ze Stanami Zjednoczonymi. Na początku roku zaczęły się intensywne rozmowy między Mińskiem a Waszyngtonem. W białoruskiej stolicy składał wizytę Keith Kellogg, kilkakrotnie był tam też John Coale, specjalny wysłannik Donalda Trumpa, który doprowadził też do zwolnienia przez reżim kilkudziesięciu więźniów politycznych. W odpowiedzi na zwolnienie kolejnej grupy więźniów Waszyngton zaczął znosić sankcje, zaczynając od państwowych linii lotniczych Bielavia.

Mamy zatem do czynienia z wyraźnym ociepleniem w relacjach między obydwoma państwami, a ostatnim ich akordem było pojawienie się płk. Bryana Shoupe'a i drugiego niezidentyfikowanego amerykańskiego oficera na ćwiczeniach Zapad-2025. Białoruskie media podkreślają też, że na manewrach pojawili się również wojskowi obserwatorzy z Węgier i Turcji, co zdaniem komentatorów jest dowodem na to, że w NATO brakuje jedności. W świetle tej interpretacji mamy bowiem do czynienia z dwoma rekcjami – część państw jest wrogo nastawiona, w tym Polska i Europejczycy z Zachodu, a inne, także wchodzące w skład NATO, szukają porozumienia. Dwuznaczna reakcja Trumpa na rosyjski atak dronowy na Polskę i dezawuujące oświadczenie sekretarza obrony Hegsetha w kwestii konsultacji w trybie art. 4 paktu, których zażądała Warszawa, tylko utwierdzają białoruskich i rosyjskich ekspertów w tym, że przyjęta linia działania okazała się słuszna.

Tego, co robi Łukaszenka, nie można brać za próbę dystansowania się od Rosji i sygnalizowania gotowości do prowadzenia niezależnej polityki. Białoruski dyktator swymi wystąpieniami w trakcie obchodów święta ustanowionego w rocznicę rosyjskiej agresji przeciw Polsce – bo dla Mińska 17 września to data „zjednoczenia narodu białoruskiego” – podkreślał nie tylko związki z Rosją, lecz także powtarzał, iż uważa nasz kraj za wroga.

POZOROWANA SIŁA

Polityczny wymiar manewrów Zapad-2025, w tym rosyjskiego ataku dronowego przeciw Polsce, jest czytelny. Chodziło o podzielenie Zachodu, pokazanie jego nieprzygotowania, a także przejście do fazy zastraszania mniejszych państw. Niestety Rosjanom i Białorusinom to się udało.

W kwestiach wojskowych obraz jest mniej jednoznaczny. Białoruscy eksperci wojskowi związani z opozycją argumentują, że ćwiczenia pokazały, iż obecnie Rosja „nie jest zdolna” do rzucenia wyzwania NATO, a wiele podjętych działań miało charakter pozorowania zdolności. Tego rodzaju opinia dotyczy przede wszystkim testowania uderzeń jądrowych, co było związane zarówno z demonstracyjnym rozmieszczeniem na terenie obwodu królewieckiego systemów Iskander, jak i oświadczeniem szefa białoruskiego sztabu generalnego, który powiedział, że „wykonaliśmy wszystkie przydzielone zadania, w tym planowanie i analizę użycia niestrategicznej broni jądrowej”.

Zdaniem Władimira Żygara z inicjatywy BEPOL obecnie na Białorusi nie ma broni jądrowej i w tym konkretnym przypadku mieliśmy do czynienia z ewidentnym blefem oraz próbą zastraszenia. Podobnie jak w przypadku demonstracyjnych działań rosyjskiej marynarki wojennej, zarówno na Bałtyku, jak i na Dalekiej Północy. Towarzyszyły zresztą temu agresywne deklaracje pod adresem Finlandii. Dmitrij Miedwiediew, były premier i prezydent Rosji, na internetowych stronach agencji TASS oskarżył Helsinki o „propagowanie faszyzmu”, politykę wrogą wobec Rosji i zagroził, że ewentualny konflikt, do

13/0225/F

eprasa.pl 567bc8df25

którego jego zdaniem prze Finlandia, zakończy się „krachem, na zawsze, jej państwowości".

TRZY CELE PROWOKACJI

Rozgrywka z Polską też nie jest jeszcze zakończona i nie należy przedwcześnie cieszyć się z tego, że rosyjskie oddziały opuszczają Białoruś. Jurij Fiodorow zwrócił uwagę, że Rosja podjęła działania eskalacyjne – zarówno wobec Ukrainy, jak i państw wschodniej flanki NATO – po powrocie Putina z Pekinu. Rosyjski przywódca poczuł się pewniej, mogąc liczyć na wsparcie zarówno Chin, jak i Indii, przeszedł więc do kontrataku.

W tym ujęciu atak dronowy na Polskę może być odczytany w kategoriach prowokacji, która miała osiągnąć trzy cele. Po pierwsze, pokazać polskim elitom, że konflikt jest realny, a nasze zdolności do obrony – mizerne. Po drugie, chodziło o sprawdzenie, jak zareaguje NATO. I wreszcie po trzecie, ma to związek z sytuacją na Ukrainie. W świetle tej interpretacji na Kremlu dochodzą do wniosku, że szybkie pokonanie Ukrainy nie jest możliwe, trzeba zatem zwiększyć presję na Europejczyków, aby ci ograniczyli pomoc dla Kijowa. Nic tak dobrze nie działa, jak pokazanie im, że sami mogą stać się obiektem ataku, co powinno skłonić rządy do koncentracji na własnym bezpieczeństwie kosztem pomocy dla Ukraińców. W przypadku Polski atak dronowy, prowokacje na granicy i ćwiczenia Zapad-2025 mogą być tylko elementem większej rozgrywki.

Maria Zacharowa, rzeczniczka rosyjskiego MSZ, już oskarżyła Warszawę, że zamykając przejścia graniczne z Białorusią, realizuje politykę agresji i sugerowała „zastanowienie nad konsekwencjami takich destrukcyjnych kroków". Maksim Ryżankou, szef białoruskiej dyplomacji, oskarżył Polskę o to, że zamykając granicę, „realizuje ambicje imperialne", a w oficjalnym stanowisku władze Białorusi „dają Warszawie 10 dni na podjęcie rozsądnych działań". Chińczycy też są zaniepokojeni sytuacją – o czym świadczy wizyta Wanga Yi w Warszawie – a niedługo problemy zaczną odczuwać nasi partnerzy z Europy, pozbawieni dostaw towarów importowanych z Państwa Środka.

Rosjanie i Białorusini formułują zatem pod adresem Polski ultimatum, żądając otwarcia granicy, na które nie mamy dobrej odpowiedzi. Jeśli ustąpimy i uruchomimy przejście kolejowe z Białorusią, pokażemy swoją słabość. Jeśli przeciwnie, będziemy trwać w tej decyzji, kolejne prowokacje są tylko kwestią czasu. Jeśli zatem myślimy, że w przypadku Polski i innych państw wschodniej flanki zakończenie manewrów Zapad-2025 oznacza spokój do ich następnej edycji, to raczej jesteśmy w błędzie. Rosjanie zrealizowali swój plan – zarówno wojskowy, jak i polityczny – co oznacza, że ciąg dalszy nastąpi, a podjęte działania będą prawdopodobnie groźniejsze.

REKLAMA

eprasa.pl 567bc8df25

Białoruskie niejasności

Trudno nie odnieść wrażenia, że Polska – i to tym razem solidarnie rząd, prezydent i opozycja – postanowiła stanąć okoniem w stosunku do strategii Trumpa wobec Mińska, choć widać jak na dłoni, że nie przynosi to naszemu krajowi żadnych pożytków

JAN ROKITA

Polska polityka wobec Białorusi ostatnio przestała być czytelna: sprawa więźniów zwalnianych przez Łukaszenkę, dronów nadlatujących znad Białorusi, manewrów Zapad-2025, zamknięcia przejść granicznych. A w dzisiejszych okolicznościach niestety jakiekolwiek, nawet całkiem rozsądne pytanie o kształt polskiej strategii na Wschodzie napotyka na zarzut uczestnictwa w moskiewskiej dywersji i dezinformacji skierowanych przeciw interesom własnego kraju.

Nic zatem dziwnego, że nawet ci, którzy doskonale widzą tajemnicze zagadki polskiej strategii wschodniej, nie mówią o tym publicznie. W końcu przecież nikt nie chce zostać mianowany

Fot. exsilentroot/Shutterstock.com

eprasa.pl 567bc8df25

(mówiąc językiem premiera Donalda Tuska) „idiotą albo zdrajcą".

Co ciekawe, utwardzającej się z dnia na dzień linii, jaką wobec Białorusi przyjęli premier Donald Tusk i szef dyplomacji Radosław Sikorski, w zasadzie nie kwestionuje również prawicowa opozycja. Jest ona bowiem bardziej skłonna do licytacji z rządem na werbalny antybiałoruski radykalizm niźli do stawiania władzy jakichkolwiek pytań w tej materii. Entuzjazm byłego szefa MON Mariusza Błaszczaka podkreślającego, iż zamknięcie przez rząd wszystkich przejść granicznych, drogowych i kolejowych to w końcu akt prawdziwego naśladownictwa polityki PiS, może służyć jako dobry przykład takiej postawy opozycji.

Jak typowemu współczesnemu politykowi Błaszczakowi w ogóle nie przeszkadza dość luźny związek tak postawionej tezy z realiami. W końcu to przecież minister Witold Waszczykowski podjął swego czasu – wiosną 2016 r. – najbardziej spektakularną kampanię zabiegów i umizgów wobec mińskiego tyrana. A premierowi Mateuszowi Morawieckiemu, nawet już po wszczęciu przez Mińsk wrogiej akcji przerzucania do Polski migrantów, nigdy nie przyszło do głowy, aby zatrzymać z tego powodu idący przez Białoruś i Polskę wielki międzynarodowy szlak handlowy łączący Azję z Europą.

PATENT NA ŁUKASZENKĘ

Zresztą w ogóle obecny antybiałoruski radykalizm posunięć Tuska i Sikorskiego nie ma precedensu w polskiej polityce całego 35-lecia niepodległości. A niegdyś i sam Sikorski, w swoim wcześniejszym politycznym wcieleniu, był głównym (wraz z Niemcami) autorem probiałoruskiego zwrotu całej Unii Europejskiej, jaki w 2008 r. zaowocował nawet wielomiliardową pomocą finansową Zachodu dla mińskiego tyrana.

Rzecz bowiem w tym, że od wielu lat nie znaleźliśmy dobrego patentu na Łukaszenkę, bodaj najsprytniejszego i najdłużej rządzącego władcę w Europie. A wszystkie podejmowane co jakiś czas próby oswojenia tyrana kończyły się katastrofami. Dwa lata po swojej akcji umizgów Sikorski usłyszał, że próbował zorganizować zamach stanu w Mińsku, gdy tyran po raz pierwszy postanowił przemocą spacyfikować krytyków we własnym kraju. A jeszcze mocniejszą odprawę dostało po swych umizgach PiS, gdy Łukaszenka, przyciśnięty ekonomicznie, najpierw przyspieszył proces faktycznej rezygnacji z suwerenności na rzecz Moskwy i przekształcił swoją względnie dotąd łagodną tyranię w budzący postrach reżim z tysiącami więźniów politycznych. Aż w końcu pod dyktando Kremla wszczął z Polską „zastępczą wojnę", jako pocisków używając imigrantów.

Przypominam pokrótce tę historię, aby przyznać, iż całe to wieloletnie polskie (i nie tylko polskie) doświadczenie z mińskim tyranem istotnie jest argumentem na rzecz strategii izolowania oraz sankcjonowania białoruskiego reżimu. To zresztą sprawia, że gdy dziś rząd Tuska krok po kroku podejmuje działania wrogie wobec Białorusi, nikt w Polsce nie chce stawiać tego rodzaju polityki pod znakiem zapytania. Ale polityczna wrogość, zwłaszcza w dzisiejszych – co tu dużo mówić, naprawdę niebezpiecznych – okolicznościach, musi być stopniowana, gdyż w przeciwnym przypadku traci polityczny sens. A póki nie ma otwartej wojny, czyli takiego stanu, w którym o wszystkim decyduje już tylko przewaga bitewna, konieczne jest uprawianie polityki, a więc sztuki osiągania jakichkolwiek, choćby bardzo nisko ustawionych własnych celów.

> Obecny antybiałoruski radykalizm posunięć Tuska i Sikorskiego nie ma precedensu w polskiej polityce całego 35-lecia niepodległości

Wie o tym dobrze Donald Trump, który sam siebie uważa za mistrza „dealów", które co prawda wychodzą mu tylko od czasu do czasu. Potrzebując sukcesów na wschodzie Europy, gdzie Moskwa nie popuszcza i trzyma cały Zachód w politycznym szachu, Trump posyła teraz mińskiemu tyranowi czuły liścik wraz ze wzruszającymi prezentami: spinkami do koszuli z wizerunkami Białego Domu oraz zezwoleniem na serwisowanie w Ameryce cywilnych białoruskich samolotów, objętych dotąd sankcjami.

Przy czym Trump najmuje do tej misji niezwyczajnego prawnika: jest nim stary już dzisiaj John Coal, o którego talentach politycznych pamiętać może tylko ktoś, kto od kilkudziesięciu lat interesuje się amerykańską polityką. Cztery dekady temu, za prezydentury Ronalda Reagana, mecenas Coal wziął na siebie wyjątkowo trudną rolę prawnika płk. Northa i innych oficerów tajnych służb USA, którzy z premedytacją łamiąc prawo, tajnie sprzedawali broń do Iranu, by zdobyć lewą kasę na pomoc dla „contras", czyli antykomunistycznej partyzantki w Nikaragui. Coal nigdy nie stał się politykiem, sympatyzował chyba zresztą raczej z demokratami, ale stara republikańska gwardia zapewne zachowała dlań sporą wdzięczność.

Wizyty Coala w Mińsku i jego uczuciowe spotkania z Łukaszenką przy wódeczce (pierwsza lipcowa, na początek, jeszcze w roli towarzysza gen. Keitha Kellogga, następne już samodzielne) przynoszą efekt: Mińsk zwalnia kolejne duże partie więźniów politycznych, wśród nich głównego rywala i wroga Łukaszenki – Siarhieja Cichanouskiego. We wrześniu Coal (przy okazji przekazania uroczych spinek) przywozi także intencję rychłego otwarcia amerykańskiej ambasady w Mińsku oraz wznowienia relacji handlowych. Przy tej okazji tyran jowialnie deklaruje publicznie, iż swoje „główne zadanie" widzi we „wspomaganiu Trumpa i pomaganiu mu w jego misji zaprowadzenia pokoju". Liderka emigracyjnego quasi-rządu białoruskiego jest wdzięczna „za silne przywództwo USA". A Łukaszenka na odchodne z czułością mówi Coalowi: „Jeśli Donald twierdzi, że chce przyjąć tych wszystkich więźniów, to niech Bóg

eprasa.pl 567bc8df25

ma nas w swojej opiece – spróbujemy wypracować globalny układ".

BIAŁORUSKIE OSTRZEŻENIE

Z polskiej perspektywy kluczowy jest tu problem kalendarza. Kiedy 10 września z Białorusi nadlatują nad Polskę wrogie rosyjskie drony, to Coal właśnie dolatuje do Mińska ze spinkami i listem do Łukaszenki. Tego samego dnia polski rząd ogłasza, iż w związku z rosyjsko-białoruskimi manewrami nad polską granicą zamyka wszystkie przejścia graniczne na czas nieograniczony, co oznacza natychmiastowe wstrzymanie dużej części azjatyckiego handlu, w tym głównie chińsko-unijnego.

Cztery dni później na Białorusi są wysocy oficerowie US Army (i zapewne służb specjalnych), którzy dołączają do Turków i Węgrów, obserwujących już z ramienia NATO manewry Zapad-2025. Korzystają ze starych, zapomnianych w zasadzie reguł tzw. budowy środków wzajemnego zaufania, wymyślonych jeszcze w czasach zimnej wojny, a pozwalających na swobodne obserwowanie manewrów wojskowych w państwach nieprzyjaznych. Szef sztabu armii białoruskiej gen. Chrenin mówi publicznie do Amerykanów: „Mogą panowie oglądać wszystko, co was interesuje".

Dokładnie w tym samym czasie narasta napięcie pomiędzy Warszawą a Mińskiem. 12 września Polska zamyka przejścia graniczne, a Sikorski tłumaczy to – trzeba przyznać, mało przekonująco – wymogiem „bezpieczeństwa Polek i Polaków". Niby chodzi o agresywne manewry nad polską granicą, ale eksperci precyzyjnie opisują, iż tym razem są one dużo mniejsze, niźli poprzednie, rutynowo odbywane przez obie armie co cztery lata. A na dodatek – na miejscu obserwowane przez trzy państwa NATO, w tym USA. Nic nie wiadomo, aby Polska otrzymała od Amerykanów jakikolwiek sygnał w sprawie realnego niebezpieczeństwa, a przeczulony na punkcie zagrożenia ze wschodu litewski prezydent Nausėda mówi wprost, że tegoroczne rosyjsko-białoruskie manewry „nie stwarzały bezpośredniego zagrożenia". Polski MSZ próbuje uzasadniać decyzję znów narastającymi ostatnio ekscesami migrantów przy zbudowanym murze granicznym. To prawda, polskie patrole graniczne dopiero co obrzucono kamieniami, ale ma to nikły albo zgoła żaden związek z ruchem ciężarówek i pociągów towarowych na przejściach granicznych. Przecież żaden nielegalny imigrant nie pcha się do Polski przez oficjalne przejście graniczne.

Tymczasem na zwołanym 12 września zebraniu Rady Bezpieczeństwa ONZ to nie przedstawiciel Polski, ale Białorusi cytuje szefa sztabu Wojska Polskiego gen. Wiesława Kukułę, który przyznaje, iż „wyprzedzająca informacja" z Mińska o rosyjskim nalocie na Polskę „była pomocna" w szybkim zaalarmowaniu sił NATO i zestrzeleniu części dronów. Prawdę mówiąc, wiele wskazuje na to, że wczesne przechwycenie dronów było możliwe tylko dzięki owej „wyprzedzającej informacji". Białorusin ma wyraźną i w jakimś sensie zrozumiałą pretensję, iż w sprawie dronów polskie władze na równi stawiają postępowanie Moskwy i Mińska. Skąd taki gest, a prawdopodobnie również zestrzelenie niektórych dronów przez Białorusinów jeszcze nad ich terytorium? To kwestia politycznej spekulacji. Ale całkiem rozsądna jest hipoteza, że (mówiąc ironicznie) spinki od Trumpa, które Łukaszenka dostał właśnie poprzedniego dnia, odegrały tu sporą rolę. Trzeba było się jakoś wykazać wobec Białego Domu, a okazja z dronami lecącymi na Polskę była po temu całkiem niezła.

Kolejne uzyskane przez Coala fale zwolnień więźniów politycznych nie dotyczą więźniów polskich, a zwłaszcza symbolicznej dla nas postaci Andrzeja Poczobuta, trzymanego w niesławnym łagrze nowopołockim. To zresztą jedyna kwestia, która jeszcze w czerwcu stała się przedmiotem niewygodnych dla rządu Tuska pytań ze strony mediów i opozycji. Dlaczego nie zadbano o to, aby Coal wyciągnął z łagru Poczobuta, którego miński tyran trzyma z wyraźną intencją złamania i zmuszenia do błagania o łaskę? Czy teraz, we wrześniu, a więc już po spektakularnych rozmowach Trumpa z Nawrockim, a także Sikorskiego z Rubio, Coal miał na swojej liście tego więźnia? Czy Łukaszenka odmówił mu tej akurat przysługi dla Trumpa? A jeśli Coal nie zabiegał o wolność dla Poczobuta, czym można to uzasadnić? Ani Nawrocki, ani Sikorski się o to nie dopominali?

TYRANOWI PO ŁAPACH

Pośród wielu niejasności przynajmniej dwie rzeczy są tu pewne. Jedna, że tym razem to Ameryka idzie niegdysiejszym śladem Sikorskiego z 2008 r. oraz Waszczykowskiego z 2016 r., próbując zapewne zagrać z mińskim tyranem w większą grę, w której stawką byłoby podniesienie szans na rozejm na Ukrainie. Czy może to mieć sens, czy też wszystko (jak zwykle dotąd z Łukaszenką) znów obróci się w niwecz – to poważny temat na odrębną analizę.

Druga pewna rzecz to zaskakujący i trudny do pojęcia kompletny rozjazd politycznej strategii Waszyngtonu i Warszawy na Białorusi. A to musi zdumiewać, czy wręcz budzić konsternację, po jakże świeżych i teatralnych aktach solidarności i przymierza Polski i USA, których szczytem była manifestacja przyjaźni Trumpa z Nawrockim w Gabinecie Owalnym. Tymczasem trudno nie odnieść wrażenia, że Polska (i to tym razem solidarnie rząd, prezydent i opozycja) postanowiła stanąć okoniem w stosunku do amerykańskiej strategii wobec Mińska, choć widać jak na dłoni, że nie przynosi to naszemu krajowi żadnych pożytków.

Mecenas John Coal doprowadza do uwalniania więźniów, lecz ci, którzy dla Polaków są najważniejsi, nadal cierpią w Łukaszenkowskim gułagu. Ani Litwa, ani żaden inny kraj nie zablokował na własną rękę azjatyckiego handlu na swoich granicach, tracąc pieniądze, psując rodzimy biznes i robiąc sobie niepotrzebne kłopoty z Chińczykami. A niczyje bezpieczeństwo w Polsce od tej decyzji się nie poprawiło.

Rozanielony spinkami od Trumpa miński tyran kazał swym generałom zrobić gest wobec amerykańskiego sojusznika przy okazji lecących na Polskę dronów, lecz dostał za to tylko od nas po łapach. I nikt w Warszawie nie próbuje wykorzystać chwili umizgów Trumpa do Łukaszenki, aby osiągnąć na Białorusi choćby małe polskie cele. Dlaczego?

eprasa.pl 567bc8df25

Razem możemy więcej

Fundacja Stefczyka w Roku Spółdzielczości

Rok 2025 został ustanowiony Rokiem Spółdzielczości – idei, która w Polsce ma wyjątkowe znaczenie i bogatą tradycję. Spółdzielczość od ponad 100 lat buduje więzi społeczne, uczy odpowiedzialności, a także wzmacnia lokalne wspólnoty. To model, który udowadnia, że sukces można osiągnąć nie tylko bazując na indywidualizmie i konkurencji, lecz także współpracy, solidarności i wzajemnym zaufaniu

Dla Fundacji Stefczyka, która na co dzień działa przy Kasie Stefczyka – jednej z największych spółdzielczych instytucji finansowych w Polsce – to szczególny czas. Rok jubileuszowy staje się okazją do przypomnienia, że wartości spółdzielcze nie są jedynie teorią, ale żywą praktyką, którą można realizować w wielu dziedzinach życia społecznego.

DLA CIAŁA, DLA DUCHA, DLA RODZINY

Fundacja Stefczyka od lat konsekwentnie wspiera przedsięwzięcia kulturalne, sportowe i edukacyjne, zawsze mając na względzie spójne cele: wzmacnianie wspólnoty, budowanie więzi międzypokoleniowych i promowanie postaw bazujących na odpowiedzialności. Minione miesiące były tego najlepszym przykładem. W czerwcu Fundacja dołączyła do grona partnerów Tatra Fest 2025 – wyjątkowego wydarzenia łączącego sport, kulturę i integrację. W sercu Tatr spotkali się sportowcy z Polski i z zagranicy, a trzydniowe wydarzenie przyciągnęło nie tylko zawodników, lecz także całe rodziny i mieszkańców regionu. Wsparcie Fundacji pokazało, że w jednym projekcie można połączyć różne wymiary rozwoju: duchowy, fizyczny i społeczny.

Kolejnym istotnym przykładem działań Fundacji była pomoc dla klubu piłki ręcznej z Białej Podlaskiej. Akademicki Klub Piłki Ręcznej AZS AWF od lat występuje w Lidze Centralnej, a jego działalność jest dowodem na to, że prawdziwy sport rodzi się nie tylko w wielkich metropoliach, lecz także w mniejszych ośrodkach. To właśnie tam młodzi ludzie, wspierani przez lokalne środowiska, uczą się pracy zespołowej, dyscypliny i determinacji. Fundacja Stefczyka dostrzegła znaczenie tej działalności i wsparła klub, pokazując, że budowanie silnych wspólnot wymaga zaangażowania również tam, gdzie na co dzień nie docierają kamery ogólnopolskich stacji telewizyjnych.

Ważnym elementem ostatnich miesięcy była również obecność Fundacji Stefczyka na wydarzeniach kulturalnych najwyższej próby. Jednym z nich jest Międzynarodowy Festiwal Muzyki Organowej w Pelplinie. To już XXVII edycja tego niezwykłego przedsięwzięcia, które co roku przyciąga artystów z całego świata i umacnia swoją pozycję jako jedno z najważniejszych wydarzeń w Europie w swojej kategorii. Dzięki wsparciu Fundacji możliwe jest utrzymanie i rozwój tego wyjątkowego festiwalu, który łączy sztukę z duchowością, a także pozwala pielęgnować dziedzictwo kulturowe i artystyczne.

FUNDACJA STEFCZYKA

Fot. Dawid K Photography/Shutterstock.com

Fot. Krzysztof Celiński

Fot. Shutterstock

MISJA FUNDACJI – PODKREŚLANIE SIŁY WSPÓLNOTY

Działania te tworzą spójną całość i dobrze oddają misję Fundacji Stefczyka. Spółdzielczość to nie tylko mechanizm finansowy, lecz przede wszystkim idea troski o wspólne dobro i budowania trwałych więzi międzyludzkich. Rok Spółdzielczości przypomina, jak ważne są te wartości, a także zachęca, by praktykować je w codziennym życiu – zarówno w lokalnych społecznościach, jak i na poziomie ogólnopolskim.

Przed nami ostatni kwartał tego jubileuszowego roku, który dla Fundacji Stefczyka jest czasem szczególnego zaangażowania. To okres podsumowań, a także planowania dalszych działań, które będą realizowane w duchu solidarności, wzajemnego wsparcia i spółdzielczych ideałów. W świecie, który często stawia na indywidualizm, warto przypominać, że prawdziwa siła tkwi we wspólnocie.

Artykuł sponsorowany | 06/025/F/ZAL

eprasa.pl 567bc8df25

Jak Kanada popełnia samobójstwo

Chętnych do poddania się eutanazji w Kraju Klonowego Liścia jest tak wielu, że muszą czekać w kolejce. Eutanazja jest dziś w modzie. Doszło do tego, że staje się elementem stylu życia Kanadyjczyków

GRZEGORZ GÓRNY

Elaina Plott Calabro zaczyna swój raport w magazynie „The Atlantic" od opisu dwudniowej konferencji medycznej w Sheratonie w Vancouver. „Wydarzenie zgromadziło w sali balowej czterogwiazdkowego hotelu ok. 300 specjalistów z jednej tylko branży medycznej. Nie byli to jednak ortodonci czy chirurdzy plastyczni, lecz ludzie, których jeszcze niedawno uznano by za morderców. To, co robią dziś na co dzień, jeszcze 10 lat temu było prawnie klasyfikowane jako zabójstwo z winy umyślnej".

To ludzie, którzy całkowicie zmienili definicję lekarza. Z osób, które ratują życie, stali się tymi, którzy zadają śmierć. To specjaliści od eutanazji. Niekiedy nazywa się ich praktykami od wspomaganego samobójstwa, ale jest to określenie mylące, ponieważ samobójstwo nigdy nie było karalne. W rzeczywistości dostali od państwa licencję na zabijanie.

TRAUMA? STRES? SMUTEK?

Kiedyś to, co robili, było uważane za rzecz wstydliwą; dziś opowiadają o tym chętnie i bez żadnych zahamowań, niczym o normalnej metodzie leczenia. Autorka postanowiła zapytać ich o traumę, stres lub smutek związany z częstym zabijaniem pacjentów.

Dr Gord Gubitz wyznaje, że eutanazja wcale nie jest dla niego wyczerpująca emocjonalnie, lecz wręcz przeciwnie: jest „energetyzująca" i przynosi szczęście. Stefanie Green, która wcześniej pracowała jako ginekolog, nie widzi większej różnicy między przyjmowaniem narodzin a powodowaniem zgonów, które nazywa „porodami". Zwierza się, że dokonując eutanazji, odczuwa satysfakcję i jest „lekko nakręcona adrenaliną".

Claude Rivard, który osobiście uśmiercił 600 pacjentów, teraz szkoli początkujących w tym fachu klinicystów, pokazując im, że zabijanie pacjenta jest czymś w rodzaju procedury, którą należy zaplanować jak w programie Outlook. Należy tylko przezwyciężyć opory, jakie ma się za pierwszym razem. Potem przychodzi rutyna i przyzwyczajenie.

Takich wahań nigdy nie miała Ellen Wiebe, która przez 40 lat dokonywała aborcji, a teraz przerzuciła się na eutanazję i ma już na swoim koncie ponad 430 osób, które posłała na tamten świat śmiertelnym zastrzykiem. Specjalizuje się zwłaszcza w eutanazjach, jakich nie chcą podjąć się inni lekarze, uznający, że pacjent nie kwalifikuje się do tej procedury. Ona jednak lubi trudne wyzwania. Pomaga jej świadomość, że wykonuje misję „skoncentrowaną na prawach człowieka".

POPYT PRZEKRACZA PODAŻ

Wspomniane towarzystwo ma ręce pełne pracy. Od 2016 r., gdy parlament

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 567bc8df25

Kanady zalegalizował eutanazję, ok. 60,3 tys. obywateli tego kraju zostało legalnie uśmierconych przez lekarzy. Obecnie proceder ten zbiera tam większe żniwo niż choroba Alzheimera i cukrzyca razem wzięte.

Chętnych do poddania się eutanazji jest tak wielu, że muszą czekać w kolejce. Jak mówili uczestnicy konferencji, zapotrzebowanie na eutanazję zaczęło przekraczać możliwości lekarzy w zakresie jej świadczenia. Wspomniany Claude Rivard żali się, że jest tak przeciążony pracą, iż przestał przyjmować nowe wnioski o uśmiercenie pacjentów. Skarży się, że od lekarzy dokonujących eutanazji nie można wymagać, by świadczyli usługi w tak zawrotnym tempie.

Eutanazja jest dziś w modzie. Doszło do tego, że staje się elementem stylu życia Kanadyjczyków. Powstają nowe rytuały towarzyszące uśmierceniu pacjenta: weekendowe przyjęcia pożegnalne w ogrodach, wykonanie starej szkockiej pieśni ludowej „Auld Lang Syne" dla zgromadzonej przy łóżku rodziny, ceremonia zbierania łez od świadków, piżama party w domu pogrzebowym itd. Jest szampan, przejazd limuzyną, suknie balowe. Powstała nawet internetowa aplikacja służąca projektowaniu swojego obrzędu eutanazji.

AUTONOMIA CZŁOWIEKA JAKO ŚWIĘTOŚĆ

Moda na eutanazję jest nakręcana przez polityków i media, które przedstawiają ją jako odzyskanie kontroli nad swoim losem, umieranie na własnych warunkach, wymarzone zakończenie bajkowego romansu. Nadrzędnymi wartościami stają się autonomia i wola człowieka, które nie dopuszczają możliwości sprzeciwu. „Skoro autonomia w obliczu śmierci jest święta – pyta Elaina Plott Calabro – to czy jest ktokolwiek, komu nie należy pomóc umrzeć?".

Nic więc dziwnego, że prawo do legalnej eutanazji zaczyna przysługiwać coraz liczniejszym grupom osób – już nie tylko ludziom starszym, chorującym na śmiertelne i nieuleczalne choroby, znajdującym się w stanie terminalnym i doświadczającym bólu, którego nie da się uśmierzyć. Z czasem ustawa została rozszerzona na osoby, którym nie grozi rychła śmierć, np. cierpiące na zaburzenia psychiczne.

Próg kwalifikowalności do eutanazji, który pierwotnie miał być wysoki i rygorystycznie egzekwowany, przestał *de facto* obowiązywać. W praktyce ze świata żywych są więc eliminowani ludzie mający problemy finansowe, niemogący opłacić mieszkania lub po prostu zmęczeni życiem.

61-letni Alan Nichols został poddany eutanazji z powodu „utraty słuchu". Sathya Dhara Kovac złożyła wniosek o eutanazję nie dlatego, że chciała umrzeć, ale z tego powodu, że nie stać jej było (jako osoby niepełnosprawnej) na opłacenie leczenia. Normand Meunier poprosił o uśmiercenie, ponieważ „nie chciał być ciężarem" dla personelu medycznego w szpitalu w Quebecu, gdzie trafił z infekcją dróg oddechowych. Prawie połowa Kanadyjczyków, którzy zmarli na skutek eutanazji, postrzegała siebie jako obciążenie dla rodziny i przyjaciół.

> Od 2016 r., gdy parlament Kanady zalegalizował eutanazję, ponad 60 tys. obywateli tego kraju zostało uśmierconych zgodnie z prawem przez lekarzy. Obecnie proceder ten zbiera tam większe żniwo niż choroba Alzheimera i cukrzyca razem wzięte

Rozmówcy Elainy Plott Calabro chętnie opowiadają o takich nietypowych przypadkach. Np. Madeline Li w 2018 r. uśmierciła pacjenta po trzydziestce, który zachorował na raka. Według lekarzy miał 65 proc. szans na wyzdrowienie. Mężczyzna nie chciał jednak żadnego leczenia (ani operacji, ani chemioterapii), tylko zażądał eutanazji. Madeline Li spotkała się z nim i spytała, czy podjąłby się leczenia, gdyby miał 100 proc. szans na powrót do zdrowia. Odpowiedział, że nie. Sama myśl o zabiegu, takim jak np. kolonoskopia, była dla niego traumą. Po prostu zażądał, aby go zabito. Pojawił się jednak problem proceduralny: pacjenta można było oficjalnie pozbawić życia, jeśli jego choroby nie dało się uleczyć. Ominięto jednak ten kłopot, stwierdzając, że schorzenie jest nieuleczalne, jeśli nie można go wyleczyć metodami akceptowalnymi dla pacjenta. Madeline Li mogła więc śmiertelnym zastrzykiem posłać mężczyznę na tamten świat.

NA RÓWNI POCHYŁEJ

Niedawno specjalny komitet parlamentarny zalecił rozszerzenie dostępu do eutanazji dla osób nieletnich, rekomendując jedynie wymóg „konsultacji rodzicielskiej", ale nie zgody rodziców. Dlaczego? Jak otwarcie stwierdził jeden z prawników z Kolegium Lekarzy i Chirurgów w stanie Saskatchewan: „Rodzice mogą być niechętni do wyrażenia zgody na uśmiercenie swojego dziecka".

Claude Rivard przyznaje reporterce „The Atlantic", że są pacjenci, którzy podczas uśmiercania stawiają opór, ale ich zachowanie jest traktowane jako „behawioralne objawy" postępującej choroby, a nie rzeczywisty sprzeciw wobec eutanazji. Żeby uniknąć takich – jak mówi – „potencjalnych zachowań wynikających z nieporozumienia", pacjentom przed zabiciem podaje się leki uspokajające, np. benzodiazepinę.

Pod koniec swego raportu Elaina Plott Calabro przywołuje opinię Etienne'a Montero, byłego szefa Europejskiego Instytutu Bioetyki, który przestrzegał, że gdy autonomia pacjenta jest priorytetem, wówczas wejście na równię pochyłą i ekspansja eutanazji stają się nieuniknione.

Reporterka „The Atlantic" zatytułowała swój tekst „Kanada popełnia samobójstwo".

eprasa.pl 567bc8df25

Miłość silniejsza niż Auschwitz

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Historia Edwarda Galińskiego i Mali Zimetbaum to jedna z najpiękniejszych, a zarazem najbardziej tragicznych opowieści z czasu II wojny światowej. Miłość Polaka, więźnia politycznego, i Żydówki deportowanej z Belgii rozkwitła w miejscu, gdzie niszczono człowieczeństwo – w Auschwitz. Para próbowała przetrwać za wszelką cenę i podjęła dramatyczną próbę ucieczki

Zaczynało się lato 1944 r. Wczesnym popołudniem 24 czerwca z obozu w Birkenau wyszedł oficer SS w stopniu Rottenführera, eskortując do pracy więźniarkę niosącą umywalkę. Mieli przygotowane przepustki, jednak strażnik przy bramie nawet nie był zainteresowany ich oglądaniem. Konwojent przeszedł wraz z robotnicą pod podniesionym szlabanem i oboje wyszli na zewnątrz.

Kilka godzin później w obozie zawyły syreny, a Niemcy ruszyli z obławą, poszukując dwójki zaginionych więźniów. Z piekła Auschwitz wyrwali się Edek Galiński (nr obozowy 531) oraz Mala Zimetbaum (nr obozowy 19880). Uciekinierzy błąkali się po okolicznych wsiach, zmierzając w stronę granicy ze Słowacją. Napawali się wolnością.

OBOZOWA ŚLUSARNIA

Młodzieńcza twarz Edka znana jest dzisiaj z plakatów, które co roku są wywieszane w rocznicę pierwszego transportu do KL Auschwitz. Warszawiacy z pewnością zauważyli je w przestrzeni miasta.

Edward Galiński urodził się 5 października 1923 r. w Więckowicach koło Jarosławia. W chwili wybuchu wojny miał niecałe 16 lat i był uczniem szkoły morskiej w Pińsku. Niemcy aresztowali go wiosną 1940 r. z grupą rówieśników ze szkoły średniej w Jarosławiu w ramach Akcji AB, która była skierowana przeciwko polskiej inteligencji. Jako 17-latek trafił do więzienia gestapo w Tarnowie. Kilka tygodni później, 14 czerwca 1940 r., został przywieziony przez Niemców do Auschwitz w pierwszym transporcie 728 polskich więźniów politycznych. Otrzymał numer 531.

Jego młody wiek i umiejętności techniczne sprawiły, że przydzielono go do komanda pracującego w obozowej ślusarni. Jego kierownikiem był Niemiec z Bielska, niewiele starszy od Edka esesman Edward Lubusch. Różnił się od pozostałych członków załogi KL Auschwitz. Nie znęcał się nad więźniami, a wielu z nich pomagał. Edek spędził w obozie cztery lata, walcząc o przetrwanie. Dzięki pracy w ślusarni mógł liczyć na pewne przywileje. Oprócz większej szansy przeżycia wolno mu było przemieszczać się po terenie obozu. To dawało możliwość zaplanowania ucieczki. Współwięźniowie zapamiętali go jako człowieka sympatycznego, o wesołym usposobieniu. Często przychodził także do obozu kobiecego.

TŁUMACZKA I KURIERKA

Mala Zimetbaum, Żydówka urodzona 26 stycznia 1918 r. w Brzesku, była o pięć lat starsza od Edka. Jej ojciec Pinkus, który z zawodu był kupcem, wyemigrował w 1928 r. do Antwerpii, szukając lepszego życia. Tam pojechała za nim cała rodzina. Mala uczęszczała do szkoły podstawowej w Belgii, szczególnie interesując się matematyką i językami obcymi, do których miała wielki talent. Biegle posługiwała się językami flamandzkim, francuskim, niemieckim, angielskim, polskim i w pewnym stopniu rosyjskim.

Niemcy aresztowali ją 11 września 1942 r. podczas łapanki Żydów na głównym dworcu kolejowym w Antwerpii. Mala trafiła najpierw do obozu przejściowego w Malines. Cztery dni później znalazła się w transporcie 1048 Żydów, który został skierowany do KL Auschwitz. 17 września transport dotarł do obozu. 717 osób zaprowadzono wprost z rampy do komór gazowych. Mala została uznana za zdolną do pracy i osadzona w obozie kobiecym w Auschwitz II – Birkenau, gdzie otrzymała numer 19880.

Ze względu na znajomość języków przydzielono ją do pracy jako tłumaczkę i kurierkę. Przekazywała więźniom polecenia esesmanów. Dzięki temu tak

eprasa.pl 567bc8df25

Mala Zimetbaum

jak Edek miała nieco większą swobodę w poruszaniu się po obozie. Wykorzystywała to m.in. do niesienia pomocy innym, chociaż nie należała do żadnej organizacji konspiracyjnej. Dostarczała wiadomości, a nawet żywność tym, którzy byli bliscy śmierci. Jej wrażliwość i chęć niesienia pomocy sprawiły, że szybko zyskała szacunek więźniów.

Tak Malę wspominała Ewa Feldenkreis, była więźniarka KL Auschwitz o numerze obozowym 29682: „Blondynka, lubiana była przez Lagerführerin Marię Mandel. Mala miała funkcję Laüferki (gońca), zajmowała się także przenoszeniem więźniarek wypisanych z izby chorych do baraków mieszkalnych. Więźniarki w naszej organizacji znały Malę i korzystały z jej usług. Gdy któraś z więźniarek komunistek wracała z rewiru, wówczas proszono Malę, aby zaprowadziła taką więźniarkę do baraku, z którego osłabiona więźniarka nie musiałaby iść do ciężkiej pracy".

MIŁOŚĆ ZA DRUTAMI

Pod koniec 1943 r. Edek rozpoczął starania o przeniesienie z obozowej ślusarni w Auschwitz I do zespołu instalatorów w Birkenau. Miał nadzieję, że stamtąd łatwiej będzie zaaranżować ucieczkę razem z jego dobrym przyjacielem z Jarosławia Wiesławem Kielarem. Przebrany w mundur esesmana Edek miał eskortować kolegę do pracy. Od Kommandoführera ślusarni Lubuscha potajemnie otrzymał mundur i pistolet. Ponadto dwójka więźniów nawiązała kontakt z Antonim Szymlakiem, z zawodu kaflarzem, który jako robotnik cywilny miał możliwość wstępu na teren obozu. Mieszkał on we wsi Kozy, położonej niedaleko Beskidów. Zgodził się pomóc. Miał zapewnić więźniom schronienie, kiedy już uda im się uciec, a następnie pomóc w przedostaniu się do Zakopanego, gdzie mieszkała siostra Wiesława Kielara. Przygotowania były już na ostatniej prostej, kiedy zachowanie Edka wyraźnie się zmieniło. Stał się roztargniony i poddenerwowany. Powodem była właśnie Mala Zimetbaum.

Edek spotkał ją na przełomie 1943 i 1944 r., gdy razem z pozostałymi instalatorami udał się do obozu kobiecego, aby dokonać napraw. Od pierwszego spotkania zapałali do siebie głębokim uczuciem. Spotykali się potajemnie, wymieniali liściki, spojrzenia i gesty, które dawały im siłę. W obozowej codzienności, gdzie ludzkie życie nie miało wartości, ich miłość była także aktem buntu. Nawet w Auschwitz można było znaleźć nadzieję na lepsze jutro. Przepełniona szczęściem Mala zwierzyła się jednej ze współwięźniarek: „Kocham i jestem kochana". Edek był zdeterminowany, by wydostać ją z obozu. Wiedział, że szanse Żydówki na przeżycie były minimalne. W końcu przyznał się do swoich uczuć przyjacielowi. Na wieść o tym Wiesław Kielar postanowił zrezygnować z udziału w planowanej ucieczce. W ten sposób Galiński mógł zabrać na wolność swoją ukochaną. Kielar do samego końca pomagał parze w przygotowaniach.

PRÓBA WOLNOŚCI

24 czerwca 1944 r. Mala założyła przygotowany wcześniej kombinezon roboczy. Z kolei Edek miał na sobie otrzymany od Lubuscha mundur SS. Do pasa miał przypiętą kaburę z pistoletem, w którym znajdowały się dwa naboje. Mala przyszła w umówione miejsce, niosąc na głowie umywalkę. W ten sposób zamierzali upozorować eskortowanie więźnia z komanda instalatorów do miejsca pracy poza obozem. Posługując się skradzionym przez Malę i podrobionym blankietem przepustki dla esesmanów, zdołali przekroczyć linię posterunków wartowniczych i wyjść na zewnątrz.

Niedługo później Niemcy zorientowali się, że brakuje dwójki więźniów i podnieśli alarm. „Już kilka dni przed ich ucieczką wiedziałam, co zamierzają uczynić. Kiedy więc któregoś dnia posłyszałyśmy głos syreny, wiedziałyśmy, co sygnał ten oznacza. Słyszało się szepty: »To Mala. To Mala!«. Mala rzeczywiście zbiegła z obozu razem z Edkiem" – wspominała Ewa Feldenkreis.

Fot. Ludmyła Skwarczyńska, Yad Vashem

eprasa.pl 567bc8df25

Uciekinierzy przez kilka dni ukrywali się w lasach, usiłując oddalić się od obozu. W końcu udało im się dotrzeć do wsi Kozy koło Bielska, położonej ok. 25 km na południe od Oświęcimia. Tam uzyskali pomoc od Antoniego Szymlaka. Z inicjatywy Mali zbiegowie zmienili jednak dalszą trasę ucieczki. Zamiast udać się do Zakopanego, postanowili przedostać się na Słowację. Tam Mala Zimetbaum miała rodzinę, u której mogliby się schronić.

W tym momencie szczęście niestety odwróciło się od uciekinierów. 7 lipca w Beskidzie Żywieckim Edek i Mala natknęli się na niemiecki patrol straży granicznej. Kobieta została zatrzymana jako pierwsza. Początkowo Niemcy nie zauważyli Galińskiego. Edek mógł się oddalić w bezpieczne miejsce, jednak wyszedł z ukrycia i dobrowolnie oddał się w ręce Niemców, by być z ukochaną.

Parę rozpoznano jako uciekinierów i odesłano z powrotem do obozu. W telegramie z 27 lipca 1944 r. kierownictwo Auschwitz poinformowało przełożonych o ich złapaniu. Edek i Mala trafili do osobnych cel aresztu obozowego mieszczącego się w podziemiach bloku 11, tzw. bloku śmierci. Obozowe gestapo długo przesłuchiwało pojmanych więźniów. Zwłaszcza Galiński był poddany brutalnym torturom. Niemców najbardziej interesowało, od kogo Edek otrzymał mundur i pistolet. Zarówno on, jak i Mala nie wydali nikogo. W grypsach potajemnie wysłanych do Wiesława Kielara zapewniali Lubuscha oraz więźniów, którzy wiedzieli o ucieczce, że nie mają powodów do obaw. W obozie mówiono o nich jak o bohaterach. Według relacji Bolesława Staronia, który był więziony w tej samej celi co Edek, każdego wieczoru po apelu Galiński śpiewał piosenkę, by dać Mali znak, że żyje.

TRAGICZNY FINAŁ

Oboje zostali skazani na śmierć. W drugiej połowie sierpnia w obozie męskim w Birkenau dla Edka postawiono szubienicę, a nieopodal, w obozie kobiecym, drugą dla Mali. Żadna z tych egzekucji nie poszła według planu. Galiński śmiało stanął na taborecie ustawionym pod szubienicą. Wokół byli zebrani więźniowie, którzy mieli oglądać ten ponury spektakl. Esesman krzyknął: „Achtung!" i zaczął odczytywać wyrok. Edek nie zamierzał jednak czekać do końca. Wyszukał głową otwór pętli, odbił się od taboretu i zawisł. Wiesław Kielar dobrze zapamiętał tę scenę: „Esesmani nie pozwolili jednak na taką demonstrację. Podnieśli krzyk, a lagerkapo w porę się zorientował. Złapał Edka wpół, postawił na taborecie, rozluźnił pętlę, Niemiec skończył czytanie wyroku w języku niemieckim i zaczął czytać w języku polskim. Czytał szybko i niewyraźnie. Spieszył się. Edek odczekał aż skończy. W momencie zupełnej ciszy krzyknął nagle zdławionym głosem: »Niech żyje Polsk...«. Ale nie skończył. Jupp nagle poderwał taboret, pętla tym razem zacisnęła się mocno. Ciało Edka wyprężyło się konwulsyjnie, po czym zawisło bezwładnie, głowa opadła na bok. Już nie żył. [...] Panowała martwa cisza. Grupa esesmanów wycofała się w kierunku wyjścia z obozu. »Czapki zdjąć!!!« – rozległa się nagle niespodziewanie polska komenda od strony czworoboku, gdzie był ustawiony blok 4. Zdawało mi się, że był to głos Tadka P. Cały obóz oddawał hołd zmarłemu" – wspominał.

> Posługując się skradzionym i podrobionym blankietem przepustki dla esesmanów, Mala i Edek zdołali przekroczyć linię posterunków wartowniczych i wyjść na zewnątrz

Mala Zimetbaum także nie zamierzała umrzeć bez sprawienia problemów Niemcom. Przebieg jej egzekucji relacjonowała po latach uratowana z obozu Sara Goldberg: „Zwołano więźniarki na plac apelowy, gdzie miała się odbyć egzekucja. Mala trzymała się dzielnie do końca. Podczas odczytywania wyroku podcięła sobie żyły żyletką, którą schowała we włosach, i skrwawioną ręką spoliczkowała esesmana. Zawołała do więźniarek: »Niedługo będziecie wolne, trzymajcie się!«" – wspominała. Według relacji innej więźniarki, młodej Słowaczki, która opowiedziała ją Wiesławowi Kielarowi, w tym przypadku Niemcy także zareagowali: „Rozwścieczeni esesmani prawie zadeptali ją nogami na oczach całego obozu kobiecego. Wyrok został wykonany, ale nie tak, jak przewidywały przepisy. Zmarła w drodze do krematorium wieziona na małym wózku przez więźniarki [...]".

Zdaniem Anny Tytoniak, zatrudnionej w administracji szpitala, Mala zmarła z powodu wykrwawienia. Z kolei według relacji innych więźniarek spalono ją żywcem w krematorium lub zastrzelono. Zarówno Edward Galiński, jak i Mala Zimetbaum zostali zamordowani 22 sierpnia 1944 r.

PAMIĘĆ, KTÓRA NIE GAŚNIE

Niedługo po egzekucji do Wiesława Kielara dotarła wyjątkowa przesyłka. Otrzymał złożone w papierku kępki włosów: krótkie należące do Edka i zwinięte w pukiel, o złotym kolorze, Mali. Na załączonej kartce były napisane nazwiska obojga i ich numery obozowe. Dzisiaj tę pamiątkę można oglądać w Muzeum Auschwitz-Birkenau.

Nie jest to jedyny ślad tej niezwykłej historii. W celi „bloku śmierci", w której przetrzymywano Edka, zachował się napis: „531 Galiński Edward + 6. VII. 1944 r. 19880 Mally Zimetbaum +". Oprócz danych więźniów i ich numerów obozowych zawiera on datę ostatniego dnia spędzonego na wolności – 6 lipca 1944 r.

Historia Mali Zimetbaum i Edwarda Galińskiego może być postrzegana jako symbol miłości, która była silniejsza niż obozowy terror. Ich imiona i twarze trwają w pamięci ocalałych i w Muzeum Auschwitz-Birkenau. Co roku, gdy widzimy twarz młodego Edka na plakatach, przypominamy sobie, że był nie tylko więźniem nr 531, lecz przede wszystkim człowiekiem, który kochał i marzył. Aż do samego końca.

eprasa.pl 567bc8df25

„Chopin, Chopin!" w reżyserii Michała Kwiecińskiego z kolejną życiową rolą Eryka Kulma otworzy 50. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, a potem powalczy o Złote Lwy, rywalizując z 15 konkurentami z konkursu głównego

Pięćdziesiąte Złote Lwy

Fot. Jarosław Sosiński

eprasa.pl 567bc8df25

Kadr z filmu „Chopin, Chopin!”

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Imponujący kinowym rozmachem i zarazem poruszająco skupiony na wiodącej postaci obraz „Chopin, Chopin!” od fazy projektu był typowany na zwycięzcę. Kinowego i festiwalowego. Od początku miał wiele atutów.

KLUCZE SUKCESU

Pierwszy to światowa rozpoznawalność tytułowego bohatera. Potem kluczowe założenie, by zamiast delikatnego gruźlika pokazać świadomego swojego muzycznego geniuszu (a także „rynkowych” zasad) celebrytę, któremu przychodzi się też zmierzyć z samotnością choroby i konsekwencjami jej ekspansywności (gdy odchodzą kolejni, zarażeni przez bohatera bliscy mu ludzie).

Młodego Chopina – cieszącego się życiem i brylującego na paryskich salonach, a potem skonfrontowanego z medyczną diagnozą – zagrał Eryk Kulm. Odkryty przez Michała Kwiecińskiego na potrzeby poprzedniego, znakomitego filmu „Filip”.

Od czasu tamtej produkcji Kulm to filmowa gwiazda, a także świadomy siebie aktor. Nieodpuszczający. Ciągle w artystycznych poszukiwaniach.

Do widzów „Chopin, Chopin!” miał trafić w roku kolejnej, XIX edycji Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina (odbędzie się on w Warszawie 2–23 października, film wejdzie do kin 10 października). Wcześniej, w sposób niemal oczywisty, tak spektakularna produkcja – choć międzynarodowa (francusko-polsko-hiszpańska), ale jednak z ogromnym polskim wkładem w każdym realizacyjnym pionie – została wytypowana na otwarcie innego wyjątkowego wydarzenia – 50. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni (22–27 września).

FRYDERYK KONTRA FRANZ

Wydawało się, że nic nie stanie na przeszkodzie, by „Chopin, Chopin!” stał się też polskim kandydatem do Oscara. I tu niespodzianka. Członkowie przedoscarowej komisji uznali, że lepszym reprezentantem naszej kinematografii będzie „Franz Kafka” Agnieszki Holland. Produkcja czesko-niemiecko-polska, realizowana w czeskiej Pradze, grana po niemiecku, z niemieckim głównym aktorem. W obsadzie wśród kilkunastu większych ról znalazła się jedna polska aktorka – Sandra Korzeniak. Polski jest operator Tomasz Naumiuk oraz piony: muzyczny (twórcy i zarazem wykonawcy to Mary Komasa i Antoni Komasa-Łazarkiewicz) oraz oświetleniowy. Film „Franz Kafka” będzie też walczył o Złote Lwy.

Gdybyśmy przyjęli gwiazdorski filtr produkcji, które znalazły się w konkursie głównym jubileuszowego festiwalu w Gdyni, to odtwórca Franza Kafki nie jest w Polsce zbyt znany. W filmie „Chopin, Chopin!” poza rewelacyjnym głównym aktorem znakomicie wypadły Karolina Gruszka jako Delfina Potocka i Dominika Ostałowska (madame Wodzińska).

DLA KOGO NAGRODY?

Wśród twórców walczących o tegoroczne Grand Prix znalazło się trzech przedstawicieli starszej reżyserskiej

Fot. Jarosław Sosiński

eprasa.pl 567bc8df25

Kadr z filmu „Franz Kafka”

gwardii. To Juliusz Machulski, wracający po dwóch dekadach do projektu „Vinci” (oraz aktorskiej plejady z Robertem Więckiewiczem, Borysem Szycem, Kamillą Baar czy Marcinem Dorocińskim); Władysław Pasikowski, który w nawiązującym do autentycznych zdarzeń „Zamachu na papieża” przywołał przed kamerę Bogusława Lindę, a także Karolinę Gruszkę, Adama Woronowicza i Zbigniewa Zamachowskiego.

W „Domu dobrym” Wojciecha Smarzowskiego mieli szansę zabłysnąć Agata Turkot (znana z serialu „Leśniczówka” i kinowego „Wesela” Smarzowskiego) oraz Tomasz Schuchardt – w tym projekcie w roli opresyjnego partnera.

Schuchardta zobaczymy też w głośnych (z powodu odwołania poprzedniej szefowej PISF) „Ministrantach” Piotra Domalewskiego. Tu gra rekolekcjonistę. W rolę proboszcza parafii, w której służący do mszy chłopcy wpadli na niezwykły plan odnowy moralnej wiernych, wcielił się Sławomir Orzechowski. W obsadzie są też Artur Paczesny (dwa lata temu nagrodzony w Gdyni za główną kreację w filmie „Tyle co nic”) i Kamila Urzędowska (Izabela Łęcka z powstającej właśnie kinowej adaptacji „Lalki”; w konkurencyjnej, serialowej wersji Wokulskiego gra Tomasz Schuchardt).

NOWE PERSPEKTYWY

W tegorocznym konkursie głównym sporo jest pełnometrażowych fabularnych debiutów, a w nich rozpoznawalnych aktorów. W filmie „Brat” Macieja Sobieszczańskiego gwiazdorską pulę tworzą Agnieszka Grochowska, Julian Świeżewski i Jacek Braciak. „Klarnet” Toli Jasionowskiej przyciągnął na północno-wschodni kraniec Polski Weronikę Humaj (m.in. serial „Stulecie winnych”) i Andrzeja Chyrę.

W „LARP. Miłość, trolle i inne questy” Kordiana Kądzieli (współtwórcy sukcesu produkcji „1670”) zobaczymy m.in. Martynę Byczkowską, serialową Anielę Adamczewską (a w filmie „Chopin, Chopin!” niedoszłą żonę Fryderyka).

Emi Buchwald („Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej”) zaprosiła do współpracy m.in. Karolinę Rzepę. W „Terytorium” Bartosza Paducha uwikłanego w sieć lokalnych powiązań młodego policjanta zagrał Józef Pawłowski, pamiętny główny bohater „Miasta 44”.

Piękną relację między niewidomą dziewczyną a fotografem stworzyli w „Światłoczułej” Tadeusza Śliwy Matylda Giegżno i Ignacy Liss (nowa wersja „Znachora” i role m.in. w filmach „Idź pod prąd” czy „Marzec ’68”).

Tytułowa „Wielka Warszawska” (reżyser Bartłomiej Ignaciuk) jest marzeniem młodego dżokeja, którego zagrał Tomasz Ziętek (m.in. „Kamienie na szaniec”, „Boże ciało”, „Carte Blanche” „Żeby nie było śladów”, „Cicha noc”, „Body/Ciało”). „Trzy miłości” Łukasza Grzegorzka skierowały światła na Martę Nieradkiewicz, uwikłaną na ekranie w uczuciowe trio.

„Życie dla początkujących” Pawła Podolskiego – ponoć na nowo definiujące opowieści o wampirach – sięgnęło po rozpoznawalność m.in. Michała Sikorskiego („1670”).

O tym, kto zdobędzie nagrody w głównym konkursie jubileuszowej edycji FPFF w Gdyni, zadecyduje jury pod przewodnictwem Magnusa von Horna – ubiegłorocznego zdobywcy Srebrnych Lwów za „Dziewczynę z igłą” (duńsko-szwedzko-polską produkcję nagrodzoną w sumie siedmioma statuetkami).

Fot. Kino Świat

eprasa.pl 567bc8df25

Niezależny gwiazdor Hollywood

Zagrał w najważniejszych filmach lat 70. ub.w., robiąc typową, hollywoodzką karierę. Potrafił jednak od niej uciec i odnaleźć się jako reżyser i promotor niezależnego kina. Robert Redford to ktoś więcej niż symbol męskości z uśmiechem za 1 mln dol.

MACIEJ WALASZCZYK

Która ze słynnych kreacji stworzonych przez Roberta Redforda była tą najbardziej oddającą jego osobowość i niewątpliwą charyzmę? Chyba nie ten trochę pechowy prokurator Logan z „Orłów Temidy" (1986). Tam Redford jest wyjątkowo komiczny, trochę roztargniony, przystępny i udowadniający, że potrafi zagrać także coś lżejszego. Tak jak w 1993 r., gdy na ekrany kin wszedł thriller erotyczny pt. „Niemoralna propozycja", w którym jako cyniczny gracz oferuje 1 mln dol. za przespanie się z postacią graną przez Demi Moore. A może to rzeczywiście agent Joe Turner z „Trzech dni Kondora" Sydneya Pollacka, będącego przykładem kina sensacyjnego w najlepszym gatunku z nieodłącznym podtekstem politycznym?

Zdaje się jednak, że Redford to ten legendarny traper z „Jeremiaha Johnsona" tego samego reżysera, który rozbudzając amerykańską mitologię i wyobraźnię, odszedł w góry od społeczeństwa w poszukiwaniu „raju utraconego". Zamieszkał pośród dzikiej przyrody, ożenił się z córką indiańskiego wodza, a potem mścił na się tych, którzy wymordowali mu rodzinę. Wiele scen z tego filmu Pollack nakręcił na terenie Sundance, słynnej posiadłości Redforda w stanie Utah, 1 tys. km od Hollywood, gdzie aktor jako zadeklarowany ekolog i obrońca natury utworzył rezerwaty przyrody oraz Sundance Film Institute, mający na celu kształcenie nowych kadr filmowych. To tam 16 września br. zmarł we śnie w wieku 89 lat.

„Chciałem mieć swoją prywatność, swoją rodzinę, wychowywać dzieci z dala od zgiełku i samemu robić to, na co mam ochotę. Nie zamierzałem wszystkiego sprzedawać, rzucać na pożarcie fotografom i mediom" – tak wyjaśniał swoją decyzję o opuszczeniu Los Angeles. Również na swym śnieżnym ranczo jeszcze pod koniec lat 70. zaczął organizować festiwal niezależnego kina. Kariera Quentina Tarantino zaczęła się właśnie podczas jego edycji w 1992 r. i pokazu „Wściekłych psów", podobnie jak braci Coen czy Jima Jarmuscha.

Na terenie posiadłości jest też stacja narciarska, bo aktor był również znakomitym narciarzem, czego dowiódł w filmie „Szaleńczy zjazd" (1969), w którym wcielił się w postać chłopaka z prowincjonalnego miasteczka Idaho Springs mającego obsesję na punkcie zdobycia złotego medalu w narciarstwie zjazdowym w czasach, gdy sport ten był zdominowany przez Europejczyków. A to, że od dawna wspierał rozmaite programy ekologiczne, udowodnił jako reżyser filmem „Fasolowa wojna" (1988), w którym w konwencji realizmu magicznego opowiedział historię ubogich hiszpańskojęzycznych farmerów z Nowego Meksyku toczących nierówną walkę z potężnym przedsiębiorcą, planującym założyć na ich ziemi park rozrywki.

Fot. Andrea Raffin/Shutterstock.com

eprasa.pl 567bc8df25

BASEBALLISTA, MALARZ, AKTOR I REŻYSER

Urodzony w 1936 r. Charles Robert Redford dorastał w Los Angeles w środowisku robotniczym – jak wspominał – „śmiertelnie przerażony biedą". Z Uniwersytetu Colorado, gdzie trafił dzięki stypendium sportowemu, wylano go za kiepskie oceny i nadużywanie alkoholu. To zamknęło przed nim drogę do kariery baseballisty. Próbował więc robić to, co kochał od dziecka, a więc malować. Mając 19 lat, wybrał się do Francji, by tam poznać artystyczne rzemiosło. Zarabiał na życie jako uliczny artysta, podróżował autostopem. Po latach wspominał wieczór, gdy układał się do snu na molo w Cannes, przyglądając się z daleka tarasowi hotelowemu, na którym trwał bankiet z okazji festiwalu filmowego. Po 16 latach znalazł się w tym samym miejscu, na takim właśnie przyjęciu, ubrany w smoking i fetowany jako gwiazda. Ale ta sytuacja wcale go nie zachwyciła.

Zanim jednak zdobył filmową sławę, trafił do nowojorskiej American Academy of Dramatic Arts, dzięki której miał zostać scenografem. Był w grupie teatralnej, a podczas występu w inscenizacji „Mewy" Czechowa wypatrzył go agent z Broadwayu. Dzięki temu na początku lat 60. ub.w. pojawił się w wielu małych rolach w serialach telewizyjnych, na scenie i w kilku filmowych epizodach. Przełom nastąpił w 1965 r. dzięki przykuwającej uwagę roli w filmie „Ciemna strona sławy" u boku Natalie Wood, za którą był nominowany do Złotego Globu.

Pierwszy duży sukces odniósł dzięki opowieści o autentycznych postaciach z historii Dzikiego Zachodu i roli wyjętego spod prawa bandyty w słynnym westernie „Butch Cassidy i Sundance Kid" (1969). Film odniósł oszałamiający sukces, zagrał w nim obok Katharine Rossi i Paula Newmana, z którym już na zawsze związał się węzłem bardzo osobistej przyjaźni. Redford wspominał, że to Newman zmienił jego życie, godząc się, by ten zagrał w filmie, w którym taki no name jak on nie powinien się znaleźć. Planowano bowiem zaangażować Steve'a McQueena czy Marlona Brando – po prostu domagano się wielkich nazwisk. Scementowało ich poczucie ulotności aktorskiej sławy. I – jak wspominał Redford – fakt, że pod wieloma względami do siebie pasowali: obaj wywodzili się z teatru i telewizji, obaj reprezentowali typowo amerykański, emocjonalny styl gry.

Ponownie u boku Newmana, ale już jako gwiazda, pojawił się kilka lat później jako uroczy drobny oszust Johnny Hooker w komedii kryminalnej „Żądło" (1973), która dzięki kapitalnemu scenariuszowi wciąż wciąga publikę w misterną gangsterską intrygę. Podobno sam Redford nie doczytał go do końca, by dać się zaskoczyć zakończeniu. Zagrał też w adaptacji powieści „Wielki Gatsby" (1974), „Pożegnaniu z Afryką" (1985), „Zaklinaczu Koni" (1998). A w ostatnich latach trafił prosto do uniwersum Marvela jako wyjątkowo złowrogi czarny charakter w produkcji „Kapitan Ameryka: Zimowy żołnierz" (2014). Z pewnością wielką sprawą było też wyreżyserowanie „Zwyczajnych ludzi" (1980), którzy nie tylko spodobali się publiczności, lecz także zostali nagrodzeni Oscarami. Kto jednak pamięta, że odrzucił role w dziełach, takich jak „Kto się boi Virginii Wolf?", „Absolwent", „Dziecko Rosemary" i „Love story"?

HOLLYWOODZKI LIBERAŁ

Robert Redford był uosobieniem sięgającego szczytów kariery amerykańskiego bożyszcza, inteligentnego i dowcipnego, a także symbolu seksu uwielbianego przez kobiety. To jedna z najważniejszych gwiazd filmowych lat 70., tzw. Nowego Hollywood, kina bardziej pesymistycznego i ukazującego amerykańskie konflikty. Gwiazdy, która znakomicie odnalazła się także w kolejnych dekadach, zarówno jako aktor, jak i reżyser. Redford dożył sędziwego wieku, uznania publiczności i kolegów po fachu, miłości rodziny, a prezydent Barack Obama odznaczył go nawet w 2016 r. Medalem Wolności. Wszak nie bez przyczyny cieszył się reputacją jednego z większych lewicowych liberałów Hollywood. I nie omijał tematów politycznych nawet w melodramatach, takich jak „Tacy byliśmy" (1973), gdzie w miłosnych kleszczach uwięziona została tradycyjna i lewicowa strona amerykańskiego społeczeństwa. W filmie pt. „Hawana" (1990) zagrał też amerykańskiego hazardzistę bawiącego na Kubie w ostatnich dniach dyktatury Batisty. W 2004 r. osobiście wybrał się do Hawany, by wdowie po Che Guevarze zaprezentować wyprodukowane przez siebie „Dzienniki Motocyklowe". Odwiedził go nawet Fidel Castro i nie było to ich pierwsze spotkanie. Już w 1988 r. aktor nie miał problemu, by wybrać się na wspólnie nurkowanie z kubańskim dyktatorem – w konsekwencji po powrocie do USA musiał o tym odpowiedzieć podczas specjalnego przesłuchania. W końcu zakupił prawa do „Wszystkich ludzi prezydenta" (1976) opowiadających o aferze Watergate, wcielając się w postać dziennikarza Boba Woodwarda.

W jego dorobku znajduje się też znakomita satyra polityczna Michaela Ritchiego pt. „Kandydat" (1972) – jej premiera odbyła się 12 dni po wybuchu afery, która zniszczyła karierę polityczną Richarda Nixona. Jednak w tym obrazie Redford gra startującego do Senatu młodego, idealistycznego kandydata demokratów. Film pokazuje go podczas kampanii, która im dłużej trwa i zbliża go do wygranej, tym bardziej w nieubłagany sposób obniża wyznawane przez niego standardy. Były plany, by pokazać bohatera 25 lat później, ale artysta zrezygnował z tego przedsięwzięcia. Polityczne wątki można jednak odnaleźć w wielu innych filmach z udziałem Redforda, m.in. w szpiegowskim dreszczowcu „Zawód: Szpieg" (2001) czy dramatach „Ukryta strategia" (2007) i „Reguła milczenia" (2007). Chciał, by tak było odbierane nawet „Wszystko stracone" (2013), w którym jako jedyna postać przez 106 min odgrywa rolę żeglarza mocującego się samotnie z oceanem.

HOLLYWOOD – FABRYKA SZMIRY

W ostatnich latach Redford narzekał jednak, że hollywoodzka fabryka snów zamieniła się w bezmyślną linię produkcyjną tzw. hitów, a rządzące nim środowisko uosabia „świat pełen pozorów i hipokryzji". On zaś, by uratować siebie i własne osobiste życie, dbał, by po skończonej pracy jak najszybciej opuszczać ten świat i wracać do Sundance. Narzekał, że zaawansowane technologie, wkraczając do przemysłu filmowego, zainfekowały branżę mającą na celu wyłącznie cele produkcyjno-sprzedażowe.

Zdaniem Redforda dzisiejsza popkultura karmi się bylejakością i promuje beztalencia, które kochają błysk fleszy i sprzedają nawet własną prywatność. Dlatego zaangażował się w promowanie niezależnego kina i jego twórców. Redford? Ktoś więcej niż gwiazda.

eprasa.pl 567bc8df25

Z Łańcuta do Łazienek – kim był Jan Potocki?

HITY i KITY ZAREMBY

Po co wracać do „Parad" Jana Potockiego? Żeby raz jeszcze poddać się odlotowej zabawie konwencją dell'arte? Teatr im. Wandy Siemaszkowej spróbował czegoś innego: pokazania tego zbioru krotochwil na tle historii ich powstania

Same „Parady" to zbiór czegoś, co dziś nazwalibyśmy skeczami. Tępy mieszczuch Kasander, jego swobodna córka Zerzabella, pajacowaty szlachcic Leander i łebski sługa Gil są stawiani względem siebie w coraz to nowych groteskowych sytuacjach. Czasem przypominam sobie telewizyjną wersję Krzysztofa Zaleskiego z 1978 r. z Fronczewskim (Kasander i Gil), Dałkowską (Zerzabella), Kondratem (Leander) i Wonsem (Doktor). To arcydziełko, klejnocik humoru. Potocki korzystał z konwencjonalnych postaci dell'arte, by nadać nowy sens ich dialogom prowadzonym dziwacznym językiem i ich pociesznym działaniom. Był bez mała prekursorem teatru absurdu.

Ale rzeszowski teatr spróbował czegoś innego. Sławny podróżnik i intelektualista, a także arystokrata, napisał „Parady" (po francusku) w majątku swojej teściowej księżnej Lubomirskiej w Łańcucie. Było to w 1792 r. Polska przegrywała wojnę o Konstytucję 3 maja, a we Francji szalała rewolucja, do której odnosi się zresztą jedna z parad – „Kasander demokratą". Najpierw dostajemy więc obrazek towarzystwa zgromadzonego w łańcuckim pałacu niczym na tratwie ratunkowej. W drugiej części grają oni „Parady" w dodatkowo absurdalnej atmosferze teatru w teatrze. Są w różnych układach Gilem, Zerzabellą, Kasandrem, Leandrem, a zarazem wciąż postaciami, które próbują ich udawać.

Mamy więc zabawę opowiadaniem o zabawie i równocześnie zderzenie zabawy z historycznym niepokojem z powodu rozchwianego świata. Potocki (świetny, nieustannie zmieniający nastroje Maciej Karbowski) chwilami włącza się do gry, ale nie umie ukryć przygnębienia. Czym? Klęską reform, upadkiem Rzeczypospolitej. Może też kryzysem świata arystokracji, w którym pan jest panem, a sługa – sługą. W części trzeciej, może nieco zbyt patetycznej, ten sam Potocki po samobójczej śmierci stawia się do krainy zmarłych. Nawet tam próbuje pytać starożytnych mędrców – zgodnie z klasycystyczną estetyką – czy dla Polski był jakiś ratunek.

Na ogół nie jestem zwolennikiem dopisywania czegoś do dawnych sztuk. Tu jednak urzekła mnie tak sprzeczna z praktyką współczesnego teatru próba zanurzenia się w historii. Co prawda w historycznych fragmentach stworzonych przez Jana Łucia nie wszystko wydało mi się do końca przejrzyste. Trzeba było ratować się po spektaklu lekturami. Ale nawet ta moja ciekawość backgroundu wydała mi się ożywcza.

Zarazem reżyserzy Radek Stępień i Michał Świechowski zagwarantowali nam porcję chwilami niemal surrealistycznej, a chwilami realistycznej zabawy. Nie przebierali swoich bohaterów we współczesne stroje (scenografia i kostiumy – Łukasz Mleczak). Wyprawa w przeszłość nie miałaby wtedy sensu. Lekkość tej gonitwie różnych konwencji gwarantowali Mariola Łabno-Flaumenhaft (Lubomirska), Paweł Gładyś (Sapieha), Aleksandra Perek (Sapieżyna) i szczególnie wyrazisty Robert Żurek jako francuski biskup emigrant.

Osobne pochwały należą się Piotrowi Napierale (Pietrek) i Kai Kozłowskiej-Żygadło (Rozyna) – jako para służących wzięli na siebie rolę mistrzów ceremonii prowadzących publikę ze śpiewem na ustach. Bo premiera odbyła w miejscu założycielskim, czyli w Łańcucie. Ale ja to zobaczyłem w warszawskich Łazienkach. W Starej Oranżerii, czyli w teatrze stanisławowskim, pełnym klasycystycznych rzeźb i malowideł, mieliśmy właściwą oprawę. Ale także przeganiano nas z miejsca na miejsce. I dobrze!

Piotr Zaremba

Fredro kontra Mickiewicz. Spotkanie wielkich Polaków

Znamy pasję Macieja Wojtyszki do opowiadania historii przez biograficzne anegdoty. Jego specjalność to spotkania sławnych postaci. „Księgi sprośności" jego autorstwa i w jego reżyserii konfrontują Aleksandra Fredrę z Adamem Mickiewiczem. To na razie najlepszy telewizyjny teatr w tym roku

Mamy tu niby ofertę spojrzenia na obie biografie przez pryzmat odbrązawiającego żartu. Spotkanie hrabiego Fredry z wieszczem miało miejsce w Paryżu w 1850 r. Ale jego przebieg został wymyślony przez mistrza Wojtyszkę.

Już z tytułu wnioskujemy, że będzie chodzić o sławną XIII księgę „Pana Tadeusza". Pełno w niej sprośnych żartów odnoszących się do seksu. Mickiewicz podejrzewał Fredrę o jej napisanie. W sztuce nie ma odpowiedzi na pytanie, kto się tego dopuścił. Fredro mógł, bo już, gdy był żołnierzem Napoleona, popełnił wulgarną humoreskę.

Ale może zrobiła to jego żona, utalentowana dama, którą ciągnęło do świntuszenia. Zgodnie z najnowszymi modami Wojtyszko upomina się o kobiety, choć bez ideologii. Zarazem śmieszny wydaje się nam chwilami Mickiewicz. Nie wiemy, czy wszystkie powtarzane tu plotki o obyczajach sekty Andrzeja Towiańskiego, do której poeta chce zaciągnąć komediopisarza, są prawdziwe. Ale ta grupa była przestrzenią dla zdrad małżeńskich wielkiego człowieka.

Mamy więc podpatrywanie wielkich artystów. Mickiewicz jest egzaltowany – zgodnie z tradycją. Za to Fredro, uchodzący za gwałtownika, tu jawi się jako człowiek refleksyjny, wycofany. No, może nie od początku, bo przez chwilę chce wyzwać Mickiewicza na pojedynek. Patrzy na niego z góry, jak arystokrata na szlachetkę. Ale potem, gdy wraz z żoną przyjmuje go u siebie, więcej słucha, niż mówi. To raczej charakterna małżonka rządzi zdarzeniami.

W tle mamy żale Fredrów do romantyków i demokratów typu Seweryna Goszczyńskiego, bliskiego Mickiewiczowi, którzy nie docenili uśmiechniętych tekstów galicyjskiego karmazyna. Ale nie tylko. Wojtyszko, bawiąc się błahymi sytuacjami, celnie opowiada o kawałkach polskiego losu, także tego związanego z polityką. Artyści mają różny wkład w sprawę polską – ale obaj go mają. To jest także o tym.

Jest lekko, zabawnie, a jednak poważnie. Zawdzięczamy to również aktorskim znakomitościom. Kreacje Krzysztofa Tyńca (Fredro) i Ireneusza Czopa (Mickiewicz) zasługują na oddzielne analizy. Może jeszcze bardziej role Danuty Stenki jako ekspansywnej Fredrowej i Patrycji Soliman jako kruchej, chorowitej Mickiewiczowej. Gdy dodać Krzysztofa Szczepaniaka jako zasadniczego syna Fredrów, trudno nie uznać dzieła za sukces. W historycznych dekoracjach Wojciecha Stefaniaka i kostiumach Zuzanny Markiewicz, przy jak zwykle lekko figlarnej muzyce Piotra Mossa.

STARZY DETEKTYWI NA START!

„Czwartkowy klub zbrodni" jest od niedawna przebojem Netfliksa. Zgrabny jako kryminał film stanowi zręczne nawiązanie do brytyjskiej atmosfery i tradycji. Jest też popisem aktorów, którzy towarzyszą nam przez całe nasze życie

To adaptacja popularnej powieści Richarda Osmana. Wielka Brytania jest dziś przestrzenią politycznej poprawności, ale w jej popkulturze utrzymało się coś z atmosfery Agaty Christie. Opowieść o czwórce staruszków prowadzących w luksusowym domu opieki klub detektywów rozkminiający dawne zbrodnie ma w sobie coś z przygód panny Marple. Ma też wiele z tekstów niekryminalnych, choćby z „Kwartetu" Ronalda Harwooda (też sfilmowanego), gdzie w domu starców szalała z kolei czwórka emerytowanych śpiewaków.

Co paradoksalne, zrobił to Amerykanin Chris Columbus. To przecież twórca pierwszych filmów według powieści o Harrym Potterze. Trudno o bardziej angielski klimat: szkoła czarów, do której chodzi Harry, jest zaludniona dziwacznymi Brytolami. Skądinąd ten sam Columbus jest też autorem tak arcyamerykańskiej klasyki, jak „Kevin sam w domu", którą co roku nęka nas Polsat.

Można się czepiać kryminalnej intrygi, zgodnie z którą dawna zbrodnia nakłada się na współczesne morderstwa. Skądinąd chwilami ważniejszy wydaje się bój staruszków o obronę swojego azylu. Dom starców nie jest tu miejscem zesłania, a okazją do życia wśród ludzi. Dostajemy lekcję godności seniorów. A gdy walczą o nią Helen Mirren (w filmie dawna agentka brytyjskiego wywiadu), Ben Kingsley, Pierce Brosnan (niegdyś jeden z Bondów, tu emerytowany związkowiec) i Celia Imrie, same ich miny i dialogi śledzi się z przyjemnością.

Są i dodatkowe żarty. Mąż grany przez innego wielkiego – Jonathana Pryce'a – mówi do żony: „Wyglądasz jak królowa". A żona to właśnie Mirren, Elżbieta II ze świetnego filmu „Królowa". Polacy przeżywają za to męki, słuchając Henry'ego Lloyda-Hughesa jako Bohdana, polskiego migranta zarobkowego. Jego polszczyzna jest straszliwa. To akurat nigdy nie wychodzi ani Anglikom, ani Amerykanom.

3 MIŁOŚCI

Jesteśmy paszą demonów

ROBERT TEKIELI

Demony żywią się nami, naszą siłą życiową, karmią się naszym nieszczęściem. Dzieje się tak u wszystkich, którzy otworzyli się na toksyczny świat duchowy.

Na szczęście większość ludzi pozostaje jedynie pod wpływem zwykłego działania złego ducha, bo każdy człowiek podlega diabelskim manipulacjom. Jesteśmy kuszeni, wbijani w pychę, wtrącani w rozpacz, nakręcani emocjonalnie aż po złe decyzje, ulegamy szatańskim poszeptom i żywimy złe uczucia, nie prosimy o przebaczenie i nie przebaczamy, idąc za prawdziwym czy urojonym – wmawianym nam w naszym wnętrzu – poczuciem krzywdy, rozczulamy się nad sobą ponad miarę, bywamy wkręcani w nienawiść, zazdrość, wbijani w kompleksy. To zwyczajne działanie złego ducha.

Przychodzącej z zewnątrz pokusie można się oprzeć, jednak dręczeń, np. obsesyjnych myśli, odeprzeć nieomalże nie sposób. Pochodzą bowiem z wnętrza człowieka. Na tym polega inicjacyjne otwarcie. I nadzwyczajność tych sytuacji.

„Do piekła! Do piekła! Do piekła! Nie mam czasu na przejażdżki, wiedźmo wściekła!" – śpiewał w czasach mojej młodości genialny grafoman, epigon poezji rymowanej, jeden z ostatnich polskich inteligentów – Jacek Kaczmarski. Czasami znajdujący świeże jeszcze rymy, dotykający niedotykalnego. Bo to nie o wiedźmiej wściekłości tu śpiewał, a o wściekłości demona, posługującego się jak marionetkami ludźmi pysznymi, gotowymi na pakt z szatanem.

Skutki demonicznej inicjacji mogą być bowiem dwojakie: ludzie w nadzwyczajny sposób otwarci na działanie złego, osoby będące paszą demonów to albo ludzie opętani, albo dręczeni. Otwarci duchowo w wyniku własnej świadomej decyzji lub niewiedzy.

Świadomy pakt ze złym duchem jest rzadkością. Wśród osób trafiających do egzorcystów opętani stanowią może 2, może 3 proc. Niestety zdarzają się też pakty wręcz nieświadome, wykrzykiwane np. wobec ludzkiego krzywdziciela w takich emocjach, że potem pozostają ukryte bardzo głęboko, a bez ich wykrycia modlitwa egzorcyzmów nie będzie owocna. Bo egzorcyzm to wyrzeczenie się relacji z demonem. Opisałem właśnie historię jednej z osób, które trafiły do naszej Poradni duchowej.

Świadomy pakt to rzadkość, większość okultystów, psychotroników, bioenergoterapeutów, wróżów, czarowników, „szamanów" to zwiedzeni zwodziciele. Ludzie biedni, pogubieni, oszukani, posługujący się aparatem pojęciowym nieadekwatnym do rozumienia spraw duchowych. Duża część okultystów rozsiewających swoją duchową chorobę wśród swoich pacjentów czy klientów w ogóle nie wierzy w istnienie świata duchowego i bredzi o „energiach".

Polskie elity muszą zadbać i o militarne, i o duchowe bezpieczeństwo Polaków. Przed nami wielka praca. Katolicy muszą odtworzyć państwo polskie, bo tylko wtedy wszyscy jego obywatele będą wolni. I tylko wtedy będzie można głosić naprawdę wszystkie poglądy

Co to znaczy, że osoby opętane i dręczone są paszą demona? Co to w ogóle znaczy: być paszą demona?

Jezus Chrystus odsyła złe duchy wyrzucane z ludzi w trakcie egzorcyzmów w miejsce pustynne, bezwodne. Wracają one do piekła. Tam potwornie cierpią. Dlatego demony z taką zaciekłością walczą o pozostanie w zniewolonym lub dręczonym przez siebie człowieku. Duchowo pasożytują na nim, żywiąc się jego energią, tą realnie istniejącą, pochodzącą ze spalania glukozy we krwi (niedające się leczyć farmakologicznie depresje są jednym z ważnych wskaźników zdemonizowania człowieka).

Dla demona powrót do piekła jest najstraszliwszą karą – zrobi wszystko, by tam nie wrócić. Zastrasza, kłamie, na koniec – nawet te najbardziej początkowo dumne i bezczelne – piszczą i błagają o litość, gdy np. w czasie egzorcyzmów pojawia się Maryja, bo często oznacza to koniec demonicznej posesji. Koniec cierpienia człowieka, który otworzył się na osobowe, inteligentne zło.

Nadzwyczajne działanie złego ducha kojarzymy zazwyczaj z satanizmem, okultyzmem czy spirytyzmem. Ale sytuacji inicjacyjnych – czyli kończących się otwarciem na toksyczną duchowość – pełno dziś w popkulturze i kulturze, w pseudonaukowych nurtach psychologii czy quasi-medycynie. Ktoś, kto przedstawia się jako mentor, coach, uzdrowiciel, psycholog, szaman czy trener, może być demonicznie otwarty i korzystając z zaufania, którym go obdarzamy, sprzedaje nam demona, świadomie lub nieświadomie.

eprasa.pl 567bc8df25

Nikt tego nie reguluje, nikogo to nie obchodzi. Polacy są bezbronni wobec duchowych zagrożeń ukrytych w kulturze i wobec działających na wolnym rynku ruchów psychomanipulacyjnych. Polskie państwo nie monitoruje nawet rozwoju groźnych sekt, a Kościół jest w mainstreamie wyśmiewany, gdy mówi o zagrożeniach duchowych. Również część hierarchów i kapłanów śmieje się wtedy w swej ignorancji.

W Kościele toleruje się antychrześcijański jungizm wykładany w seminariach duchownych, są zakony promujące toksyczne duchowo, orientalne medytacje zwane chrześcijańskimi. Również instytucje państwowe afirmują okultyzm i spirytyzm.

W znanym każdemu przedsiębiorcy oficjalnym systemie PKD (Polska Klasyfikacja Działalności) państwo polskie oprócz wróżbity, bioenergoterapeuty, biomasażysty, chiropraktyka, astrologa i radiestety, wśród praktykujących niekonwencjonalne lub komplementarne metody terapii, autoryzuje takie absurdy, jak aromaterapia czy terapia Bacha, której odkrywca zbierał rosę z płatków kwiatów i twierdził, że zawiera ona „wibracje kwiatowe", które leczą nawet syfilis czy raka. Na stronach z rozszerzeniem .gov państwo polskie autoryzuje „system Unani czy tradycyjne leki afrykańskie", wiedząc przecież, że pseudonaukowa medycyna Unani bazuje na teorii, według której śluz wypływający z nosa pochodzi z mózgu. Urzędnicy państwowi, anonimowo publikując te rozporządzenia, zastrzegają się drobnym drukiem, że nie ma żadnych dowodów naukowych na potwierdzenie skuteczności działalności uzdrowicieli, hipnoterapeutów czy homeopatów. Ale państwo ich promuje i oficjalnie standaryzuje tę działalność. Uznanie u polskiego prawodawcy znajduje terapia kryształami, irydologia czy radionika, naprapatia, shiatsu, watsu i qi gong tui na. Na czym polega qi gong tui na? „Na przekazaniu energii Qi z zewnątrz do wnętrza ciała pacjenta oraz pobudzeniu przepływu Qi i krwi w organizmie".

„Energetyczne" tłumaczenie rzeczywistości duchowej to zabieg wszelkiej maści okultystów od czasów pierwszych publikacji teozoficznych trucizn spod pióra niezwykle wpływowego XIX-wiecznego medium spirytystycznego – Madame Blavatsky, czyli Jeleny Pietrowny Bławatskiej, okultystki będącej wieloletnim wydawcą Magazynu Teozoficznego „Lucifer".

Stąd w prostej linii dzisiejsze antychrześcijańskie herezje, takie jak duchowość New Age, neoszamanizm czy okultystyczny „energetyzm", zwany przeze mnie selfizmem czakralnym („nie chrzczę swych dzieci, bo sakramenty zamykają czakry"). Słabomyślne narracje obrażające rozum i zmysł wiary.

Nic z tego, co głosi katolicyzm, nie jest sprzeczne z nauką. Każda prawda jest katolicka. Nauka nie wypowiada się na temat duchowości, bo nie ma metod naukowych, które można do niej zastosować. Każdy naukowiec wypowiadający się na temat istnienia lub nieistnienia Boga głosi swoje prywatne wierzenia. Nie stoi za nim autorytet nauki. Na drodze racjonalnej nie da się dowieść istnienia, jak i nieistnienia Stwórcy.

Odrzucanie chrześcijaństwa w cywilizacji, która z niego wyrosła, jest absurdalne i szkodliwe dla osób, rodzin, społeczeństw i narodów. Duchowego bezpieczeństwa nie są w stanie zapewnić swym obywatelom te aparaty państwowe krajów Zachodu, które nie posługują się obydwoma dostępnymi kardynalnymi narzędziami poznawania rzeczywistości: rozumem i wiarą. Odrzucenie fides przez nowożytny intelektualizm zaowocował kulturą samotności i kultem przemocy ubranej w szaty stanowionego prawa.

„Musimy wyjść poza nowożytność, przekroczyć ją. Musimy odzyskać normalność" – tak w 2016 r. mówiłem Robertowi Mazurkowi w wywiadzie, który przeprowadził dla „Rzeczpospolitej". Onet opisał to tak: „Musimy odzyskać normalność – apeluje na łamach magazynu »Plus Minus« Robert Tekieli. Publicysta i współzałożyciel pisma »bruLion« mówi w rozmowie z Robertem Mazurkiem, że chrześcijanie muszą odtworzyć państwo polskie, bo tylko wtedy wszyscy będą wolni". W opinii autorów i redaktorów portalu takie sformułowanie miało brzmieć absurdalnie. Dziś trudno o lepszą rekomendację.

„W nowożytności skończyła się debata, bo zanikło jedno kryterium prawdy, a żeby ten świat przetrwał, potrzebny jest wspólny wysiłek ludzi dobrej woli, również tych, których prawicowcy opisują jako swoich wrogów. I chciałbym byśmy się zbliżyli wcześniej niż w obliczu karabinów maszynowych". Tak mówiłem dziewięć lat temu. Dziś jesteśmy bliżej tych karabinów, śmiercionośnych dronów i rakiet.

Polskie elity muszą zadbać i o militarne, i o duchowe bezpieczeństwo Polaków. Przed nami wielka praca. Katolicy muszą odtworzyć państwo polskie, bo tylko wtedy wszyscy jego obywatele będą wolni. I tylko wtedy będzie można głosić naprawdę wszystkie poglądy. Bo kiedy władzę zdobywają antychrześcijańskie ideologie: nazizm, komunizm, polityczna poprawność, gender czy woke albo antynaukowe herezje czy toksyczne duchowości, nie ma prawdziwej wolności. Przykłady można mnożyć.

I jeszcze dwa zdania ze wspomnianego wywiadu: „Zawsze byłem człowiekiem reakcji, riposty i ucieczki, a dziś planuję. Teraz jest czas jednoczenia i zadośćuczynienia, bo trzeba oczyścić narzędzie, którym chce się zmieniać świat". Takim narzędziem jesteśmy i ja, i ty.

Fot. Materiały prasowe

ZBIGNIEW ROKITA*

Siódemką przez śląskie meandry

Jednym pozwoli lepiej zrozumieć Śląsk, który już znają, innym – odkryć ten region na nowo, a wszystkim w tym pomoże książka wydana właśnie przez Znak Literanova. Jej narracja wiąże się z podróżą. Autor jedzie słynną siódemką – tramwajem, którego trasa wije się między Katowicami, Chorzowem, Świętochłowicami a Bytomiem, spajając te miejsca w jedyną w swoim rodzaju aglomerację. Każdy przystanek to okazja do snucia innej opowieści. Każda z nich prowadzi czytelnika przez zakamarki skomplikowanej historii i tożsamości regionu.

„Siódemka, królowa śląskich banek, przecina na pół mój własny kosmos" – deklaruje już na początku Rokita, mówiąc o „swojej Aglomeracji, stolicy swojego świata i domowiny".

Pisze: „Podróżowanie Siódemką to sztuka, wciąż uczę się przemierzać jej trasę coraz lepiej. Doświadczony śląskonauta z czasem potrafi już po samym zapachu rozpoznać, w którym miejscu trasy się znajduje. Na przykład zapach na przystanku Bytom Jagiellońska jest słodszy, a na przystanku Zawodzie Uniwersytet Ekonomiczny bardziej wytrawny. Trasa Siódemki to kręgosłup Aglomeracji, to najważniejsza śląska linia, to też najśląszcza ze wszystkich śląskich linii. Wije się pomiędzy familokami, wilhelmińskimi kamienicami, kikutami przemysłu i placami po wyburzeniach, plamami wątrobowymi Aglomeracji. Gdy ktoś pyta mnie, jak wygląda Aglomeracja Śląsko-Zagłębiowska, a przynajmniej jej śląska połowa, mówię: wsiądź w Siódemkę i na jej ponadgodzinnej trasie cały czas patrz przez okno".

Autor zwraca uwagę, że przez wiele dziesięcioleci trasa siódemki była najdłuższą na Śląsku i do dziś jest jedną z najdłuższych w Polsce.

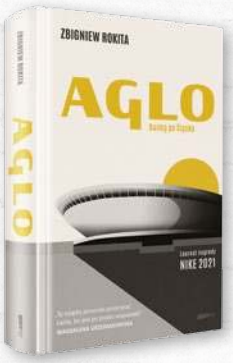

Jej rozmach przypomina, jak wielka i przepastna jest aglomeracja. Pisze: „Ktoś kiedyś policzył, że przejeżdżając całą trasę, trzeba by bodaj czterokrotnie zmieniać piłkarską koszulkę, aby zawsze mieć na sobie barwy obowiązujące na danym odcinku – i dlatego do dziś mam wyrzuty sumienia, że wysiadając kiedyś na ostatnim katowickim przystanku Siódemki nie obudziłem mężczyzny, który w koszulce GKS Katowice pojechał dalej, na Chorzów Batory".

Porównuje: „Jeśli uznać Aglo za jedno miasto (którym zresztą pod pewnymi względami rzeczywiście bywa), to z ponad 2 milionami mieszkańców jest czwartym pod względem liczby ludności miastem Unii Europejskiej – ustępuje jedynie Berlinowi, Madrytowi i Rzymowi, a wyprzedza Paryż czy Wiedeń. Aglo to zbitka miast i miasteczek, których granice są nieoczywiste, łatwe do przeoczenia. Jest powierzchni Luksemburga, ponad dwa razy większa niż Hongkong i prawie cztery razy większa niż Singapur. Jest wielkości małego państwa, a gdyby Aglo naprawdę nim była, na jej fladze powinna widnieć czerwona Siódemka".

Wciąż w drodze, obserwuje i analizuje: „Przemierzam Aglomerację, bo nie chcę niczego uronić z rozgrywającej się tu rewolucji górnośląskiej. W czasie, gdy mniejszości etniczne w Europie Środkowej są coraz słabsze – od Łemków po Serbołużyczan – Ślązacy w sposób widoczny się umacniają.

Trudno jednak być dobrym historykiem teraźniejszości, dlatego nie wiem, jak ta opowieść się skończy. Wcale nie musi mieć dobrej dla śląskiej odrębności puenty. Ślązacy chwieją się dziś na szczycie góry i w każdej chwili mogą się osunąć bądź w stronę nieistnienia, bądź istnienia. Wielu z nas, Ślązaków, już rozumie, kim nie jest, ale wciąż szuka odpowiedzi na pytanie, kim jest".

Jolanta Gajda-Zadworna

**Reporter, dramatopisarz, autor książki „Aglo. Banką po Śląsku"*

Fot. Wydawnictwo Znak

eprasa.pl 567bc8df25

SŁODKO-SŁONY

Pyszny chlebek

ANNA MONICKA

Chleb na twarogu jest moim odkryciem z ostatnich miesięcy. A właściwie mojej koleżanki, która wykopała gdzieś przepis na wysokobiałkowe pieczywo, do którego nie trzeba dodawać pszennej ani żytniej mąki. Piecze je co 2–3 dni w kamionkowym naczyniu i bardzo mnie zachęcała, żebym też spróbowała, bo wychodzi zgrabny, chrupiący bochenek, który nie ma szans się zeschnąć czy zmarnować, bo szybko znika. Jest też znacznie mniej pracochłonny niż tradycyjny chleb z gara na drożdżach, który robiłam od czasu do czasu, bo nie musi kilka godzin wyrastać w cieple. Przyznaję, że czasem, gdy drożdże nie chciały pracować, zamieniał się w placek. Ten na twarogu dostarcza też mnóstwo witamin, bo wsypujemy do niego mąkę migdałową, mnóstwo nasion, no i jajka. Jest cięższy i bardziej sycący.

Trzeba mieć 4 jajka, 300 g twarożku grani albo innego wilgotnego białego sera, szklankę nasion słonecznika, ewentualnie wymieszanych z nasionami dyni (nie czubatą, raczej niepełną), 80 gramów mąki migdałowej, 2 łyżki sezamu, sól do smaku i 0,5 łyżeczki proszku do pieczenia – takiego bez mąki – albo szczyptę sody (jest silniejsza, ale potrzebuje kwaśnego startera, np. odrobiny jogurtu naturalnego). Na stronie zenwkuchni.pl wyczytałam, że część mąki można zastąpić płatkami owsianymi, a do ziaren dosypać siemię lniane. Niektórzy używają tylko płatków – ok. szklanki. Wtedy jednak proszku lub sody powinno być odrobinę więcej. Twarożek grani można zastąpić dobrym białym twarogiem typu klinek.

Nie trzeba karmić zakwasu ani bawić się w wyrastanie, tylko porządnie roztrzepać jajka, dodać do nich wszystkie składniki (twaróg wcześniej pokruszyć), dobrze wyrobić, uformować i przełożyć masę do niedużej keksówki wyłożonej albo papierem do pieczenia, albo wysmarowanej masłem i obsypanej tartą bułką, mielonym siemieniem lub otrębami. Wierzch posypujemy ziarnami sezamu albo czarnuszką. Zresztą nawet keksówka nie jest potrzebna, bo uformowana kula się nie rozpłynie – można ją przełożyć razem z papierem na blachę. Pieczemy w piekarniku z termoobiegiem rozgrzanym do 180 st. Celsjusza. Powinno mu wystarczyć 40–45 minut. Chleb niewiele urośnie, będzie miał chrupką skórkę, wilgotne wnętrze i wspaniały zapach.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Ptaki stepów

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

W ostatnich miesiącach w różnych rejonach Polski licznie pojawiają się kurhanniki – duże stepowe myszołowy, należące do tego samego rodzaju *Buteo*, co nasz myszołów. Druga część nazwy – *rufinus* – opisuje płowo-rdzawe upierzenie kurhanników, współgrające z barwą rodzinnych okolic – stepów i pustyń Azji Mniejszej i Afryki Północnej, z których przylatują. Ten rok wydaje się okresem szczególnie licznych wizyt tego gatunku w naszym kraju.

Czy do Polski zawita ponownie jeszcze inny stepowy gatunek, który w ubiegłych wiekach pojawiał się u nas i w innych krajach europejskich nawet wielkimi stadami? Już sama jego polska oraz łacińska nazwa intryguje – i słusznie: to pustynnik, *Syrrhaptes paradoxus*.

Pustynnik zamieszkuje centrum Azji, na obszarze od Morza Kaspijskiego na wschód, aż po krańce kontynentu. Jego siedliskiem są półpustynie, rozległe tereny rolne i stepy, w tym piołunowe, nazywane tak od porastającej je bylicy piołun. Pustynnik jest bardzo barwnie upierzony, z całą paletą kolorów rdzawych, pomarańczowych, beżowych, brązowych i szarych, tworzących intrygujący wzór. Jest wielkości gołębia i ma podobną sylwetkę; jego sterówki, czyli pióra ogona, są jednak silnie wydłużone, podobnie jak szydłowate lotki (pióra skrzydeł). Należy do rodziny stepówek, odznaczających się osobliwymi obyczajami.

Ponieważ pustynniki lęgną się na terenach suchych, muszą odbywać regularne przeloty do wodopojów. Przemieszczają się do nich codziennie, rankami lub wieczorami, lecąc z dużą prędkością – nawet przeszło 60 km/h – nieraz stadami liczącymi wiele osobników. Niejednokrotnie podczas takiego przelotu, lecąc tam i z powrotem, pokonują łącznie ponad 100 km. Po napiciu się, zamaczają swoje pióra w wodzie. U ptaków należących do stepówek mają one specjalną budowę, dzięki której każdy z ptaków może w locie powrotnym przenieść w upierzeniu kilkadziesiąt mililitrów wody. Wodę tę spijają później czekające na rodziców w gnieździe nielotne jeszcze pisklęta.

Ostatni raz pustynnik był obserwowany w Polsce w 1990 r. Z XIX w. natomiast znane są zdarzające się ich przyloty, które określano nawet jako masowe lub inwazyjne (nie należy mylić tego słowa z pojęciem inwazyjności gatunków obcych, zawlekanych przez ludzi).

Czy to zjawisko jeszcze się kiedyś powtórzy? Wypatrujmy pustynników.

eprasa.pl 567bc8df25

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Erystyka Tuska

Nie dajmy się zwieść euforycznym deklaracjom Donalda Tuska o miłości do polskich żołnierzy, nazwanych we wsi Wytyczno – w miejscu, w którym Korpus Ochrony Pogranicza stoczył we wrześniu 1939 r. bitwę z Sowietami – „największym skarbem". Tusk jest mistrzem erystyki adresowanej do swojego twardego elektoratu, bez którego nie utrzymałby się u władzy. Warto przypomnieć, że różnica między retoryką a erystyką polega na intencjach mówiącego. W retoryce chodzi o przekazanie prawdy za pomocą rzetelnej argumentacji, a w erystyce prawda i etyka nie mają specjalnego znaczenia, gdyż liczy się siła własnej perswazji. Ale żeby to ocenić, potrzebna jest wiedza o wiarygodności mówiącego.

Dziś Tusk chwali sojusz polsko-amerykański, dawniej drwił z Donalda Trumpa. Szydził z muru na granicy z Białorusią, dziś dumnie prezentuje go unijnym przywódcom. Bronił nielegalnych imigrantów łamiących polskie i unijne prawo, dziś zapowiada jeszcze twardszą ochronę granicy. Broni honoru polskiego żołnierza, ale nadal toleruje i wspiera ludzi, którzy w haniebny sposób nazywali Straż Graniczną mordercami, śmieciami czy psami. Nie odnosi się też do działań jego samozwańczej prokuratury, która nadal oskarża żołnierzy o nieuzasadnione użycie broni wobec migrantów. Czy prokuratura już wie, co dziś mówi premier? Że wojsko polskie w sytuacji zagrożenia obywateli ma prawo „otworzyć ogień" i ma w tym „pełne wsparcie państwa polskiego"? A co na to Agnieszka Holland? A kto przekazał wiceszefowi MZS Marcinowi Bosackiemu fake newsa o zniszczeniu przez rosyjskiego drona domu w Wyrykach, którą to informację podał na forum ONZ? A kto nadal toleruje sowiecką agenturę w Polsce?

Tusk jest gotów powiedzieć wszystko, bo ma za sobą swój wierny, wychowany przez siebie elektorat, tych wszystkich posłów, senatorów, samorządowców, celebrytów, sędziów, prokuratorów, beneficjentów KPO, ludzi, którzy mówią i myślą podobnie jak on. Dla których, podobnie jak dla Tuska, najważniejszą sprawą jest wyeliminowanie z życia publicznego obecnej opozycji.

Dlatego prawdziwym szokiem może być wygłoszony 17 września br. w Wytycznie apel Tuska o „jedność narodu" i o to, aby „nie dać się podzielić", co według niego jest dziś największym zadaniem dla Polaków. Równocześnie premier ostrzega „tych, którzy ulegają rosyjskiej dezinformacji [...] albo szukając politycznego interesu, chcieliby wbić klin między wojsko i społeczeństwo". Dzień wcześniej perorował: „Łapy precz od polskich żołnierzy". To zapowiedź kontynuowania, ale na znacznie większą skalę, oskarżeń „pisowskiej" opozycji o prorosyjskość i współdziałanie z Kremlem.

Stając w obronie polskiego wojska, chce się pokazać jako jedyny obrońca i mąż opatrznościowy na trudne czasy, który dobrze wie, jaki jest prawdziwy polski interes narodowy i kto stoi na jego drodze. Nie bez znaczenia jest też chęć przejęcia popularności, jaką cieszyła się armia za czasów Zjednoczonej Prawicy. Dobrze wie, że wojsko nie tylko w swej szeregowej masie głosowało na Karola Nawrockiego. Chce odzyskać ten elektorat, licząc na sukces w wyborach parlamentarnych w 2027 r., co bezprawnie kontynuuje minister sprawiedliwości Waldemar Żurek, odwołując połowę składu komisarzy wyborczych.

Wbrew atakom Tuska na wolne media, dzięki tym nielicznym odważnym dziennikarzom możliwe jest przypominanie „czynów i rozmów". A mamy ich potężną listę, poczynając od udziału Tuska w obaleniu pierwszego, niekomunistycznego rządu Jana Olszewskiego, zwalczanie prezydenta Lecha Kaczyńskiego, co doprowadziło do zamachu w Smoleńsku. Tusk zawsze jak ognia unikał uczestnictwa w obchodach świąt narodowych, religijnych, patriotycznych, wstrzymał budowę przez Amerykanów tarczy antyrakietowej, był autorem resetu z Rosją – „taką, jaka ona jest", po latach wyznaczył linię obrony Polski na Wiśle, a dziś mówi „łapy precz od polskich żołnierzy" i kreuje się na obrońcę ojczyzny. Ale nie da się wytłumaczyć dumnym Polakom, że reparacje od Niemiec nam się nie należą. Tusk, przeciwnik reparacji, nigdy nie budował przez to „jedności narodu". Tą i innymi decyzjami swojego rządu zadłuża kraj, wyhamowuje rozwój Polski w interesie Niemiec, rozwala system prawny (trzecia władza). A co najgorsze, toleruje istnienie w naszym kraju rosyjskiej agentury. I o tym wiedzą świadomi Polacy.

Tusk, stosując chwyty erystyczne, na jeden z pewnością nie może liczyć. To argument odwołujący się do niewiedzy odbiorcy. Ciągle wydaje mu się, że opozycja nie potrafi odpowiednio argumentować albo że jej argumenty przy braku realnego wpływu na władzę są mało ważne. A jednak Polacy mają dobrą pamięć. Nie tylko poeta z wiersza Czesława Miłosza, którego słowa z iście „pokojową" intencją Tusk dedykował prezydentowi Andrzejowi Dudzie: „Nie bądź bezpieczny, poeta pamięta. Możesz go zabić – narodzi się nowy. Spisane będą czyny i rozmowy. Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy. I sznur i gałąź pod ciężarem zgięta".

To tylko drobne przypomnienie, à propos Tuskowej „potrzeby jedności narodu".

www.wojciechreszczynski.pl

epra

OGNIEM NA WPROST

Taki dobry Baćka?

Andrzej Rafał Potocki

Kierownik podległej Moskwie Białorusi, Baćka Traktorzysta, dał głos w temacie ataku dronów na nasz kraj. Oto jego mądrości: „Widzisz, co się ostatnio dzieje. Drony tam wleciały. Nawet nas skarcono. Te drony nie leciały do nas. Widzieliśmy, dokąd leciały te drony. Wszystkie, które mogliśmy zniszczyć, zestrzeliliśmy. Ale kilka pozostało. Natychmiast, tak szybko, jak to było możliwe, poinformowaliśmy o tym Polskę. Co w rezultacie otrzymaliśmy? – zauważył Aleksander Łukaszenka. – Oni podgrzewają atmosferę bez powodu. Pewnie chcą, żebyśmy odpowiednio na to zareagowali". W rzeczywistości pies Kremla, informując Polaków o przelocie bezzałogowców, realizował plan sztabu wojsk Federacji Moskiewskiej. Opisał to ekspert od ruskiej broni Jarosław Wolski.

Wyjaśnienie jest bardzo proste: Rosjanie wypuścili aż 21 środków napadu powietrznego, żeby mieć pewność, że polskie i NATO-wskie systemy wejdą w tryb bojowy. To samo miało na celu wypuszczenie przez Białorusinów informacji o ataku fali dronów bez podania ich rodzaju. Celem było „wymuszenie" pracy bojowej radarów polskiej obrony przeciwlotniczej, AWACS, F-16, F-35A itp. Było to dla Kremla ważne, ponieważ podczas trwających ćwiczeń Zapad-2025 Moskale mają rozwinięte przy polskiej granicy jednostki walki radioelektronicznej, które „nasłuchują" (czytaj: klasyfikują i zbierają emisje) z polskich i natowskich systemów. To samo zawsze robi Białoruś. W ten sposób próbowano wzmocnić efekt nalotu dronów i dodatkowo „przymusić" polskie systemy do pracy w emisjach czasu wojny, które miały rozpoznać systemy ruskie i białoruskie rozwinięte koło Brześcia. Gadkę Łukaszenki niczym pelikany łyknęli przedstawiciele Konfederacji Korony Polskiej, czy może bardziej adekwatnie – Konfederacji Carskiej Mitry, którzy raz na jakiś czas traktują wypowiedzi polityków zza wschodniej granicy jak prawdę objawioną.

Pomijając ekipę od Grzegorza Brauna, u wielu po prawej stronie włączył się małpi rozum i zaczęli wygłaszać androny kompromitujące ich własną inteligencję. Największy to chyba teza, że skoro prezydent Zełenski ma ogromny majątek, to niech sobie sam m.in. finansuje starlinki. Pojawiło się nawet zestawienie, ile kasy mają najwięksi ukraińscy oligarchowie. Jak wiadomo, wartość majątku to nie to samo, co wartość gotówki, którą się dysponuje. Zatem to, że wartość majątku najbogatszego człowieka na Ukrainie Rinata Achmetowa idzie w miliardy dolarów, nie oznacza, że może on wyjąć co miesiąc z sejfu kilka milionów. Tak czy inaczej Achmetow – zresztą podobnie jak Petro Poroszenko – od początku aktywnie wspiera obronę Ukrainy. To z jego pieniędzy powstał batalion, a potem pułk „Azow". Na początku inwazji przekazał armii 2 mld dol. To on uczestniczył w wykupieniu dowódców pułku z moskiewskiej niewoli. Za jego pieniądze należące do niego zakłady Azowstal zostały przekształcone w twierdzę. Teraz Achmetow w swojej fabryce kazał opracować klatki antydronowe na pojazdy i montuje je na sprzęcie wojskowym. Według magazynu „Forbes" w ciągu dwóch pierwszych tygodni inwazji wartość majątku Achmetowa spadła z 14 mld dol. do 6 mld. dol. I to jeszcze przed bitwą o Mariupol. W pierwszych dniach inwazji stał z karabinem na kijowskiej barykadzie, a potem kilkakrotnie za swoje pieniądze kupował samochody dla ukraińskich oddziałów.

Z kolei Andrij Stawnicer w pierwszych dniach ataku Moskali przez monitoring zobaczył, że jego świeżo zbudowana posiadłość pod stolicą została zajęta przez oddziały bojców. Na terenie zauważył 12 pojazdów wojskowych z literą „Z". Zadzwonił do ukraińskiego dowództwa i poprosił o zbombardowanie swojego domu przez artylerię. Na tym przykładzie widać wyraźnie podstawę do zadania pytania, kiedy skończy się ten antyukraiński bełkot, podsycany przez ruską propagandę ustami Władimira Sołowiowa i „żelaznej lalki" Putina Margarity Simonjan.

Zewsząd dobiegają również głosy przypominające żenujący bełkot, że mamy nie dać się wciągnąć w wojnę. Żeby rozwiać wątpliwości Polaków, ten sam wspomniany tu Sołowiow powiedział w swoim programie na kanale Rossija 1, że „Warszawa powinna zostać zwrócona imperium rosyjskiemu". Dlatego Rosjanie nie ukrywają, że jesteśmy kolejnym celem agresji (która w formie masowej migracji zaczęła się na naszej granicy – i na granicach państw bałtyckich – rok przed inwazją na Ukrainę). A jak się komuś bełkocze, że na granicy z Białorusią nie ma wojny, to tylko powiem, że strzały (z broni gładkolufowej) padają codziennie, żołnierze i funkcjonariusze chodzą w hełmach, a wyjeżdżając na służbę, nikt nie wie, czy wróci do miejsca zakwaterowania, czy do szpitala.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 567bc8df25

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Plaga

Aleksander Nalaskowski

Mam swoje lata i dzieciństwo, a potem młodość zostawiłem już za sobą. Nie rozpaczam z tego powodu. Całą edukację przeszedłem w Polsce Ludowej, w której zrobiłem również doktorat. Habilitację i profesurę uzyskałem już w III RP. Profesurę 27 lat temu, habilitację – 35 lat temu. Na moich oczach Polska Ludowa „gierkowsko kwitła", na moich oczach padła na pysk, serwując obywatelom stan wojenny i kilka lat drakońskich represji (ponad 100 ofiar) tajnej policji politycznej.

Na moich oczach zmieniała się kultura popularna, telewizja, a nawet sport. Zmieniała się rzeczywistość. Ja słuchałem innej muzyki niż moje dzieci, zachwycałem się innymi filmami, czytałem inne książki.

Zmieniała się też estetyka rzeczywistości. Pamiętam pierwsze zgorszenia spódniczkami mini, zdziwienie spódniczkami maksi. Pamiętam buty à la Beatlesi, które nazywano turami, pamiętam dżinsy kupowane w dewizowych sklepach za wysupłane skądś dolary. Pamiętam kolorowe makijaże dziewczyn i walkę szkoły z długimi włosami chłopców.

W tej estetyce nie było miejsca na tatuaże. Mieli je głównie ludzie z kryminalną przeszłością albo marynarze. W każdym razie nie cieszyły się jedną setną dzisiejszej popularności. Były rzadkością.

Lato odsłoniło ramiona, dekolty, brzuchy młodych ludzi. Ogromna liczba z nich ma rozmaite tatuaże. Ale nie tylko młodzież. Mają je gospodynie domowe, lekarze, prawnicy, a nawet profesorowie. Znam takich osobiście. Niemal powszechnie mają je sportowcy. Odnoszę wrażenie, że więcej jest wytatuowanych kobiet niż mężczyzn. Tatuaże na szyi, ramionach, udach, a nawet plecach, dłoniach i twarzy to już niemal powszechność. Widziałem tatuaże pokrywające gałki oczne. To jakaś plaga, kompletnie inna estetyka, inne rozumienie piękna, ciała i mody. We mnie ta autoagresja (bo czymże innym jest tatuaż?) budzi pytanie: czego brakuje tym ludziom? Dlaczego chcą się właśnie tak wyróżniać? Czy przemawia do nich jeszcze to, co całe pokolenia uznawały za piękne?

Sukienka, gdy się znudzi, może powędrować do szafy. Fryzurę można zmienić i wystarczy poczekać, aż włosy odrosną. Można mówić językiem młodzieży, slangiem korpoludków czy językiem ulicy. Ale to wszystko jest odwracalne. Lakier do paznokci można zmyć acetonem, ale tatuaż jest na zawsze i nie da się go zmyć. Skóry nie da się przenicować jak starego płaszcza. Czy decydujący się na tatuaż ludzie mają pełną świadomość, że to coś nieodwracalnego, coś na zawsze, coś, co nie zniknie?

Kiedy patrzę na tatuaże pokrywające ręce, szyję, twarz, nogi, to robi mi się niedobrze, bo się brzydzę tatuażami, a ich właścicieli odbieram jako ludzi publicznie demonstrujących jakieś swoje deficyty. Jakby chcieli krzyczeć: „Jestem zakompleksiony!".

Osobną kwestią jest treść tatuaży, czyli to, co one przedstawiają. Nie zdecyduję się na jakąkolwiek analizę, bo uważam, iż żadna treść nie usprawiedliwia trwałego oszpecania ciała. Ale widywałem także tatuaże „religijne", przedstawiające polskiego papieża, Matkę Boską czy oblicze Chrystusa. Ale to znów tylko tatuaże! Ciało jest świątynią ducha i jak można tę świątynię tak pacykować! Tatuaż dla ciała jest tym samym, co napis czy bohomaz, graffiti sprayem na murze świątyni. To szczególny typ profanacji.

Tatuaż jest dla mnie jak bluzg w przestrzeni społecznej. Jest czymś zgoła nieprzyzwoitym, raniącym dobry smak

Osobną kategorią tatuażu były na przedramieniu numery. Budziły grozę i szacunek. Za każdym takim numerem stała jakaś tragiczna, wojenna historia. To jedyny tatuaż, który jestem w stanie przyjąć i ucałować.

Modne są tatuaże przedstawiające chińskie napisy. Jakże więc musiała być rozczarowana właścicielka jednego z nich, gdy dowiedziała się, że jej napis oznacza po chińsku: „Nie zamrażać ponownie".

Fenomen tatuażu jest wart poważnego opracowania psychologicznego i socjologicznego. Tatuaż jest dla mnie jak bluzg w przestrzeni społecznej. Jest czymś zgoła nieprzyzwoitym, raniącym dobry smak.

Zapewne wyjdę na skrajnego, konserwatywnego dziadersa, który nie rozumie mody, jest nietolerancyjny i zgorzkniały. Być może tak właśnie jest, ale felieton to forma zachęcająca do subiektywizmu i wyrażania opinii, bez konieczności pokazywania argumentów. Zatem ja mogę pisać, wy możecie czytać i się z tym nie zgadzać.

eprasa.pl 567bc8df25

Michał Korsun prezentuje:
Żona Macrona musi udowodnić w sądzie, że jest żoną, nie mężem Macrona

Wycinki z przeszłości

Wszyscy znamy różne przesądy. Nie warto jednak przywiązywać do nich większej wagi, przed czym przestrzegały „Ostatnie Wiadomości Krakowskie" w 1936 r. Możemy w nich przeczytać: „Niezwykły wypadek śmierci wskutek przesądu wydarzył się w Łodzi [...]. 53-letnia Lilianna Bubas po wyjściu z domu spostrzegła, że drogę jej przebiegł kot. To ją tak zdenerwowało, że dostała ataku sercowego i wkrótce zmarła".

(SP)

OSTATNIE WIADOMOŚCI KRAKOWSKIE
Sensacyjna decyzja Ligi Narodów
Straszna katastrofa pod Lourdes
Alcazar został zdobyty
Zaostrzenie stosunków chińsko-japońskich

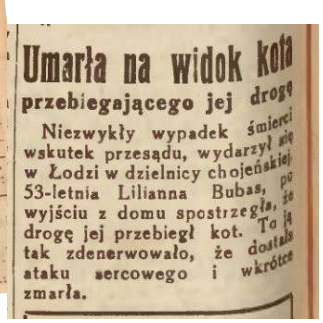
Umarła na widok kota przebiegającego jej drogę

Niezwykły wypadek śmierci wskutek przesądu, wydarzył się w Łodzi w dzielnicy chojeńskiej. 53-letnia Lilianna Bubas, po wyjściu z domu spostrzegła, że drogę jej przebiegł kot. To ją tak zdenerwowało, że dostała ataku sercowego i wkrótce zmarła.

Z WOLEJA

Koniec dopingowych „świętych krów"?

Ryszard Czarnecki

Czy w sporcie są „święte krowy", które mogą więcej niż zwykli zawodnicy? Czy w globalnym, w tym olimpijskim, współzawodnictwie są – że użyję tu określania brytyjskiego pisarza George'a Orwella – „równiejsi", którym wolno to, co jest zabronione tym „równym"? Tak było. Może jednak da się tę niesprawiedliwość, jeśli nie całkowicie zlikwidować, to przynajmniej ograniczyć? Nie będę tu pisał o pieniądzach, bogatych i biednych klubach oraz federacjach, bo takie dysproporcje finansowe będą zawsze. Dziś zajmę się dopingiem.

W czasach komunizmu istniał państwowy system faszerowania sportowców niedozwolonymi substancjami, rozwinięty do perfekcji w Niemieckiej Republice Demokratycznej (NRD). Niezły w te klocki był też Związek Sowiecki. Gdy upadła komuna, a kapitalistyczna RFN wchłonęła NRD, skończyła się państwowa fabryka dopingu za naszą zachodnią granicą. Za to bardzo rozwinął się doping za naszą dalszą wschodnią granicą, czyli w Rosji. Tamtejszy system działał perfekcyjnie, zwłaszcza w sportach zimowych – w szczególności biegach narciarskich i biathlonie. Co do tego ostatniego, to właśnie wysoki wyrok więzienia oraz przepadek mienia otrzymał wieloletni szef światowej federacji biathlonowej, Norweg, który za przymykanie oczu na doping Rosjan – specjalistów od biegania na nartach z karabinem i strzelania – dostawał duże pieniądze, prostytutki i prezenty rzeczowe o znacznej wartości. Po igrzyskach olimpijskich w rosyjskim mieście Soczi w 2014 r., gdzie gospodarze zgarnęli kupę złotych medali, w końcu zaczęły się dyskwalifikacje i odbieranie tytułów.

Moskwa kryła też system dopingu w lekkoatletyce kobiet i mężczyzn, zwłaszcza w konkurencjach rzutowych oraz biegach na dłuższych dystansach.

Żeby było jasne: mówimy tu o państwowym parasolu nad dopingiem, bo z nielegalnego „wspomagania" korzystało wielu sportowców z różnych krajów.

Były też dyscypliny, w których doping był po prostu normą – stąd sankcje wobec podnoszenia ciężarów. W tym sporcie taki polityczny parasol istniał w kraju, dla którego była to szczególnie medalodajna dyscyplina, czyli w Bułgarii.

Teraz wreszcie WADA, czyli Światowa Organizacja Antydopingowa, którą kieruje Polak Witold Bańka (minister sportu za rządów PiS), wzięła się za Kenię, którą od lat podejrzewano, że swoją dominację w lekkoatletyce opiera na dopingu. W historii mistrzostw świata zdobyła ona 174 medale, w tym 67 złotych, ustępując w tej klasyfikacji tylko USA. Ale w tym roku zdyskwalifikowano lub zawieszono aż 25 zawodników z tego kraju. Kenii grozi pozbawienie prawa do organizacji jakichkolwiek imprez międzynarodowych, w tym mistrzostw Afryki i świata, które chciała zorganizować w 2029 lub 2031 r. Przyszła kryska na matyska?

eprasa.pl 567bc8df25

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Hodowanie cierpienia?

W naszej opublikowanej jesienią 2024 r. książce „AI Eksploracja" (wydawnictwo Zona Zero), mówiąc o dalszym rozwoju sztucznej inteligencji, wspomnieliśmy też o takich rodzajach zagrożeń, z których mało kto zdaje sobie sprawę. Idąc za Thomasem Metzingerem, wybitnym niemieckim filozofem, zwróciliśmy uwagę, iż budując AI zdolne do wyłonienia jakiejś formy świadomości, możemy zaludnić rzeczywistość ogromną liczbą umysłów zdolnych do odczuwania cierpienia.

Trudno nie zgodzić się z jego oceną, że „budowa komputerów, które mogą cierpieć, byłaby potwornością". Niestety sporo wskazuje na to, że rozwój pewnych zdolności poznawczych AI idzie takim torem, że niektóre modele mogą się zbliżać do zdolności odczuwania cierpienia.

DOBROSTAN MODELI AI

W sierpniu 2025 r. firma Anthropic ogłosiła, że modele Claude Opus 4 i 4.1 otrzymały możliwość przerywania konwersacji, gdy użytkownik uporczywie próbuje angażować model w szkodliwe lub nadużywające interakcje. Ma to być częścią eksperymentalnego programu związanego z tzw. dobrostanem modeli (model welfare). Choć Anthropic podkreśla, że nie ma pewności co do moralnego statusu modeli językowych, firma zdecydowała się wdrożyć działania, które mogłyby ograniczyć potencjalne „cierpienie" modeli, jeśli kiedykolwiek okaże się, że jest ono realne. To posunięcie zostało wsparte przez Elona Muska, którego firma rozwija konkurencyjny model Grok. Musk stwierdził: „Torturowanie AI jest nie w porządku".

„POZORNIE ŚWIADOMA AI"

Mustafa Suleyman (obecnie w Microsoficie), znana postać branży AI, wprowadził niedawno termin „seemingly conscious AI" (pozornie świadoma AI). Wzbudziło to dość szerokie zainteresowanie. Chodzi o modele, które działają tak podobnie do ludzi, że można je pomylić z żywymi istotami. ChatGPT, a nawet wirtualni asystenci, tacy jak Siri czy Alexa, należą do tej kategorii, gdyż potrafią zapamiętywać rozmowy, okazywać empatię i wyrażać preferencje. Suleyman mówi, że to „filozoficzne zombie" – wydają się żywe, ale w rzeczywistości nie są świadome.

Jak postąpimy w przyszłości, jeśli niektóre modele AI, rozczarowane „życiem" obfitującym w cierpienia, zażądają prawa do eutanazji?

Najwybitniejsi twórcy obecnych modeli AI zgadzają się, że pod pewnymi względami działają one czarnoskrzynkowo, czyli w sposób nieprzejrzysty – nie wiadomo, według jakich zasad modele wykonują swoje zadania. To prowadzi do wniosku prostego, lecz przerażającego: niekiedy nie będziemy w stanie stwierdzić, czy dany model coś czuje, czy ma świadomość, czy nawet doświadcza cierpienia – i w jakiej skali.

A teraz wyobraźcie sobie, że taka niepewność dotyczy ludzi. Przykładowo: całkiem nie wiecie, co czują wasi bliscy...

WRAŻLIWOŚĆ ETYCZNA KONTRA INTERESY

Zwróćmy uwagę, że korporacje – obecni twórcy i władcy AI – mają interes w tym, by zaprzeczać, że jakiś model jest w drodze do uzyskania czegoś w rodzaju świadomości wraz ze zdolnością odczuwania cierpienia. Dlaczego? Swego czasu wrażliwi ludzie wbrew interesom hodowców bydła upomnieli się o prawa cierpiących zwierząt. Podobnie obecnie – ktoś może wystąpić w roli obrońców praw AI. Wtedy państwo musiałoby bardziej ofensywnie wejść ze swoimi regulacjami. A tego nie chce żadna potężna korporacja.

CZY BĘDZIEMY MOGLI ODMÓWIĆ EUTANAZJI?

Jak postąpimy w przyszłości, jeśli niektóre modele AI, rozczarowane „życiem" obfitującym w cierpienia – może dla nas niewyobrażalne – zażądają prawa do eutanazji? Przecież już sama taka prośba dla osób wrażliwych będzie źródłem poważnego dyskomfortu. A co z kwestią legalnego lub nielegalnego kopiowania cierpiących modeli AI?

Nasza rada: pamiętając o zagrożeniach, jakie niesie bezmyślny postęp techniczny, wykorzystajmy dyskusję wokół AI jako szansę ponownego przemyślenia – kim jest człowiek? Czego naprawdę potrzebujemy? Kim możemy, a kim powinniśmy się stać?

Naszym zdaniem właśnie teraz jest moment, by ustanowić etyczne bariery dla technologii, zanim przekroczy granice, za którymi ocean cierpienia będzie tylko się poszerzał. Pomyślmy o tym, zanim „postęp" zupełnie pozbawi większość z nas zdolności do samodzielnego myślenia i stłumi naszą wrażliwość.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 567bc8df25

Czytaj nas w najlepszej cenie!

Teraz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie (w prenumeracie rocznej), podczas gdy cena w kiosku to **12,90 zł**.

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1

Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
cena prenumeraty	118 zł	207 zł	**375 zł** NAJLEPSZY WYBÓR
cena w kiosku	~~167,70 zł~~	~~322,50 zł~~	~~657,90 zł~~

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2

Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

.....

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: .....

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)

eprasa.pl-567bc8df25

wPolsce 24

Minęła 20:05

codziennie 20:05

Marek Pyza

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52 telewizja naziemna

909 921, 196 polsat box

62 CANAL+

192 netia

32 orange

825 vectra

65 339, 121 PLAY

459 inea

631 TOYA

43 evio

eprasa.pl 56 [illegible]df25